

ANNA KŁODZIŃSKA

SYGNAŁY ŚMIERCI

Wydawnictwo MON

1988

PROLOG

Nie rozumiał. Najpierw zresztą było to tylko lekkie zdumienie i irytacja, stopniowo przechodzące w lęk. Nie rozumiał przede wszystkim, co się stało. Pamiętał doskonale, że weszli do tego pomieszczenia, które trudno było nazwać salą czy pokojem, raczej klatką. Że stanęli pośrodku. Rozglądał się wówczas z umiarkowaną ciekawością; prawdę mówiąc, śpieszyło mu się i wolałby już wrócić do domu. Patrzył jednak dokoła, dostrzegł ściany gołe, szare, wydały mu się z jakiegoś metalu. Podłoga też była taka, twarda i zimna. Sufit wisiał nisko, nie więcej niż dwa metry nad głową. Podeszedł do jednej ze ścian, postukał.

- Żelazobeton - mruknął. - A wentylacja?

Nie otrzymał odpowiedzi. Pomieszczenie nie miało okien; powietrze płynęło skądś niewidocznym otworem, ale skąpo.

- Duszno tu - zauważył.

Znowu brak odpowiedzi. Dopiero kiedy odwrócił się, spostrzegł; że jest sam. Dziwne, ale na gładkiej powierzchni ścian nie mógł dojrzeć drzwi, którymi przecież przed chwilą weszli. Zrobił kilka niezdecydowanych kroków w prawo, potem w lewo. Miał ochotę krzyknąć; głupie uczucie wstydu, że się boi, zamknęło mu usta. Obszedł ściany wokół, wodząc ręką po metalu, ale nie wyczuł klamki, kontaktu czy ukrytego zamka. Jeżeli był, to z tamtej strony.

Wtedy właśnie poczuł strach. Czy to złudzenie, że jego ciało, zwłaszcza klatka piersiowa, szyja, mięśnie rąk i nóg, zaczyna w niepokojący sposób drgać? I że to drganie - absolutnie niezależne od jego woli - potęguje się? Coraz trudniej mu było oddychać, dławiło w gardle. Zaczął krzyczeć, ale głos jakby zamierał. Dokoła panowała cisza.

Raptem podłoga zakołysała się pod nogami; stracił równowagę i upadł. Po chwili wstał, próbując mimo wszystko zrozumieć, co się z nim dzieje. Chwiał się jak pijany. Teraz już wiedział, że to nie podłoga się kołysze; to on ma coraz silniejsze zawroty głowy. W uszach narastał szum, były dalekie dzwony.

Pomyślał, że w tej żelaznej klatce znajduje się jakiś trujący gaz. Pociągnął nosem, ale nie wyczuł żadnego zapachu. Gaz mógł być jednak bezwonny, oszałamiający jak złowrogi narkotyk... Którędy przedostawał się do pomieszczenia? Przez sufit czy ukryte szpary w ścianach?

Przetarł oczy, które zaczęła przesłaniać szara mgła. Spojrzał w bok, na ścianę po prawej stronie, i zmartwiał. Ściana - ciężka, metalowa, osadzona na betonie - pochylała się, falowała. Już nie mógł krzyczeć, zaschło mu w gardle. Wyteżając resztki sił, prawie na czworakach podpełznął do tej ściany, bo może za nią było wyjście z przeklętego kręgu dławiącej trucizny. Usiłował zachować

równowagę; podniósł się, przyjrzał i teraz dopiero dostrzegł, że na ścianie wisi szara zasłona, na pierwszy rzut oka niewidoczna i tak przylegająca, że nie wyczuł jej, przesuując palcami w poszukiwaniu drzwi.

Zasłona! A więc za nią na pewno są drzwi, tamtędy musieli wejść i tam znajdzie ocalenie. Ból w całym ciele stawał się niemożliwy do zniesienia. Dygocącymi palcami dotknął zasłony, z wielkim trudem odsunął brzeg. Dalej zobaczył drobną, metalową siatkę. I właśnie za nią coś kołysało się, falowało. Jakiś gigantyczny tłok czy membrana. To COŚ oddychało rytmicznie, bezszelestnie. Jak potwór.

Chwyciły go torsje, ogarnęło przeraźliwe zmęczenie. Osunął się na podłogę. Przed oczami już nie miał szarej mgły; teraz widział czerwone ogniste płyty, wirujące z ogromną szybkością. Ból doszedł do granicy wytrzymałości - i przekroczył ją.

ROZDZIAŁ 1

Świtało. Jaśniejące niebo wróżyło pogodę, wiatr uganiał się między drzewami i strącał pożółkłe liście. Pachniało tymi liśćmi, grzybami - jesienią.

Pierwszy pekaes przeleciał szosę; zapchany do niemożliwości, nawet nie stanął na przystanku. Kierowca wiedział, że o tej porze wszyscy jadą do warszawskich fabryk. Chłopak na rowerze, pedałując zawzięcie, patrzył tylko przed siebie. Śpieszyło mu się. W chwilę potem na szosie ukazał się jednokonny wóz, załadowany workami ziemniaków. Woźnica ćmił ekstra mocnego, spoglądał to na drogę, która wiła się przed nim, to na brzeg lasu po jednej stronie. Raptem coś go zaintrygowało. Ściągnął lejce, zatrzymał konia, zszedł z furmanki. Przeszedł rów, zagłębił się między drzewa, niedaleko, może pięć kroków.

Na trawie pod krzewem czarnego bzu leżał człowiek. Woźnica przyglądał mu się chwilę., potem schylił się, ujął leżącego za rękę. Była zimna i sztywna.

- Trup - powiedział do siebie. Patrzył teraz uważnie, ale nie dostrzegł śladów krwi. Ostrożnie przewrócił go na plecy, potem usiłował posadzić, łudząc się, że tamten jednak żyje. Obejrzał dokładnie ubranie, buty, złoty zegarek, obrączkę. Westchnął i zagłębił rękę w kieszenie marynarki. Nie znalazł portfela ani żadnych dokumentów.

- Prrr! Stooj! - krzyknął na konia, który przysunął się do rowu i zaczął skubać trawę.

Rąbnęli gościa, forszę wzięli, na resztę pewnie nie mieli czasu - rozmyślał. Przysiadł obok, popatrzył na drogę, potem na twarz leżącego. Była przeraźliwie blada, oczy na wpół otwarte. Woźnica oceniał go w myślach na czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt lat; pewnie urzędnik,

nauczyciel albo lekarz, w każdym razie nie wsiowy. Co on tu robił? Wysiadł z pekaesu? Najbliższy przystanek o sześć kilometrów. Załatwili go w nocy, bo sztywny, zimny. Na grzyby chyba się nie wybierał, miałby koszyk. Buty szykowne, brązowy zamsz. W takich nie chodzi się do lasu, w mokrą trawę. Wiatrówka z podbiciem, prawie nowa.

- K... mać, co robić? - zaklął, drapiąc się po karku. Po prawdzie, to zbyt mu się nie spieszyło, kartofel nie mleko. Dostawę miał umówioną prywatnie, kiedy zajedzie, to odbiorą, nie pali się.

Splunął, zapalił papierosa, zawrócił konia na prawą stronę szosy. Do najbliższego posterunku milicji miał nie więcej niż dwa kilometry. Położył parę ziemniaków nad rowem dla oznaczenia miejsca, gdzie leżał nieboszczyk. Świsnął na gniadego i pojechał.

* * *

Dwie godziny później w tym samym lesie, przy zmarłym, który teraz fachowo nazywał się "denat", stało trzech milicjantów. Przyjechał niemal cały posterunek z Kowalewa; nieczęsto zdarzał im się trup. Obejrzel, pomedytowali, z radiostacji w wozie powiadomili Stołeczny Urząd Spraw Wewnętrznych, gdyż sprawa wydawała im się podejrzana.

- A jak niepotrzebnie? - zatroskał się kapral. - Przyjadą, ochrzanią, że mogliśmy sami.

Zawsze był taki: ostrożny, bez własnej inicjatywy, tyle że obowiązki służbowe znał jak należy. Plutonowy spojrzał na niego z góry, zgasił papierosa i wcisnął niedopałek w kieszeń kurtki, aby nie zostawiać mylących śladów.

- A jeżeli to jest, na przykład, wiceminister? Co o nim wiemy? Tyle, co nic. Ochrzanić mogą, jak spartaczymy śledztwo. Niech przyjeżdżają i wezmą to na siebie.

- Klawo jak cholera! - ucieszył się starszy szeregowy; właśnie telewizja nadawała po raz nie wiedzieć już który serial "Gang Olsena".

Z zakrętu wyskoczył radiowóz, zahamował obok rowu. Wysiadł mężczyzna szczupły, śniady, z bardzo jasnymi włosami. Czarne wąskie oczy obrzuciły stojących przelotnym spojrzeniem, potem wzrok zatrzymał się na zmarłym. Plutonowy poznał majora Szczęsnego, zsalutował i odsunął się, aby zrobić miejsce. Za Szczęsnym wygramolił się technik z aparaturą, a na końcu - temu nigdy się nie spieszyło - lekarz medycyny sądowej, doktor Stern.

- Kto go znalazł? - spytał major. - Kiedy?

Plutonowy krótko zdał relację. Znalazł rolnik z Kowalewa, powiadomił o siódmej pięć. Przy denacie żadnych dokumentów. Wiek, na oko - zawahał się, zerknął na doktora.

- Na oko to mi możecie... - Stern był nie w humorze. Stęknął, bo od rana bolały go stawy, przykląkł obok ciała. Zbadał je w miarę dokładnie, przyjrzał się zagastym, poszarzałym źrenicom. -

Interesujące - mruknął. Spojrzał na Szczęsnego. - Sekcja może być nietypowa - rzekł niejasno. - Chyba nie miał jeszcze sześćdziesiątki.

Wstał, wytarł ręce w kawałek ligniny. Patrzył na zwłoki, wyraźnie był zaintrygowany, co mu się przytrafiało rzadko. Technik wykonał kilkanaście zdjęć, ziewnął i odszedł na bok, aby spokojnie wypalić klubowego.

- Żadnych śladów zabójstwa? - Szczęsnego zaciekawiły słowa lekarza.

- Żadnych. Chociaż... - Wzruszył ramionami, hałaśliwie wytarł nos. - Myślę, że nie była to śmierć naturalna, atak serca lub coś w tym rodzaju. Nie.

- Mimo iż nie użyto tu broni palnej, noża, łomu ani siekiery?

- Mimo. I nie został otruty. Chyba że ja się nie znam na truciznach, ale to niemożliwe.

- A jeżeli wyrzucono go z samochodu? - wtrącił się plutonowy.

- To by leżał w rowie. Jest szeroki na półtora metra. Zmienialiście pozycję ciała? - W głosie majora dało się słyszeć groźne ostrzeżenie.

- My nie! - gorliwie zaprzeczył podoficer. - Woźnica, ten rolnik z Kowalewa, mówi, że próbował go posadzić, myślał, że żyje. Ale nie odciągał zwłok na bok, leżą tam, gdzie je znalazł.

- Mógł być wyrzucony - niespodziewanie Stern zgodził się z plutonowym. - I zawleczony później do lasu. Ścisłej mówiąc: nie wyrzucony z pędzącego wozu, ale po prostu wyjęty, kiedy samochód stał, i przeniesiony tutaj.

- Czy już wtedy nie żył?

- Tego nie wiem. Powiem po sekcji. Dziwne... - zamyślił się.

- Co, doktorze?

- Ta śmierć.

- Więc przypuszcza pan, że go zabito? Czym?

- Gdybym to wiedział, sekcja byłaby niepotrzebna. Zresztą może się mylę. - Machnął ręką, zawrócił do samochodu.

Szczęśny porozmawiał chwilę z tak licznie zgromadzonym posterunkiem z Kowalewa; milicjanci rozeszli się po lesie, szukając ewentualnych śladów, które mogły mieć coś wspólnego z denatem. Zjawiała się nysa, zabrano zwłoki do Zakładu Medycyny Sądowej, Stern pojechał z nimi. Major z technikiem zostali jeszcze na miejscu.

- Wiesz już, kto to jest? - spytał pułkownik Daniłowicz, szef wydziału kryminalnego.

Szczęśny zaprzeczył ruchem głowy. Siedzieli w gabinecie szefa na drugim piętrze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Od chwili kiedy woźnica z Kowalewa zawiadomił o znalezieniu zwłok w lesie, upłynęła doba. Jak dotąd nikt nie alarmował milicji o poszukiwaniu człowieka, którego wygląd, wiek i ubiór zgadzałyby się z denatem. Pytano o ludzi starych, cierpiących na zanik pamięci albo o dzieci w wieku szkolnym. Kilka zdjęć nieboszczyka, odpowiednio podretuszowanych, leżało na biurku Daniłowicza, gotowych do ewentualnego zamieszczenia w prasie, ale na to był jeszcze czas.

- Czekam na wynik sekcji - odezwał się major. - Stern miał tam, w lesie, jakieś obiekcje.

- Co to znaczy: obiekcje?

- Dziwił się czemuś. Wiesz, jaki on jest, stary mruk, Nie zdołałem nic z niego wycisnąć. W każdym razie sugerował zabójstwo. O, jest! - powiedział na widok oficera dyżurnego z dużą brązową kopertą w ręku. - Dziękuję, żeś się sam pofatygował.

- Nie mam do was daleko - uśmiechnął się kapitan i wyszedł.

Szczęśny niecierpliwie rozerwał kopertę, szybko przebiegł oczami protokół sekcji.

- No co? - szef okazał umiarkowane zainteresowanie. Opierając się na tym, co mu zreferowano, nie wierzył w zabójstwo. Pewnie zawał.

- Posłuchaj. Czytam, co najistotniejsze. "Silne przekrwienie płuc... pęknięcie wątroby i prawej komory sercowej... nieznaną przyczyną uszkodzeń gałek ocznych... Wszystko sugeruje ewentualne silne ciśnienie z zewnątrz..." - Szczęśny spojrzał na pułkownika ze zdumieniem. - To wprost niepodobne do Sterna! Rozumiesz? On nie wie. - Zerwał się, pochodził po pokoju. - Stern nie wie, co naprawdę było przyczyną śmierci! Tego jeszcze za mojej pamięci... Żeby taki świetny fachowiec nie rozpoznał?

Daniłowicz sięgnął po protokół, zaczął czytać. Potem odłożył dokument i rzekł w zamyśleniu:

- Napisał: "silne ciśnienie z zewnątrz". To by mogło być, powiedzmy, coś w rodzaju cylindra kesonowego. Nie pamiętam dokładnej nazwy, w każdym razie używa się go przy drążeniu pod dnem wody na dużej głębokości. Albo jakaś inna komora, może sztolnia ciśnieniowa! Takich sztolni używa się na przykład w przedsiębiorstwach wodnych, tam to ciśnienie wykorzystują do poruszania, maszyn.

- Zbyt skomplikowane. Zabójca musiałby wepchnąć ofiarę do sztolni czy komory, nie byłby wtedy sam, bo w zakładach wodnych i przy robotach kesonowych są przecież wartownicy, służba techniczna. Zastanawia mnie - urwał na chwilę, zajrzał znów do protokołu. - Stern wykluczył śmierć wskutek upadku z dużej wysokości. Jako jedyną przyczynę podaje ciśnienie! Ewentualne! Wygląda na to, że w swej wieloletniej praktyce nie miał dotąd do czynienia z czymś takim. Stefan, dajemy

komunikat do prasy?

- Tak. I pošlij zdjęcia.

- Facet nie był karany, linie papilarne nieznane. Ubrany przyzwoicie, ręce umysłowego, złoty atlantic... czy wspomniałem ci, że zgniecione szkiełko i wskazówki?

- To mogło być wskutek uderzenia ręki o ziemię albo nadeptnięcia butem przez zabójcę. Pamiętaj, że musieli go wieźć samochodem, być może w bagażniku.

Dwa dni później w gazetach stołecznych ukazał się komunikat, a w niektórych - zdjęcie nieboszczyka. Prasa prowincjonalna podała wiadomość z dobowym opóźnieniem. Szczęsny rozmawiał długo z doktorem Sternem, potem z paru znajomymi technikami i inżynierami. Odwiedził Zakład Kryminalistyki Komendy Głównej MO, wdał się w dyskusję z docentem chemii i z fizykiem. Usłyszał mnóstwo technicznych możliwości, sugestii, zasypano go szczegółami na temat manometrów, wodomierzy, trujących gazów, budowy mostów, wodociągów - wszystko to jednak nie dawało konkretnej odpowiedzi na pytanie: jak zginął człowiek, znaleziony na brzegu lasu.

* * *

- Stern powoli wycofuje się ze swojej teorii o ciśnieniu z zewnątrz - powiedział major, wchodząc do gabinetu szefa. - Konsultował wyniki sekcji ze znajomym profesorem anatomopatologiem z Wrocławia, zapomniałem nazwiska, nieważne. Obaj doszli do wniosku, że po pierwsze nie mieli dotąd do czynienia z podobnym przypadkiem, po drugie nie znają sytuacji, w której człowiek mógłby doznać tak poważnych obrażeń wewnętrznych bez widocznych oznak z zewnątrz. Rozumiesz, żadnych ran, sińców, złamanych kości i tak dalej.

- Jeżeli wycofuje się z teorii o ciśnieniu jako przyczynie śmierci, to co ją w takim razie spowodowało?

- On po prostu nie wie. I dlatego od paru dni nie może spać, jest w podłym nastroju, gryzie go ta niewiedza. Pewnie przesadza. Ale znam go już tyle lat i nie zdarzyło się, żeby nie umiał określić, dlaczego denat zmarł. Zawsze było to coś konkretnego: uderzenie, przebicie ostrym narzędziem, uduszenie, utopienie, otrucie. Czy ja wiem, co jeszcze? Oczywiście pomijam śmierć naturalną. Wczoraj Stern zadzwonił do mnie i, zresztą również niepewnie, zasugerował zatrucie gazem. Jakimś nie znanym bliżej, specjalnym rodzajem gazu, który powoduje te wszystkie obrażenia. Myślę...

Urwał. Do gabinetu wszedł porucznik z wydziału ogólnego i powiedział:

- Odebrałem u siebie telefon od pani, która zobaczyła w gazecie zdjęcie tego nieboszczyka i rozpoznała w nim ojca. Pozwoliłem sobie poprosić ją tutaj, bo pewnie pułkownik chciałby porozmawiać.

- Jasne, że chciałbym! Kiedy dzwoniła?

- Parę minut temu.

- Wymieniła jego nazwisko?

- Tak. Adam Grodzki. A ona się nazywa Jaworska, jest mężatką.

- Poruczniku, bądźcie tak uprzejmi i zejdźcie do biura przepustek. Poczekaście na nią, potem przyprowadźcie do mnie. Dlaczego telefonowała do was?

- Nie wiem. Pewnie centrala tak połączyła. To ja idę na dół.

- Grodzki, Grodzki... - Szczęśny szukał w pamięci, ale nic mu to nazwisko nie mówiło. - Słyszałeś o nim?

- Raczej nie. Za dużo ludzi znam, żeby wszystkich pamiętać.

Gdzieś po kwadransie zastukano do drzwi. Weszła kobieta w ciemnym płaszczu, młoda, nie umalowana. Za nią ukazał się porucznik.

- To właśnie pani Jaworska - mruknął i znikł.

Daniłowicz podniósł się z krzesła, wyszedł zza biurka. Poprosił, aby zajęła miejsce. Szczęśny trzymał się trochę z boku i przyglądał się uważnie nieznanemu. Dostrzegł bladość twarzy, lekkie sińce pod oczami, drżenie warg. Była nieładna, miała chyba nie więcej niż dwadzieścia kilka lat. Ubiór wskazywał na pewną zamożność i wyrobiony gust. Ścisnęła w dłoni gazetę i patrzyła na pułkownika z wyrazem twarzy trudnym do określenia.

- To mój ojciec - powiedziała. - Nie żyje?

- Nie żyje. Znaleźliśmy go cztery dni temu, we wtorek na brzegu lasu w pobliżu miasteczka Kowalewo, właściwie to gmina. Pani jest córką?

- Tak. Trzy lata temu wyszłam za mąż za Lucjana Jaworskiego. Mąż też chciał tu przyjść, ale ma dużo pracy.

- Proszę mi podać bliższe dane ojca. Mieszkaliście państwo razem?

- Nie. Ojciec mieszkał sam. Ja mam jeszcze brata, Andrzeja. Ale on jest teraz w Londynie, wyjechał służbowo. Pracuje w handlu zagranicznym. Też mieszka oddzielnie. Ma kawalerkę na Żoliborzu. A my mieszkamy na Ursynowie.

Mówiła spokojnie, wolno odmierzając słowa. Spoglądała gdzieś w bok nieruchomymi piwnymi oczami.

- Ojciec nazywał się Adam Grodzki, tak?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Czym się zajmował?

- Był ekonomistą. Przez wiele lat pracował jako dyrektor departamentu w ministerstwie. Odszedł na wcześniejszą emeryturę, chyba - zawahała się - tak, półtora roku temu. Miał teraz sześćdziesiąt dwa lata. Matka moja zmarła dość dawno temu, ja byłam jeszcze dzieckiem, Ojciec drugi raz się nie ożenił. Mieszkaliśmy we trójkę, dopóki ja nie wyszłam za mąż. Krótco po mnie Andrzej też się wyprowadził.

- Więc pan Grodzki mieszkał teraz sam. Proszę podać adres.

- Nieduża willa na Mokotowie, ulica Świeradowska trzy.

- Czy orientuje się pani, co ojciec robił, powiedzmy, w ostatnim roku? Czym się zajmował, z kim spotykał?

Milczała chwilę, mnąc w palcach gazetę. Rzuciła przelotne spojrzenie w głąb pokoju, zatrzymała je przez sekundę na Szczęsnym i odwróciła głowę.

- Właściwie - zaczęła niepewnie - ojciec nie... to jest, chciałam powiedzieć, że...

- Nie utrzymywał z ludźmi kontaktów? Nie miał dawnych kolegów? Przyjaciół?

- To nie tak. Miał, na pewno. Ale ja ich nie znałam. Może kilku, jeszcze z jego pracy. Zresztą nie wiem! - Nagle podniosła głos, jakby czymś urażona. - Ja... nie wiem.

- Kiedy pani ostatni raz widziała się z ojcem?

Mruknęła coś pod nosem, znowu pomilczała. Poprawiła kołnierzyk jasnej haftowanej bluzki, pod szyją miała srebrną broszkę. Rozpięła płaszcz, zaraz potem otuliła się nim, może zrobiło się jej chłodno.

- Napije się pani herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Więc kiedy pani widziała ojca po raz ostatni?

- Chyba... w kwietniu. Spotkaliśmy go, byłam z mężem na spacerze w Łazienkach. W którąś niedzielę.

- Nie przychodził do was?

- Raczej rzadko.

- Z pani mężem też się nie widywali?

- Nie, Ojciec nie lubił wizyt. Naszych - uzupełniła obojętnym głosem.

Daniłowicz patrzył na nią, zastanawiając się nad następnym pytaniem. W końcu rzekł:

- Czy pani rzeczywiście na zdjęciu w prasie rozpoznała twarz ojca? Bo jeżeli tak, będziemy musieli zawieźć panią do Zakładu Medycyny Sądowej, aby... abyśmy mieli pewność. Zresztą może pojechać mąż. Wspomniała też pani o bracie?

- Andrzej, tak. Ale go teraz nie ma w kraju. Wiem, bo telefonował do nas z Londynu. Miałam mu coś załatwić.

- Co? - nagle odezwał się Szczęsny, nie ruszając się z miejsca.

Popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami, wargi jej drgnęły lekkim grymasem, zanim odpowiedziała:

- To sprawa osobista.

- A kiedy wyjechał? - spytał Daniłowicz.

- Chyba dwa tygodnie temu. W "Interfoxie" będą wiedzieć, on tam pracuje. Jest chemikiem.

- Czy ojciec pani miał w domu kogoś do pomocy? Mam na myśli sprzątaczkę, może ktoś gotował mu obiady, robił sprawunki?

Znowu ten przelotny grymas ust, jakby ironiczny.

- Nie wiem.

- Odwiedzała go pani?

- Nie.

- Czy był między wami jakiś konflikt? Wzruszyła ramionami. Wyszepiała coś, co można było zrozumieć jak: "moja rzecz" czy "moja sprawa".

- Nie, proszę pani - pułkownik powiedział trochę ostrzej. - To już może być też i nasza sprawa. Pan Grodzki został zamordowany.

Spodziewali się okrzyku zgrozy, wybuchu płaczu. Zamiast tego pokiwała tylko głową.

- Domyśliłam się z komunikatu, chociaż tam nie było napisane. Ale twarz... Zresztą gdyby zmarł zwyczajnie, w szpitalu, nie dawalibyście do gazet.

- Nie pyta pani, jak to się stało? I gdzie?

- I tak w końcu się dowiem. Ale ja tam nie pojedę! - zastrzegła stanowczo.

- To znaczy, gdzie? Do miejsca, gdzie znaleźliśmy zwłoki?

Spojrzała na pułkownika, spłoszona. Wyjęła z torebki chusteczkę, dotknęła policzków i nosa.

- Miałam na myśli Zakład Medycyny Sądowej.

- Gdzie pracuje pani mąż?

- Jest kierownikiem domu handlowego "Jantar".

- Zna pani numer telefonu?

Kiwnęła głową, podała z pamięci. Daniłowicz połączył się, poprosił do aparatu "pana kierownika Jaworskiego", potem wyjaśnił, że obecność jego w Urzędzie jest konieczna, niech się zwolni i zaraz przyjedzie. Jaworski czekał być może od rana na ten telefon, bo odpowiedział tylko: "Już jadę". Siedzieli potem w milczeniu; Szczęsny wynotował z dowodu osobistego kobiety jej dane personalne, szef od czasu do czasu odbierał telefony, coś tam zlecał, notował. Zgłosiło się już kilka osób, które rozpoznały na zdjęciu Adama Grodzkiego. Byli to jego dawni koledzy z ministerstwa, a także kuzyn zmarłej żony.

Lucjan Jaworski wszedł do pokoju zadyszany, choć było to tylko drugie piętro; jesienią i na wiosnę dokuczała mu astma. Średniego wzrostu, o ramionach trochę za szerokich i grubym karku, uklonił się obu oficerom, żonę przelotnie cmoknął w rękę i przysiadł obok niej.

- Prosiliśmy pana o przybycie - rzekł Daniłowicz - gdyż pańska małżonka odmawia jazdy na Oczki w celu rozpoznania...

- Ja pojedę! - przerwał Jaworski. - Joasia jest bardzo nerwowa, wolałbym jej tego oszczędzić. Zresztą wcale nie mam pewności, że to mój teść. Zdjęcie nie jest zbyt wyraźne.

- Znał pan go dobrze? Bo od żony słyszeliśmy, że nie utrzymywaliście bliższych kontaktów.

Kierownik zakręcił się niespokojnie na krześle, odkaszlnął.

- Faktem jest, żeśmy się często nie widywali, teść nie lubił wizyt, a ja mam bardzo mało czasu dla siebie. "Jantar" to duży obiekt handlowy. Ale przecież rozpoznam teścia z całą pewnością. Chyba że... Ma twarz, tego, no... zmienioną? Na zdjęciu na to nie wygląda.

- Nie - powiedział major, podając mu jedno wyjątkowo ostre - niech pan się przyjrzy. Tu widać lepiej niż na gazetowym papierze.

Jaworski popatrzał na fotografię westchnął i szepnął:

- Mój Boże. Tak, to on. Dlaczego był ten komunikat? Czy zabito go gdzieś poza domem?

- Kto panu powiedział, że został zabity?

Lucjan zmieszał się, poczerwieniał. Jego żona nie odzywała się od chwili kiedy wszedł, teraz jednak uniosła głowę i powiedziała:

- Przecież to jasne, że...

- Nie panią pytałem! - Czarne wąskie oczy Szczęsnego błysnęły. - Więc skąd panu przyszło na myśl, że teść został zabity?

- Rozmawialiśmy o tym dziś rano, w domu, kiedy przyniosłem z kiosku gazetę. Wprawdzie w komunikacie nic nie napisano o morderstwie, ale od razu było wiadomo, że coś takiego musiało się stać. Jeżeli milicja czy prokuratura zapytuje, kto zna osobę na zdjęciu, to albo ona zaginęła, albo chodzi o jakieś przestępstwo. Na pewno nie umarł w swoim mieszkaniu i nie w szpitalu, bo wtedy miałby przy sobie dokumenty.

- Pan Adam Grodzki został znaleziony we wtorek szóstego października, to znaczy cztery dni temu - rzekł pułkownik. - Leżał na brzegu lasu w pobliżu drogi, niedaleko Kowalewa. Nie było przy nim żadnych dokumentów ani w ogóle portfela. Dlatego daliśmy komunikat.

- Czy wiadomo, jak zginął? - Jaworski wymówił to szeptem, jakby chcąc oszczędzić nerwy swej żony, choć siedziała tuż obok i musiała usłyszeć. Nie zareagowała jednak.

- Nie mamy jeszcze dokładnych wyników sekcji - odparł major wymijająco. - W każdym razie na ciele nie znaleziono żadnych obrażeń zewnętrznych.

- Więc może to jednak zawał? Ale co by robił w lesie? A jego wóz? Chcę powiedzieć, że gdyby samochód stał gdzieś w pobliżu, to by wskazywało, że pojechał, bo ja wiem, na grzyby? Nie znam bliżej upodobań teścia.

- Jaki miał wóz?

- Ford-Sierra, model tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt cztery. Granatowy.

- Gdzie go trzymał?

- W garażu swojej willi - mruknęła Joanna. Miała dreszcze, bolała ją głowa. - Czy ja już mogę odejść? Źle się czuję.

Mąż spojrzał na nią z troską w oczach.

- Może ja cię wpierw odwiozę do domu? - zaproponował. - Mam na dole samochód. Potem tutaj wrócę i pojedziemy z którymś z panów na Oczki.

- Proszę bardzo - rzekł pułkownik. - W takim razie czekamy na pana.

Po wyjściu Jaworskich Szczęsny usiadł na brzegu biurka, zapalił i spoglądał na szefa spod przymrużonych powiek.

- Co o nich myślisz? - Daniłowicz z pewnym trudem wyrwał spod majora teczkę z aktami i przezornie oparł na niej łokcie.

- Jeszcze niewiele. Dziwi mnie tylko jej zachowanie. No, bo można być w permanentnej wojnie z rodzicielem, ale kiedy przychodzi śmierć, w dodatku przestępcza... W ogóle tym się nie przejęła.

- Zauważyłem bladość twarzy, podsinione oczy i jakby otępienie, może ukrytą rozpacz?

- Gadanie! Jest blada, bo chora, pewnie przeziębiona. Przypomnij sobie, że nawet nie spytała, jak to się stało. "I tak w końcu się dowiem" - przedrzeźnił lekko sepleniący głos Joanny. - Jakby chodziło o zabitego kota czy pieska. Baba nie ma serca - dokończył, przenosząc się z biurka na krzesło. - Ten kierownik wygląda rozsądniej. Pojadę z nim do Zakładu, potem wrócę i trzeba będzie wziąć ekipę techniczną, otworzyć willę na Świeradowskiej. - Zagwizdał kilka taktów piosenki "Smutne do widzenia" - Jak myślisz, kto go w końcu zabił?

- Nie mam pojęcia - mruknął szef. - Bierz sprawę, to się dowiesz.

Jaworski wrócił po czterdziestu minutach i zadzwonił z biura przepustek, że czeka. Szczęsny zbiegł na dziedziniec przed Urzędem, rozejrzał się. Kierownik "Jantara" stał oparty o małe czarne suzuki-alto; major ocenił wóz na cztery miliony, przelotnie zastanowił się, ile może wynosić pensja właściciela postanowił jednak o tym nie myśleć. Do niego należały zabójstwa, nie sprawy posiadania tego czy owego, nawet gdyby w grę wchodziły miliardy.

Pojechali do Zakładu Medycyny Sądowej. Jaworski nie był tam nigdy, więc Szczęsny dla pewności trzymał go za łokieć; zdarzały się tu bowiem nagłe omdlenia. Lucjan wyraźnie pobladł, ale szedł posłusznie. Stał nad ciałem, zakrytym białym prześcieradłem, a kiedy laborant odsłonił twarz, Jaworski popatrzał chwilę, kiwnął głową i odwrócił się. Chciał stąd wyjść jak najprędzej.

- Zaraz - powstrzymał go major. - Trzeba to jakoś formalnie. Poznaje pan w zmarłym swego teścia, Adama Grodzkiego?

- Poznaje - wyszeptał zięć, przejęty zgrozą.

Podpisał oświadczenie, wzdrygnął się i ruszył do wyjścia. Na dworze ochłonął nieco, wytarł spoconą twarz, raptem przystanął i spytał już normalnym głosem:

- Więc jak to się stało? Na - zawahał się - no, na głowie nie zauważyłem żadnego śladu uderzeń, pobicia.

- Na ciele też nie ma.

- W takim razie, co? Zawał? Nie, przecież prowadzicie śledztwo w sprawie zabójstwa. Dlaczego?

- Nie wiem - odparł Szczęsny obojętnie. Nie lubił takich pytań.

- Jak. to: nie wie pan? - Kierownik okazał się nagle dociekliwy. - Muszą być jakieś oznaki, wskazujące na przestępstwo.

- Widzi pan, myśmy to śledztwo dopiero zaczęli. Kiedy zakończymy i będzie już wszystko jasne, wtedy panu odpowiem.

- Ale dlaczego w ogóle zaczęliście?!

- Sądzi pan, że Adam Grodzki ot tak, dla jakiegoś widzimisię, wybrał się nocą do lasu, pieszko, a to jest od Warszawy kilkadziesiąt kilometrów, w nocy żaden autobus tam nie chodzi, i że ktoś mu zabrał portfel, ale zostawił złoty zegarek, obrączkę, a przy tym wszystkim nie używał przemocy? Być może teść miał zwyczaj oddawać przygodnym znajomym swoje dokumenty i po to właśnie poszedł w las?

- Żartuje pan - mruknął kierownik. Otworzył drzwiczki samochodu. - Podwieźć?

- Nie, dziękuję. Chciałbym jeszcze chwilę z panem porozmawiać. Może wsiądziemy?

Wsiadli więc, zapalili. Jaworski milczał, widocznie czekał na pytania. Nie wytrzymał jednak długo i rzekł:

- Jak będzie z pogrzebem? Czy już możemy zabrać ciało?

- Tak.

- Muszę zawiadomić Andrzeja. Ale, prawda! On jest w Londynie, a nie mamy jego adresu. Zresztą pewnie znają ten adres w "Interfoxie". O czym pan chciał rozmawiać?

- Jaki był pański teść?

Lucjan zadumał się. Widać było, że pytanie sprawia a mu kłopot.

- Jako urzędnik czy jako człowiek prywatny?

- Powiedzmy, jako teść, ojciec.

- Był z pewnością dobrym obywatelem, respektującym zasady współżycia społecznego, bezwzględnie uczciwym pracownikiem...

- Przecież nie o to pytałem! - przerwał Szczęsny. - Jaki był dla swoich dzieci, dla pana? W domu, w rodzinie?

Jaworski stulił wargi w ryjek, przesunął palcami po gęstych, lekko szpakowatych włosach.

- Matka Joasi i Andrzeja zmarła dawno temu - rzekł. Wydawało, się, że starannie dobiera słowa. - Teść wychowywał dzieci samotnie, dla nich nie ożenił się po raz drugi. Przychodziła tam tylko jakaś daleka krewna, pomagała w domu. Ona już nie żyje. Co do mnie... Teść nie sprzeciwiał się naszemu małżeństwu; szanowaliśmy się wzajemnie. To była nieprzeciętna jednostka, wie pan!

- Pod jakim względem?

- Charakteru, obcowania z ludźmi. Doceniano go w pracy, miał wiele dyplomów, kilka orderów, nagrody. Kierował dużym zespołem urzędników i dawał sobie radę w sposób, powiedziałbym, niecodzienny.

- To znaczy, jaki?

- Wie pan, jacy bywają dyrektorzy. Despoci albo przeciwnie, oglądają się tylko wyżej po instrukcje. Teść był bardzo dobrym fachowcem i nie potrzebował instrukcji, w każdym razie w codziennej praktyce.

Szczęśny słuchał i czekał cierpliwie, aż kierownik powróci do życia rodzinnego, też “w codziennej praktyce”. Nie doczekawszy się, spytał wprost:

- Dlaczego pańska żona tak mało interesowała się ojcem? Nie kochała go?

- Ach, skądże! - obruszył się Lucjan. - Kochała, to oczywiste. Być może - zawahał się - teść miał usposobienie raczej chłodne w stosunkach rodzinnych. Andrzej też rzadko zaglądał na Świeradowską. Ale nie ma mowy o jakimś konflikcie, to nonsens. - Uśmiechnął się trochę bezradnie. - Ludzie mają różne charaktery - rzucił frazesem. - Czy jeszcze o coś pan chce zapytać?

Podał warszawski adres szwagra, zapuścił silnik. Pożegnali się i major wysiadł. Stał chwilę przed Zakładem, potem wrócił na salę sekcyjną. Dwóch laborantów pracowało przy długich stołach; Sterna nie było, inni lekarze wyszli na kawę. Szczęśny poprosił, by jeszcze raz odsłonięte twarz Adama Grodzkiego. Wpatrywał się w nią długo, rozważając coś w myślach. Zauważył wyraźne podobieństwo pomiędzy ojcem i córką. Stary laborant przydreptał, popatrzał również i rzekł:

- Oni myślą teraz, że to gaz. A według mnie, coś go przydusiło.

- Co?

- Ba! Żebym to ja wiedział. Nie zgruchotało kości, więc nie pojazd ani jakaś ciężka skrzynia czy kamień. Szef mówił panu majorowi, że na ubraniu znaleźliśmy ślady torsji?

Słowo “szef” oznaczało Sterna i Szczęśny zdziwił się. Czyżby przeoczył to w protokole? Lekarz był dokładny i sumienny. Spytał, czy mają pod ręką kopię; laborant miał i przyniósł. Tak, wzmianka o zabrudzonym ubraniu znajdowała się tam i major zawstydził się sam przed sobą. Ten szczegół mógł mieć pewne znaczenie.

- Trujący gaz daje podobne objawy - ciągnął laborant. - Ale na to mi nie wygląda. Mówiliśmy tu z kolegą, czy silne potrącenie przez samochód, jakieś takie nietypowe uderzenie byłoby w stanie spowodować śmiertelne urazy wewnętrzne, nie naruszając kości.

- I do jakich wniosków doszliście?

Laborant machnął ręką.

- Do żadnych - burknął i odszedł.

* * *

Kiedy już stało się wiadome, kim jest zmarły, ruszyła lawina telefonów, niecierpliwych popędzań ze strony wyższego kierownictwa, mnóstwa pytań, dociekań i ad hoc wymyślanych teorii. Tajemniczą śmiercią zasłużonego człowieka zainteresowali się jego dawni przełożeni i podwładni, próbowała dotrzeć do źródła informacji prasa i telewizja.

Daniłowicz zbywał, jak mógł i póki mógł, ten najazd, Szczęsnego po prostu nie było w Urzędzie. Pojechał do biura "Interfoxu", tam już zresztą wiedzieli i próbowali zawiadomić Andrzeja Grodzkiego w Londynie.

- Kiedy pan Grodzki wyjechał? - spytał naczelnika wydziału.

- Około dwóch tygodni temu - odparł siwy, przygarbiony pan o twarzy podobnej do zasuszonego groszku w łupince, miała nawet ten sam delikatny, szarozielonkawy odcień. - Ale był w Warszawie w sobotę i niedzielę.

- Którą sobotę i niedzielę?

- Ubiegłą. Trzeciego i czwartego. Zdaje się też, że pozostał jeszcze dzień czy dwa, miał do załatwienia jakieś sprawy osobiste.

- To znaczy, że mógł być w Warszawie piątego października?

- No, mógł. Zaraz, chwileczkę! Był z pewnością, bo przecież widziałem się z nim w poniedziałek, a to był właśnie piąty. - Siwy pan nagle umilkł, wyraźnie przestraszony. - Czy - podjął, przełknąwszy ślinę - chyba nie sądzi pan... nie sugeruje pan...?

- I kiedy odjechał do Londynu?

- Sprawdzę. - Po chwili naczelnik bezradnie rozłożył ręce. - Niestety, tego nie wiemy. Przypuszczam, że następnego dnia. Nie rozliczamy tak dokładnie naszych pracowników co do dnia i godziny. Najważniejsze, żeby dobrze pracowali. A kolega Grodzki spełnia wszelkie nasze oczekiwania. - Chrząknął, zatarł ręce. - Czy jeszcze coś?

Szczęсны potrzęsnał głową, pożegnał się i wyszedł z "Interfoxu". O "rozkładzie jazdy" "Andrzeja Grodzkiego" poinformują go wopiści. Wrócił do Urzędu, gdzie w gabinecie Daniłowicza zastał Joannę Jaworską. Nie mieszał się do rozmowy, słuchał tylko i rozmyślał. W pewnej chwili jednak odezwał się jakby mimochodem:

- Widziała pani brata w poniedziałek?

Jaworska spojrzała na niego z irytacją.

- W który poniedziałek?

- Piątego października.

- Przecież był wtedy w Londynie!

- Więc nie widziała go pani? Tutaj, w Warszawie? Piątego?

Daniłowicz nie przerywał; zorientował się, że Szczęsny ma nową informację.

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - wzruszyła ramionami.

- Dobrze. Kiedy była pani ostatni raz u brata, w tej jego kawalerce?

Milczała chwilę. Zamykała i otwierała torebkę, wyjęła mały notatnik, ale zaraz schowała z powrotem.

- Może miesiąc temu - odparła wreszcie z ociąganiem. - Nie pamiętam. Przecież to nieważne. - Spojrzała na pułkownika. - Ja nie mam już nic więcej do powiedzenia.

Oficerowie wymienili spojrzenia, Szczęsny lekko poruszył głową.

- Proszę, może pani odejść - rzekł Daniłowicz. - W sekretariacie ostemplują pani przepustkę.

Już w drzwiach powiedziała, na wpół do siebie:

- Trzeba zawiadomić stryja Kazimierza. Chyba jeszcze nie wie.

ROZDZIAŁ 2

Mężczyzna wysoki, barczysty, ubrany z pozoru niedbale - ale była to niedbałość elegancka, opracowana w szczegółach - szedł Nowym Światem spoglądając to na wystawy sklepowe, to na mijanych przechodniów. Widać było, że mu się nie spieszy tego późnego październikowego popołudnia. Twarz miał pociągłą, nos prosty z nieznacznym garbkiem, oczy o przenikliwym spojrzeniu i mały, rozczulający (kobiety) dołek w brodzie.

Przed popularnym barkiem kawowym "Kuchcik" zatrzymał się, zastanawiał chwilę, potem wszedł. Stał w kolejce do lady z ekspresem, wyjął portfel. Raptem ktoś spojrzał na niego, przedarł się przez tłum gości, skupionych przy wysokich stołach i położył mu rękę na ramieniu. Mężczyzna odwrócił się, uśmiechnął.

- Jak się masz, Witoldzie! - rzekł przyjaznym tonem. - Też cię skusiła kawa?

Tamten przez parę sekund patrzył na niego z nie ukrywanym zdumieniem. Zagryzł wargi, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć. W końcu szepnął tylko:

- Wyjdź z kolejki, staniemy z boku.
- Dlaczego? I czemu mi się tak przyglądasz, jakbym zmienił się w Murzyna?
- Ty nic nie wiesz?
- O czym, do licha? Czy coś się stało?
- Gdzie byłeś na urlopie?

Stali teraz w głębi baru, obok nich miejsce było puste.

- W takiej małej, cudownej dziurze niedaleko Warszawy. Zaszłyłem się u znajomych moich znajomych, świetny urlop! Cisza, spokój. Nie czytałem gazet, nie oglądałem telewizji ani nie słuchałem radia. Idealny wypoczynek. Czy coś zaszło w Instytucie? Może nam zmienili szefa? O, to by dobrze zrobili - roześmiał się.

- Kaziu, więc ty rzeczywiście nie wiesz... Nikt z rodziny cię nie szukał, nie zawiadamiał o jego śmierci?

Twarz wysokiego mężczyzny raptem ściągnęła się niepokojem.

- Czyjej śmierci? - spytał już z powagą.
- Twojego brata, Adama.

Nastąpiła chwila ciszy. Kazimierz Grodzki patrzył rozszerzonymi oczami na swego kolegę, jakby nie mógł uwierzyć. Potarł czoło, rozejrzył się dokoła niewidzącym spojrzeniem.

- Adam umarł? - powiedział w głębokim zdumieniu. - Jak to? Przecież był zdrow, wcale nie chorował. Czy to wypadek?

- Nie. - Kolega odwrócił wzrok; pomyślał z gniewem, że nie trzeba było podchodzić, odzywać się, postawił się teraz w niezręcznej sytuacji. Tak go jednak zdziwił beztroski wygląd Kazimierza, że nie wytrzymał.

- Nie wypadek? - pytał tamten. - Więc serce? Człowieku, Adam miał dopiero sześćdziesiąt dwa lata i chyba w życiu swoim nie leżał w szpitalu. Jakaś katastrofa samochodowa?

- Słuchaj, ja dobrze nie wiem - wykręcił się. - Było zdjęcie w gazetach i komunikat.
- Jaki komunikat?
- No, pytali, kto poznaje osobę na zdjęciu.

- Adam był na tym zdjęciu?

- Tak. Twoja bratanica, pani Jaworska, dzwoniła do Instytutu, chciała się dowiedzieć, gdzie jesteś na urlopie. Ale myśmy też nie wiedzieli. Skontaktuj się z nią, to się dowiesz więcej.

- Naturalnie, zaraz do nich pojedę. Kiedy był ten komunikat?

- Parę dni temu.

- Poczekaj. - Kazimierz już chciał wyjść, ale nagle zatrzymał się. - Jeżeli pytali, kto jest na zdjęciu, znaczy, że... - Umilkł, twarz miał teraz bladą, postarzałą. Witold przyglądał mu się ze współczuciem.

- To znaczy, że go znaleźli gdzieś bez dokumentów. Tak?

- Zdaje się, że tak. Nie znam szczegółów. Pojutrze ma być pogrzeb. Ale że ty nic nie wiedziałeś! - Zadziwił się, pokiwał głową. - Jedź do rodziny, oni ci powiedzą. Albo chcesz? Wezmę ci kawę.

- Nie, kochany. Nie mógłbym teraz nic przelknąć. Dziękuję ci, że mi powiedziałeś. Chodziłbym po mieście jak głupi. Do widzenia!

Na Ordynackiej udało mu się złapać taksówkę, pojechał na Ursynów. Zadzwoił do drzwi niecierpliwie, nie odrywając palca od kontaktu. Jaworska otworzyła z twarzą gniewną, już miała zwymyślać za ten alarm, ale na widok Kazimierza oczy jej pojaśniały.

- Jak dobrze, stryju, że jesteś! - powiedziała z ulgą. - Nie wiedzieliśmy, gdzie cię szukać. Nie zostawiłeś adresu w Instytucie, a tutaj... - umilkła nagle.

- Ja wiem, Joasiu - powiedział cicho. - Dowiedziałem się zresztą przypadkiem, spotkałem kolegę. Więc zaraz tu przyjechałem.

Weszli do pokoju, Jaworska przeprosiła na chwilę, przyniosła kawę i koniak. Obserwował jej ruchy, twarz; chciał się zorientować, czy bardzo przejęła ją śmierć ojca.

- Jak to się stało? - spytał. - Podobno było zdjęcie w gazetach i jakiś komunikat?

- Więc ty nie czytałeś? Jak to możliwe?

- Widzisz, zaszyłem się w małej miejscowości, nie zaglądałem do pism, nie patrzyłem w telewizor. Moi gospodarze jakoś chyba nie skojarzyli tej wiadomości ze mną. Nie wiem zresztą nawet, czy znali komunikat. Powiedz mi, co się właściwie stało z Adamem?

Milczała przez chwilę, nerwowo splatając ręce. Miała na sobie czarny kostium, niczym nie ozdobiony, czarne pończochy i pantofle o wąskich nosach. Zauważył, że oczy ma lekko zaczerwienione. Płakała - pomyślał. - A przecież...

- Znalezione ojca w pobliżu wsi Kowalewo, na skraju lasu. Znalazł jakiś rolnik, zawiadomił posterunek milicji. Przyjechali. Następnego dnia była sekcja, tu, w Zakładzie Medycyny Sądowej. Ojciec nie miał przy sobie portfela ani żadnych dokumentów, więc milicja nie wiedziała, kto to jest. Dlatego dali do gazet zdjęcie i komunikat. Zobaczyliśmy z Lucjanem, ja zaraz pojechałam do Pałacu Mostowskich. Lucjan potem też, bo go wezwali.

- No, ale jaka przyczyna śmierci? I dlaczego... skąd się wziął w tym lesie?

- Nie wiem. A przyczyny śmierci oni nie znają.

- Kto: oni?

- Milicja. Lekarz, co robił sekcję.

Kazimierz wstał, podszedł do okna. Machinalnie poprawił firankę, potem wrócił na fotel. Joanna dołała mu koniaku. Wypił, zapalił.

- Przyznam ci się, że zupełnie tego nie rozumiem - odezwał się wreszcie. - Ktoś go napadł, pobił? Może przejechał go samochód? Zdarza się później, że odciągają ciało na bok i odjadą, bo się boją odpowiedzialności za wypadek.

- W milicji powiedzieli mi, że nie było zewnętrznych obrażeń.

- Tylko co? Przepraszam cię, pewnie wolisz o tych szczegółach nie mówić.

- Ja po prostu nic więcej nie wiem. - Popatrzyła na niego bezradnie, głos jej się załamał. Nagle wybuchnęła płaczem, widać od dawna tłumionym. Wybiegła do drugiego pokoju. Zastanawiał się, czy pójść tam za nią, pocieszać, ale nie znalazł właściwych słów. W końcu wstał, podszedł do nie domkniętych drzwi i powiedział:

- Joasiu, jadę teraz do Stołecznego Urzędu. Jak przyjdzie Lucjan, poproś go, żeby do mnie zadzwonił.

- Zaraz, stryju - odezwała się, wycierając nos. - Poczekaj.

Wyszła, już spokojniejsza. Pogłaskał ją po ciemnych włosach, przytulił do siebie.

- No, dziecko. Uspokój się. To już nic. nie zmieni. Słuchaj, kiedy ma być pogrzeb?

- Właśnie, o tym chciałam powiedzieć. Pojutrze o dwunastej. "Ciało jest w kaplicy pogrzebowej cmentarza. Lucjan wszystko załatwił, zamówił wieńce, klepsydry i nekrologi w prasie. Będzie bardzo dużo osób, bo ojca cenili i... chyba lubili.

- Lucjan sam załatwiał? A gdzie Andrzej?

- Za granicą. Nie wiemy, gdzie go szukać, w pracy nie znają adresu. Dzwoniliśmy do znajomych w Londynie, może go jakoś znajdą i wróci na czas.

* * *

Major Szczęsny, dobrawszy sobie ekipę śledczą w nieco zmniejszonym składzie, gdyż kolejnego trupa nie spodziewał się tak prędko znaleźć, pojechał do willi Adama Grodzkiego, na ulicę Świeradowską trzy. Ponieważ Jaworscy nie dysponowali kluczami, a ewentualnej sprzątaczką nie udało się jak dotąd odnaleźć, trzeba było z niemałym trudem wyważyć drzwi, pozamykane na mnóstwo skomplikowanych zamków. Najbliższy dozorca, przywołany na świadka, przyglądał się temu z zainteresowaniem. Kiedy jednak drzwi z trzaskiem ustąpiły, w popłochu chciał wzywać milicję, tak mu się to wszystko wydawało podejrzane. Uspokoił go widok stojącej na ulicy niebieskiej nisy z literami "MO".

Weszli do hallu. Grodzki zajmował całe piętro, cztery pokoje z przyległościami. Na parterze ktoś przeprowadzał remont, przez zakurzone szyby widać było drabinę, kubły i pędzle malarskie. Nie kręcili się tylko robotnicy, choć dozorca zapewniał, że powinni się tam znajdować.

- Dobrze. To potem - rzucił Szczęsny.

Ekipa rozeszła się po mieszkaniu. Fotograf wykonywał swoją robotę, technicy zdejmowali odciski linii papilarnych z czego się dało, a major zatrzymał się w pokoju, który gospodarz przeznaczył widać na gabinet. Stało tam ładne stylowe biurko, po ścianach biegły regały pełne książek, wisiało też parę starych obrazów. Pokój wyglądał tak, jakby Grodzki późnym wieczorem zakończył pracę przy biurku, poskładał papiery i poszedł spać.

Szczęsny wszedł więc z kolei do przyległej sypialni. Była mroczna, z ciężkimi zasłonami koloru czerwonego wina, z tapczanem przykrytym kapą z tego samego materiału - egipski brokat - z paru fotelami i ogromną, wzdłuż jednej ściany ustawioną szafą na ubrania i bieliznę. W powietrzu unosił się jeszcze delikatny zapach jakiejś wody lub płynu po goleniu. Jeden z techników zajrzał, pociągnął nosem i powiedział ze znawstwem w głosie:

- Wild Musk, firma Elida-Gibbs, Paryż i Wiedeń. Miał facet gust.

- I forszę - dodał drugi.

Stali teraz we trzech, rozglądając się wokoło fachowym wzrokiem. Tapczan był nie ruszony, nic z ubrań ani bielizny nie wisiało na krzesłach ani nie leżało bezładnie porzucone. Major otworzył szafę, a fotograf wycelował tam aparat, gotów do ataku na coś nieprzewidzianego. Ale w szafie panował również wzorowy porządek, buty tkwiły aa prawidłach, koszule i inne części garderoby, czyste i świeże jak nowe, czekały na właściciela. Rząd garniturów - od lekkiego tropiku poprzez różne odcienie brązu i szarzyzny aż do fraka - wisiał z godnością, obiecując właściwy krój, idealnie zaprasowane spodnie i wszystkie guziki w miejscach, w których być powinny. Trzy tuziny krawatów dopełniały reszty.

- Pedant - mruknął technik, znawca firmy Elida-Gibbs.

- Co on miał na sobie, tam w lesie? - spytał drugi.

- Szare flanelowe spodnie, podniszczony sweter brąz w zielone pasy, wiatrówkę pod kolor. Odpowiednie na wycieczkę do lasu.

- Skąd wiesz? - odezwał się Szczęsny.

- Co: skąd wiem?

- Że na wycieczkę.

Technik pocmokał dolną wargę, co było u niego przejawem zakłopotania.

- Nie wiem - odparł. - Ale przecież właśnie tak się ubrał, jakby szedł do lasu. Albo... - zamyślił się, odszedł w głąb mieszkania.

Major zastanawiał się przez chwilę nad tymi słowami. Technik słusznie rozumował. Grodzki, mając tak wspaniałą wybór ubrań, wyszedł z domu w starym swetrze i wiatrówce. A więc nie wybierał się chyba gdzieś w odwiedzin czy, powiedzmy, do lepszego lokalu. Ten sportowy strój nie przystałby mężczyźnie, który ukończył sześćdziesiąt dwa lata i ma za sobą długoletnią karierę dyrektorską w odpowiedzialnym departamencie. Czyli, biorąc to pod uwagę, wyszedł wówczas z mieszkania na wieczorny spacer. Pewnie przed kolacją, bo sekcja...

- Majorze, pan pozwoli do kuchni! - zawołali fotograf.

Pokazał mu otwartą lodówkę, zapełnioną po brzegi najróżniejszymi produktami żywnościowymi. Niektóre, jak polędwica drobiowa lub ser norweski, nosiły ślady noża; widać gospodarz już je napoczął przy kolacji czy śniadaniu. Pieczywo w emaliowanym pudle zeszło się na kamień. W szafce na naczynia kuchenne wszystko lśniło, jakby nigdy nie używane. Żadnej brudnej szklanki w zlewie, żadnego talerza z resztkami. Tylko w pojemniku na śmieci kawałek sznurka i zwinięty, zatłuszczony papier.

- Co chciałeś? - spytał Szczęsny. - Aha, ten porządek cię zastanowił.

- Musiał mieć sprzątaczkę, gospodynię czy coś w tym rodzaju. Babka tylko do łóżka nie dbałaby tak o kuchnię.

- Racja.

Wrócił do pokoju pierwszego od wejścia, urządzonego trochę na jadalnię, trochę na salonik. Siedział tam dozorca, palił popularnego i wzdychał raz po raz. Na widok oficera schował papieros w rękaw i syknął, bo go sparzyło.

- Niech pan pali. Proszę mi powiedzieć, czy pan Grodzki miał kogoś do sprzątania, gotowania?

- Miał - przyświadczył cięć. - Mogę zawołać. - Uniósł się z krzesła.

- Zaraz, a kto to jest?

- Moja stara. Znaczy się, żona.

- Pańska żona? No, to przecież musiała mieć klucze do tego mieszkania! - wykrzyknął Szczęsny z irytacją.

- Miała, ale zgubiła - rzekł ponuro. - Durna baba, gdzieś posiała i pan dyrektor strasznie się rozgniewał. Zmienił wszystkie zamki, a potem już jej kluczy nie dał, tylko sam wpuszczał, jak był w domu.

- A jak nie był?

- To nie wpuszczał - rzekł trochę zdziwiony dozorca.

- Miałem na myśli, czy w czasie jego nieobecności przebywał tutaj ktoś inny. Ktoś z rodziny na przykład.

- Ja tam nie wiem. Jak pana Grodzkiego nie było w domu, to moja nie wchodziła.

- Poproście tu żonę.

- Zawołam - sprostował po swojemu. - Przywlokę za ucho - mruczał, wychodząc z mieszkania. Stan wojenny z połowicą trwał bez przerwy od trzydziestu lat z górą. Ominął znajomą dziurę w chodniku, zapatrzył się na radiowóz i wyrznął głową w kamiennego amorka, stojącego pod daszkiem obok willi. Zaklął, pogroził mu pięścią. Ile razy tędy przechodził, tyle razy zapomniał, że ten poobtlukiwany posążek tkwi tu od niepamiętnych czasów nie wiadomo po co.

Żona dozorca zdążyła już opłakać chlebobawcę, odkąd oboje z mężem zobaczyli w "Expressie" zdjęcie. Rozmawiała więc z majorem spokojnie i rzeczowo. Tak, sprzątała tu, od czasu do czasu gotowała obiady, bo Grodzki lubił jadać na mieście i tylko jak był niezdrów prosił o domowy obiad. Pieniądzy nie żałował, kupowała wtedy najlepsze mięso na targowisku, najdroższe owoce i jarzyny na Polnej, a jeżeli ciasto, to tylko od "Bliklego".

- Czy przychodzili do niego goście?

- Na obiad to nie. Nigdy.

- A z rodziny? Miał przecież córkę i syna.

Popatrzała gdzieś w bok, siąknęła nosem.

- Może i miał - odrzekła niepewnie. - Pewnie, czemu by miał nie mieć, taki elegancki pan, bogaty - rozwiodła się niespodziewanie nad tematem. - Fotografia nieboszczki żony stoi w ramce na biurku, portret pani też dał zrobić, wisi obok lustra. Ale ja już jej nie znałam.

Szczęsny przyglądał się kobiecie z niedowierzaniem.

- Naprawdę nie wiedziała pani, że miał zamężną córkę i syna? Nigdy o nich nie wspomniał?

- Pan Grodzki nie był rozmowny - wtrącił się dozorca. - Co by tam miał o swoich sprawach opowiadać. I to komu jeszcze! - spojrział na żonę z pogardą. Kobieta odwróciła się tyłem, przy obcych nie wypadało robić awantury.

- Więc jeszcze raz, ale dokładnie: czy widziała pani w tym mieszkaniu któreś z dzieci pana Grodzkiego? Albo jego zięcia?

- Nie, proszę pana.

- I nie zna ich pani? Chociażby z widzenia?

- Nie znam, żeby tak zdrowa była. Jak tutaj przychodziłam, on siedział zawsze sam.

- Miał jeszcze brata, Kazimierza. Tego też pani nie zna?

- Brata miał? - Oboje spojrzeli wpierw na oficera, potem na siebie ze zdumieniem. Kobieta powiedziała: - Nigdy mi o żadnym bracie nie wspominał. Prawda, że rozmowny nie był, ale o nieboszczce żonie to czasami się odezwał. Dobrym słowem. Żałował, że tak wcześnie zmarła.

- I gdzie ten brat jest? - spytał dozorca.

Szczęśny nie odpowiedział, powrócił do ewentualnych gości.

- A poza rodziną nie widywała tu pani innych osób? Miał przecież kolegów z ministerstwa, znajomych.

- Przy mnie nikt nie przychodził. I pan nigdy nie kazał kupować czegoś dla gości, ciasto piec czy robić kanapki.

- Czy kiedy pani przychodziła sprzątać, nie widziała pani śladów jakiejś wizyty? Powiedzmy, brudne naczynia, niedopałki.

- Pan Grodzki nie palił. Nigdy u niego niedopałków nie znajdowałam. Te kilka popielniczek, co tam stoją, zawsze były puste. Brudnych szklanek albo talerzyków też nie widziałam.

- No, dobrze. Pewnie orientuje się pani w jego garderobie. Jeżeli tak, to proszę teraz obejrzyć szafy, czy czegoś nie brakuje.

Żona dozorca przejrzała półki i szuflady, po czym stwierdziła autorytatywnie, że brakuje brązowego swetra w zielone pasy, szarych spodni, wiatrówki z ciepłym podbiciem, brązowych zamszowych butów i koszuli w krateczkę. Poza tym nic.

- To miał na sobie, kiedy go znaleziono - wyjaśnił Szczęśny dla porządku. - Gdzie trzymał pieniądze?

Kobieta zrobiła obrażoną minę.

- Gdzie miał, to miał. Ja mu po szufladach nie szperałam.

- Przecież nie mówię! - zirytował się. - Mogła pani zobaczyć, skąd wyjmuję, choćby wtedy, kiedy dawał na sprawunki.

- Dawał, co miał w rękach. U siebie w pokoju uszykował, ile tam uważał, że trzeba, przychodził do kuchni i mówił: "Pani Heleno, proszę kupić to czy tamto". Brałam, ile dał. Resztę też akuratnie przynosiłam.

Machnął ręką, zniecierpliwiony.

- Kiedy przyszła tu pani po raz ostatni? Dziś mamy sobotę, dziesiątego.

Zamyśliła się, policzyła na palcach.

- Musi to było drugiego, w piątek.

- O której?

- O jedenastej. Pan mi otworzył i zaraz dał pieniądze na zakupy.

- Ile?

- Chyba... ze trzy tysiące. Tak, trzy. Pojechałam na targowisko, co prywatnie mięso sprzedają. Chciał, żeby mu uszykować obiad na sobotę i niedzielę, a co zostanie, to i na poniedziałek. Kupiłam półtora kilo cielęciny, trochę wołowego na rosół, dwa kilo jabłek na kompot. Ziemniaki jeszcze były w domu. Ciasta nie chciał, że to, mówił, tuczące. No, przyjechałam z tym wszystkim, nastawiłam rosół i wzięłam się za sprzątanie. Pan Grodzki siedział przy biurku, coś tam czytał.

- Telefon dzwonił?

- Nie słyszałam. Jak się włączy odkurzacz, to mało co innego słyszać. Porobiłam porządki, potem obiad. Zjadł tylko rosół, mówił, że nie głodny. Udusiłam cielęcinę, ugotowałam kompot. Wtedy wszedł do kuchni i powiedział, żebym już nie czekała, aż ostygnie, bo to gorącego do lodówki chować nie można. Że on sam potem pochowa, a teraz musi wyjść. No, to zmyłam tylko co mogłam, bo już stał w płaszczu i poganiał. Śpieszyło mu się gdzieś. Wyszliśmy razem, pozamykał drzwi. Wyprowadził auto z garażu, takie miał granatowe, duże. I pojechał, a gdzie, to nie wiem.

- I więcej już pani nie widziała Grodzkiego?

- Nie.

- Na kiedy była pani umówiona w następnym tygodniu?

- Na wtorek. Bo ja zwykle tak przychodziłam: wtorki i piątki. Wtorek, chyba szóstego? Więc

przyszłam na jedenastą, dzwoniłam, pukałam. Pomyślałam, że widać nagle gdzieś wyjechał, o czym jeszcze w piątek nie wiedział. Przyszłam znowu we środę i czwartek, nic. No, a w piątek zobaczyliśmy zdjęcie w gazecie, to już wiedziałam, że nie mam po co chodzić.

- Rozpoznała go pani na zdjęciu?

- Panie oficerze, toż ja bym go i po ciemku poznała! Choćby po tym pochrząkiwaniu co chwila.

- Na zdjęciu nie chrząkał - zauważył fotograf. Technicy zachichotali i uciekli do sypialni. Kobieta zachnęła się gniewnie.

- Takie żarty z nieboszczyka to zgroza!

- Fotografia była przecie wyraźna - wtrącił dozorca, który już za długo milczał. - Zaraz wiedziałem, że to on.

- To czemu pan nie zawiadomił milicji? - spytał Szczęsny z wyrzutem. - Przecież prosiliśmy w komunikacie.

Oboje milczeli chwilę, zakłopotani.

- Ja tam po komendach nie chodzę - burknęła. - Jeszcze się kto przyczepi: a co, a skąd, a czemu? Pan mówi, że miał dzieci. To gdzie one były? I żeby też nigdy do ojca nie przyjsć!

- Skąd pani wie, że nie przychodziły? Niekoniecznie od razu na obiad. Może wieczorem, może w niedzielę. Zresztą, córka... - urwał, nie musiał im tłumaczyć. - Dobrze, na razie dziękuję. Panu też.

Wyszli, ociągając się trochę; chcieli wiedzieć, co będzie dalej. Szczęsny zastanawiał się właśnie, jak naprawić wyłamany zamek we drzwiach, kiedy przed willę zajechał kremowy wartburg i gwałtownie zahamował. Wskoczył z niego mężczyzna w rozpiętej wiatrówce, w kaszmirowym szaliku, owiniętym na szyi i przerzuconym przez jedno ramię. Popatrzał na radiowóz, mruknął coś do siebie, potem wszedł do mieszkania.

- Jestem Kazimierz Grodzki - powiedział do majora. - Brat Adama.

Szczęsny podał mu rękę, wyraził słowa współczucia.

- Przykro mi też, że musieliśmy wyważyć drzwi - rzekł - ale przy zmarłym nie było żadnych kluczy, a tutejsza sprzątaczką też ich nie miała. Naprawimy to.

Usiedli, Grodzki wyjął papierośnicę, podsunął oficerowi, który przyglądał mu się, na razie o nic nie pytając. Wolał, żeby tamten sam zaczął. Kazimierz miał twarz skupioną, ściągniętą nie ukrywanym smutkiem, może rozpaczą. Był bez wątpienia młodszy od brata, bardzo przystojny, kiedyś o takich twarzach mówiło się: rasowa. Szare, trochę za wypukłe oczy, ocienione długimi rzęsami, patrzyły na majora - to z gniewem, ni to z żalem.

- Joanna, moja bratanica - odezwał się po dłuższej chwili milczenia, głos miał dźwięczny,

przyjemny - powiedziała mi, że milicja do tej pory nie zna przyczyny śmierci brata, jak to możliwe?

- Wiemy, bo wykazała to sekcja, że śmierć wynikała wskutek pęknięcia komory serca i przekrwienia płuc. Natomiast, i tu już pani Jaworska miała rację, dotychczas nie wiemy, co te śmiertelne obrażenia spowodowało. Nasz anatomopatolog, doktor Stern, nawiasem mówiąc długoletni, doświadczony fachowiec, twierdzi, że nie spotkał się dotąd z podobnym przypadkiem. Nie ma bowiem obrażeń zewnętrznych, które mogłyby wskazywać na przykład na upadek z dużej wysokości, uderzenia, wypadnięcie z samochodu czy - zawahał się - działanie silnie toksycznego gazu. Albo ciśnienie, podobne do tego w cylindrze kesonowym, ale to jest prawie niemożliwe.

- Adam nigdy nie brał udziału w takich robotach. W ogóle trzymał się raczej z daleka od spraw technicznych, po prostu nie znał się na tym. Był natomiast wybitnym ekonomistą, cenionym i szanowanym.

Wstał, pochodził po pokoju.

- Czy mam przez to rozumieć - zwrócił się nagle do majora gwałtownym ruchem, wargi mu drżały - że, nie znając przyczyny śmierci, milicja rezygnuje z odnalezienia zbrodniarza? Bo przecież nie było to samobójstwo, wykluczone! Nikt nie jest w stanie spowodować w swoim organizmie tak strasznych ran bez ingerencji z zewnątrz. Chyba że - zamyślił się, potrząsnął głową. - Nie. Też nie.

- Co pan miał na myśli?

- Jakąś truciznę, która...

- Lekarz na razie wykluczył jakąkolwiek truciznę. Nie znalazł przy sekcji nawet śladu. Owszem, zdarzają się substancje toksykologiczne nieznane, trudne a nawet niemożliwe do wykrycia. Na przykład w pracowniach chemicznych, w trakcie doświadczeń i prób, pojawi się dotychczas nie zbadana trucizna jako wynik pracy chemika czy toksykologa. Ale przecież pański brat nie zajmował się takimi doświadczeniami. Chyba że się mylę?

- Nie, oczywiście, że nie.

- A wracając do tego, co pan powiedział na początku. Milicja z całą pewnością nie zrezygnuje z prowadzenia śledztwa w celu wykrycia przestępcy. Zwłaszcza w wypadku morderstwa. Bywa, że prokurator umorzy, ale my szukamy dalej, nieraz kilkanaście lat. Ja nie mam wątpliwości, że Adam Grodzki został zamordowany, choć nie wiem, przez kogo, nie wiem, jak to się stało ani gdzie. Jeszcze nie wiem.

Kazimierz wrócił na fotel, zapalił nowego papierosa. Ręce mu drżały, kiedy podnosił go do ust.

- Dziękuję - rzekł cicho. - Chciałem dodać, że ja również nigdy nie zrezygnuję.

- Jak mam to rozumieć?

- Będę szukał mordercy. Na własną rękę. Aż znajdę - powiedział twardo, z naciskiem. - Aż

znajdę! - powtórzył.

Szczęśny skrzywił się nieznacznie. Pomyślał, że nie ma nic gorszego niż takie amatorskie śledztwo, które czasami nie tylko nie wykryje przestępcy, ale tak napłącze, tak utrudni milicji robotę, że w rezultacie umożliwi zabójcy zatarcie śladów albo nawet ucieczkę z kraju.

- Niech pan tego nie robi - odezwał się ostrzej, niż miał zamiar. - Poza wszystkim innym narazi się pan, być może, na niebezpieczeństwo. Przecież nie wiemy, dlaczego zabito brata. A jeżeli są to jakieś porachunki rodzinne, pan może być kolejną ofiarą.

- Nonsens - Kazimierz wzruszył ramionami. - Zemsta na rodzinie Grodzkich? Nie mamy ukrytych skarbów ani dziedzicznego majątku. Panie majorze, czy mimo wszystko nie była to śmierć naturalna? Adam, jako emeryt, miał mnóstwo wolnego czasu, prócz tego lubił spacerować za miasto. Może wybrał się wczesnym rankiem do lasu i tam zmarł nagle na wylew krwi do mózgu? Albo zawał.

- Jak pan wobec tego wytłumaczy brak portfela i kluczy?

- Och, to mógł być przygodny złodziejaszek, który skorzystał z okazji.

- Złodziej zabrałby też zegarek, wiatrówkę, buty. Zostawmy ten temat. Kiedy pan ostatni raz widział się z bratem?

Kazimierz zamyślił się na chwilę, przeczesał palcami bujne włosy koloru ciemnego orzecha.

- W niedzielę. Czyli czwartego października. Na dwa dni przed morderstwem:

- Przed znalezieniem zwłok - sprostował Szczęśny. - Gdzie to było?

- Tutaj, u niego. Wpadłem do Warszawy na jeden dzień i postanowiłem go odwiedzić. - I, uprzedzając pytanie, dodał: - Jestem od tygodnia... nie, teraz to już od dziewięciu dni, na urlopie. Siedzę w małej wiosce Smorzewo pod Warszawą, u znajomych. Chciałem odpocząć od ludzi, od gazet, telewizji - uśmiechnął się trochę żałośnie. - No i "odpocząłem". Pewnie chce pan wiedzieć, jak się odbyło to nasze ostatnie spotkanie. Zadzwońm po południu...

- Skąd?

- Od siebie, z domu. Mieszkam na Bielanach. Spytałem Adasia, czy chce się ze mną zobaczyć. Wie pan, on był taki trochę zdziwaczały, nie lubił, jak się go czymś zaskakiwało, w ogóle nie znosił gości. No, ale przecież rodzony brat to nie gość. Owszem, powiedział, przyjeżdż. Zajechałem około szóstej wieczorem. Pogadaliśmy, wypiliśmy kawę, trochę koniaku. Trochę, bo byłem wozem. Wyszedłem chyba po półtorej godziny.

- O czym rozmawialiście? Nie pytam ze zwykłej ciekawości, prowadzę śledztwo. Zdaje się, że pan był ostatnim człowiekiem z rodziny, który go widział żywego, chociaż jeszcze nie jestem tego pewny.

Kazimierz rzucił mu przelotne spojrzenie; było w tym wzroku coś, czego major nie zrozumiał.

- Rozmawialiśmy chyba wyłącznie o naszych sprawach rodzinnych. Wspominaliśmy rodziców, szkolne lata, zmarłą żonę Adama. Pytałem, czy dzieci go odwiedzają, odparł z niechętnym półuśmiechem, iż nie lubi tego. No, tak zdziwaczał od śmierci żony. Trochę interesował się moją pracą w Instytucie, więc to i owo opowiedziałem, ale szybko zorientowałem się, że go to nudzi.

- Gdzie pan pracuje?

- W Instytucie Fizyko-Weterynaryjnym. Jestem z zawodu elektronikiem.

- Czy brat nie mówił, że czuje się chory?

- Owszem, narzekał na serce. Leczył się, brał zdaje się nawet nitroglicerynę, choć tego już nie wiem, zdawało mi się tylko, że wymienił nazwę tego leku. Może tam gdzieś jest. - Rozejrzył się po gabinecie.

- Nie ma żadnych lekarstw na serce. Są natomiast różne preparaty na choroby nerek, choć sekcja nie stwierdziła nic takiego.

- Nerek? - Kazimierz zdziwił się. - Czasem mi się zdawało, że Adam jest trochę hipochondrykiem. Cóż, mieszkał tutaj sam, może zbyt wiele rozmyślał, analizował swój organizm i wmówił sobie jakąś chorobę. Przy mnie, wtedy w niedzielę, wspominał o chorym sercu.

- Czy ta ostatnia rozmowa, a może i kilka poprzednich, nie nasunęła panu przypuszczenia, że coś bratu zagrażał

- Nie. O niczym podobnym nie mówił. Ale Adam był skryty.

- A, powiedzmy, czyjaś niechęć wobec niego? Może nawet wrogość, zazdrość?

- Mój Boże, czegóż mogli mu zazdrościć? Emerytury? Jeszcze bym rozumiał w okresie, kiedy był na wysokim stanowisku, ale teraz? Wiem, że koledzy lubili go, szanowali.

- Porachunki z lat okupacji?

- Przecież on był wtedy bardzo młody.

- A z kolegów kto go najczęściej odwiedzał?

Kazimierz zamyślił się, a potem rzekł niepewnie:

- Ja ich mało znałem. Adam był starszy ode mnie o trzynaście lat. To jest dużo pomiędzy braćmi. Zawsze byłem dla niego za młody do dyskusji, zabaw, wycieczek. Smarkacz jesteś, mówił, kiedy on miał dwadzieścia, a ja siedem. Kiedy ja kończyłem politechnikę, on już był dyrektorem. Może zresztą właśnie to poważne stanowisko stawało się przeszkodą we wzajemnym zbliżeniu. Ja nie chciałem z tego korzystać, pragnąłem do czegoś dojść sam, bez protekcji pana dyrektora.

Twarz mu pociemniała, pomiędzy brwiami utworzyła się głęboka zmarszczka.

- Rozumiem - powiedział Szczęsny. Wstał, rozejrzał się za technikami. Stali przy nysie, o czymś rozmawiali. - Poproszę pana jeszcze o adres i nazwisko tych znajomych w Smorzewie. Czy pan tam wraca?

- No, nie. Chociaż tak, muszę zabrać swoje rzeczy. Oni się nazywają Broniccy, Józef i Małgorzata. Smorzew jest maleńki, każdy tam wskaże ich dom. Pojadę zaraz i wieczorem wrócę. Pogrzeb Adama jest pojutrze. Wprawdzie Lucjan podobno wszystko pozałatwiał, ale przecież i tak muszę mu pomóc. - Wstał również, popatrzał dokoła. - Myślę, że Andrzej będzie chciał tutaj zamieszkać, ale zanim ureguluje wszystkie formalności spadkowe i lokalowe, sporo czasu upłynie.

- Jaki jest pański adres w Warszawie?

- Lampego siedem. To są bloki spółdzielcze. Proszę - podaj majorowi wizytówkę - tu jest też numer telefonu. Mój urlop kończy się za tydzień.

* * *

To był zupełny przypadek, że wieczorem, kiedy smęcił się w hotelu, a na ciekawszą rozrywkę zabrakło mu pieniędzy, postanowił raptem odwiedzić dawnych znajomych. Mieszkali na drugim krańcu Londynu, wiedział jednak, jakim autobusem dojechać, później przesiąść do metra i jeszcze kilka minut pieszo. Nie chciało mu się telefonować; będą w domu, to dobrze, a nie, to trudno.

Państwo Krzyżańscy zajmowali niewielki segment dwupiętrowego domu, wysoki parter, pod nimi była suterena. Andrzej nie znosił widoku mieszkań z oknami na poziomie chodnika, toteż minął ją spiesznie, wbiegł po schodkach i zadzwonił. Otworzył Janusz Krzyżański. Na widok gościa w pierwszej chwili osłupiał, a potem wykrzyknął:

- Bój się Boga, człowieku! Przecież my cię szukamy od dwóch dni, pytamy wszystkich znajomych, obdzwaniamy hotele! Zawiadomił cię ktoś?

- Nie - odparł, wieszając płaszcz w maleńkim przedpokoju. - Dlaczego mnie szukaliście? I w ogóle skąd wiedziałeś, że jestem w Londynie?

Z pokoju wbiegła pani Krzyżańska, drobna, okrągła, z rumianą, zwykle pogodną, teraz jednak wyraźnie zmartwioną twarzą.

- Andrzeju, drogi... Ty nic nie wiesz?

- O czym? - zaniepokoił się. - Co się stało?

Janusz wprowadził go do living-roomu, podsunął fotel, nalał whisky.

- Zaraz - powiedział. - Wpierw się napij, na złą nowinę zawsze będzie czas.

- Ależ, Januszkule! On musi natychmiast wracać do Warszawy - zawołała Marta. - Czekaj, ja mu jakoś ogłędnie...

- Ludzie kochani, nie róbcie ze mnie historyka. Spaliła się Warszawa? Trzęsienie ziemi? W gazetach nic takiego nie zauważyłem.

- Posłuchaj, stary. No, jak to powiedzieć? Straszna tragedia rodzinna. Twój ojciec... jednym słowem, nie żyje. Joanna nie знаła twego adresu w Anglii, w pracy też nie zostawiłaś, więc Jaworscy sobie o nas przypomnieli, telefonowali dwa dni temu, prosili, aby cię poszukać. Jednak w tym ósmiomilionowym mieście znaleźć przyjezdnego Polaka, to ciężka sprawa. A ty przyszedłeś po prostu nas odwiedzić?

- Tak.

Nie był w stanie wydobyć z siebie nic więcej. Zerwał się z miejsca, stanął przy oknie tyłem do pokoju. Krzyżańska westchnęła żałośnie i wymknęła się do kuchni, aby przygotować coś na kolację. Janusz podszedł do telewizora, wyłączył go. Andrzej milczał czas jakiś, wreszcie odwrócił się i spytał cicho:

- Wypadek czy zawał?

- Nie wiem. Cóż, ja nie pytałem o szczegóły, nigdy twego ojca nie widziałem. To Lucjan dzwonił. Mówił, że pogrzeb będzie dwunastego w poniedziałek. Pojutrze. Powinieneś zdążyć.

Marta Krzyżańska zdołała jakoś zmusić gościa, aby zjadł choć trochę, wypił herbatę. Potem jednak zaczął się śpieszyć. Chciał jeszcze z hotelu zadzwonić do Warszawy, załatwić bilet lotniczy i inne formalności. Kiedy pożegnali go, odprowadzając aż do stacji metra i wracali później do siebie, Krzyżański rzekł zatroskany:

- Może to źle, że nie powiedzieliśmy mu prawdy.

- O zabójstwie?

- Tak.

- I po co? Zresztą, jeżeli dodzwoni się do siostry, to się dowie. A jak nie, to i tak lepiej, że nie będzie się teraz męczył tą myślą. Wystarczy, jak mu wszystko powiedzą tam, na miejscu. Co Lucjan właściwie mówił?

- Znaleźli go podobno gdzieś w lesie, nad ranem. Bez dokumentów i pieniędzy, jeszcze nie znają przyczyny śmierci.

- To skąd Lucjan wie, że zabójstwo?

- Nie mam pojęcia. W każdym razie tak powiedział. Pewnie Grodzki miał rozbitą głowę albo go zastrzelili. Okropna historia. Pomyśl, jak to jednak dobrze, że Andrzej do nas przyszedł. Inaczej może by jeszcze siedział w Londynie i nie byłby na pogrzebie ojca.

* * *

Czarterowy samolot z Londynu dotknął kołami ziemi i, wytraciwszy szybkość, zatrzymał się posłusznie. Grupa zmęczonych polskich handlowców, spierających się o coś (robiła to przez całą drogę) wysiadła i powędrowała do budynków portu. Andrzej Grodzki, któremu udało się dołączyć do delegacji, wysiadł ostatni. Milczący, zamknięty w sobie, biernie poddawał się formalnościom celnym i granicznym, potem przed wyjściem rozglądał się za taksówką.

Była niedziela, ruch powietrzny minimalny, lądowały w zasadzie tylko czartery. A taksówkarze też chcieli mieć niedzielę, zwłaszcza że pogoda jak na październik była ładna. Grodzki, po kwadransie czekania na postoju, zrezygnował na korzyść autobusu. Do swego mieszkania dobrnął koło południa. Wciąż zastanawiał się nad tym, co mu powiedzieli Krzyżańscy; do Joanny wówczas nie dodzwonił się, telefon Jaworskich nie odpowiadał.

Wziął prysznic, przebrał się i pojechał na Ursynów. Jeżeli jutro pogrzeb - myślał - to przecież muszą być w domu. Niedziela, nic nie będą załatwiać. W połowie drogi poczuł, że jest głodny; zaparkował więc swego malucha w pobliżu barku "Europejskiego", usiadł przy półkolistej ladzie, poprosił o golonkę i piwo.

- Nie ma już golonki - powiedziała kelnerka. - Piwo tylko austriackie. Może pan weźmie rumsztyk z polędwicy?

- Niech będzie. I to piwo.

Jadł szybko, nie patrzył po twarzach gości; nie chciał teraz z nikim rozmawiać ani spotkać znajomych. Na Ursynowie znalazł się po godzinie. Byli w domu.

- Dobrze, że jesteś - rzekł Lucjan z wyraźną ulgą. - Odnaleźli cię Krzyżańscy?

- Nie. Poszedłem do nich tak zwyczajnie, w odwiedziny. Wtedy mi powiedzieli o śmierci ojca. Jak to się stało?

Siedzieli w pokoju, który był jednocześnie jadalnią, sypialnią Lucjana i jego miejscem do pracy. Joanna zajmowała drugi pokój; Jaworscy dzieci nie mieli.

- To znaczy - powiedziała Joanna, ściągając wąskie brwi - że nie znasz żadnych szczegółów? Oni ci nie mówili?

- Nie.

Nastała chwila milczenia. Grodzki z wolna przenosił wzrok z siostry na szwagra, a w końcu rzekł niecierpliwie:

- Mówcie, do cholery! Zamurowało was?... Zamordowano ojca czy jak?

- Owszem. Zamordowano - odparła Joanna. - Nie wiadomo kto to zrobił ani dlaczego ojciec zmarł.

- Co to znaczy?

Jaworski zaczął wyjaśniać. Andrzej słuchał z kamienną twarzą, przymknąwszy powieki. Był podobny do matki, miał te same ostre rysy, ciemnobrązowe oczy i włosy gęste, falujące. A także skrytość i upór, nieprzeciętną inteligencję i nieopanowany charakter. Kobiety, z którymi znał się bliżej, po pewnym czasie odchodziły rozżalone i zawiedzione. Nie mogły znieść jego nieustępliwości, mówiły, że jest "trudny", nie do wytrzymania na dłuższą metę.

Pociągała je uroda Andrzeja, odpychał tryb życia i szorstkość, granicząca czasami z brutalnością.

- Więc widzisz, tak to wygląda - zakończył Jaworski. - Nawiasem mówiąc, kiedy byłeś u ojca ostatni raz? Bo milicja będzie cię pytać.

- A ty? - odparł pytaniem. - I ty? - spojrzał na siostrę.

- Dawno - bąknęła pod nosem. - Lucjan chyba rok temu. Więc kiedy złożyłeś mu wizytę? - zaznaczyła z ironią w głosie, tak wyraźną, że nie mógł nie zareagować. Patrzył na siostrę, jakby wahając się, co i czy w ogóle odpowiedzieć. Potem rzekł cicho:

- Przecież wiem, że nienawidziłaś ojca.

- Przesada! - mruknęła niedbale.

- Byłaś w tamten poniedziałek na Świeradowskiej?

Wzruszyła ramionami. Jaworski chciał się wtrącić, lecz Andrzej powstrzymał go ruchem ręki.

- Byłaś?! - krzyknął.

- Po co miałabym tam chodzić?

- Po walutę, oczywiście. Albo biżuterię po mamie. Wiedziałaś, że ją ma. Liczyłaś na to od dnia, kiedy zmarła.

Joanna porwała się z fotela, twarz jej płonęła gniewem.

- Ty też go nienawidziłeś! - zawołała. - Też wiedziałeś, że ma dolary, ileś tam tysięcy. I że nie dał ci ani centa.

- Zapominasz, że dopiero dziś wróciłem z Londynu,

- Dziś wróciłeś, ale w tamten poniedziałek byłeś w Warszawie. Milicja już o tym wie, bo mnie pytali, czy się z tobą widziałam piątego. To był właśnie dzień jego śmierci.

Milczał, paląc papierosa. Jaworski wysunął się do kuchni, najwyraźniej nie chciał brać udziału w rodzinnej scysji. Potem jednak osądził, że lepiej “być przy tym” i wrócił. Siadł z boku, nie odzywał się. Kochał Joannę, zbyt dobrze jednak ją znał, aby mieć jakieś złudzenia. Ładna, drogocenna biżuteria była jej pasją życiową.

- Zabiliście go - nagle odezwał się Andrzej. - Oboje.

- O, przepraszam! - Lucjan poczerwieniał z oburzenia. - Tylko mnie do tego nie mieszaj. Mnie mój ojciec w niczym nie przeszkadzał. I na jego pieniądze nigdy nie liczyłem. Chwała Bogu, żyjemy dostatnio.

- Tyś go zabił! - krzyknęła Joanna. - Już nam stryj Kazimierz powiedział, że pewnie wprowadzisz się do mieszkania po ojcu. Będzie gotowa willa, świetny samochód, możesz się żenić z tą twoją - wyrzuciła z siebie mocne słowo. - Na szczęście nikt z nas nie ma kluczy do mieszkania ojca, a milicja opieczętowała drzwi. Więc podział majątku po połowie. Sprawiedliwie.

- Joasiu, zastanów się nad tym, co mówisz - upomniał ją mąż.

- Prawda? - Andrzej zwrócił na niego oczy, rozjarzone gniewem. - Jeszcze ciało nie pochowane, a ona już dzieli. Jak też ta śmierć przyszła w porę! Nie zdążył wydać wszystkiego ani sprzedać kosztowności.

- Skąd ty to wiesz? - syknęła zjadliwie. - Skąd wiesz, że jeszcze nie sprzedał?...

ROZDZIAŁ 3

Doktor Stern wszedł do Zakładu Medycyny Sądowej. Zajrzał do pokoju lekarskiego, potem do sekretariatu, upewnił się, że na razie nie czeka go żadna robota i, zrzuciwszy płaszcz, przebrał się w biały kitel z oderwaną kieszenią i dwoma brązowymi plamami na samym przodzie. Stern nie lubił nowych ubrań, donaszał stare tak długo, aż mu je żona po cichu wyносиła z domu, wstydząc się męzowskiego wyglądu. Biały płaszcz lekarski od dawna wymagał zmiany, a w każdym razie reperacji, ale Stern nie pozwalał go ruszyć ze swojej szafki.

W sali laboratoryjnej powstał kilka minut przy oknie zamalowanym do połowy szarą farbą, aby to, co było w środku, nie straszło nawet kota na podwórzu. Stał i, nie patrząc w szyby, rozmyślał.

Sprawa śmierci Adama Grodzkiego wciąż nie dawała mu spokoju. Dzisiaj był poniedziałek, dzień pogrzebu, i ciało od wielu godzin spoczywało nie na sekcyjnym stole, lecz w dostojnej kaplicy pogrzebowej najpiękniejszego z warszawskich cmentarzy. Grodzczy mieli tam rodzinny grobowiec, w którym znalazło się jeszcze miejsce na jedną trumnę. Dla następnych... ale to już było ich

zmartwienie. Doktor nie zajmował się ani pogrzebem, ani problemem nowego grobowca. Adam Grodzki, jak wielu innych przed nim, stanowił dla niego tylko obiekt zawodowego zainteresowania. A im trudniejsze było rozeznanie przyczyny śmierci, tym bardziej to zainteresowanie wzrastało.

Nie zdarzyło mu się jednak do tej pory, aby zaczęło zmieniać się w irytację. Gorzej - aby uwierało niczym gwóźdź w bucie. Stern, myśląc o tym, poczuł na nowo falę gniewu, która wzburzyła jego krew i zarumieniła i tak już czerwone policzki.

- Do diabła! - warknął. Obejrzał się, a nie zobaczywszy w pobliżu nikogo żywego, wydobył ukradkiem z kieszeni płaską "piersiówkę", pociągnął parę łyków remy-martina. Na co dzień nie stać go było na tak drogi koniak, jednak teraz pozwolił sobie na - niego w nadziei, że wysokiej klasy trunki rozjaśni nareszcie, do ciężkiej cholery, szare komórki pod siwowłosą czaszką.

Dwaj lekarze, którzy w trakcie robienia sekcji wyszli na kawę, wrócili teraz do swojej roboty. Stern był zadowolony, że udało mu się łyknąć w samą porę. Mruknął coś na ich pozdrowienia, poczłapał do szafy-lodówki z preparatami, otworzył i, po raz dziesiąty chyba, przyglądał się drobnym, ale ważnym wycinkom z różnych narządów, które jeszcze niedawno należały do człowieka, sprawiającego mu swoją śmiercią tyle kłopotów. Od iluś tam dni poddawał je najróżniejszym analizom chemicznym, torturował odczynnikami, przemawiał do nich niemal po ojcowsku, to znowu obrzucał stekiem obelg. Na próżno. Z niespotykanym uporem odmawiały wyjawienia tajemnicy.

A przecież Stern przeprowadził w swoim długim życiu setki, może tysiące sekcji. Na każde pytanie ze strony milicji, co było przyczyną śmierci - odpowiadał od razu albo trochę później, dokładnie i bez wahania. Zawsze miał rację. Trzykrotnie pokłócił się z prokuratorem i wyszedł na swoje. Dwa razy zaatakował obrońców w sądzie, wykazując im bezsens wywodów. Podważył kiedyś fachowe argumenty słynnego w kraju profesora psychiatrii, przedstawiając niezbity dowód, który odnalazł w trakcie sekcji denata.

Tak było dotąd. Do dnia, kiedy w ów nieszczęsny wtorek szóstego października klęknął tam, w lesie, przy zwłokach Adama Grodzkiego, aby znaleźć przyczynę jego śmierci. Zresztą wtedy zdziwił się tylko, ale był pewien, że sekcja wszystko wyjaśni.

Nie wyjaśniła. Odwrotnie: im bardziej starał się zgłębić problem, im staranniej szukał przyczyny pęknięcia komory serca, przekrwienia płuc i innych obrażeń, tym mniej wiedział. Więc wracał zgryziony do domu, sięgał po fachowe dzieła polskie i zagraniczne, przeglądał własne notatki z różnych lat. W końcu, zawstydzony i zły, poprosił o pomoc kolegę z Wrocławia, który akurat przyjechał w jakiejś tam sprawie do Warszawy. Znali się od bardzo dawna, nawet lubili; razem kończyli studia i przez pewien czas pracowali wspólnie, zanim kolega nie przeniósł się na podobne stanowisko na Dolny Śląsk. A ponieważ była to dość trwała przyjaźń, Stern bez większych oporów zreferował mu swoje troski.

Wrocławski anatomopatolog przejawiał wprawdzie sporo dobrych chęci, zastanawiał się wprawdzie w Zakładzie, później w mieszkaniu Sterna przy kawie, nie potrafił jednak odpowiedzieć na zasadnicze pytanie.

- Nie miałem jeszcze takiego przypadku - posiedział, przykro zdumiony swoją niewiedzą. -

Każda próba uduszenia, zmiżdżenia, jakiegokolwiek nacisku musiałaby przecież spowodować co najmniej pęknięcie kości. W grę wchodzi więc tylko jakaś trucizna, która ulotniła się całkowicie z organizmu, nie pozostawiając żadnego śladu. Trucizna w nie lub tabletkach, może toksyczny gaz. Szukałeś blizn po iniekcjach?

- Tak. Nie znalazłem. Szukałem tak dokładnie, jak jeszcze nigdy. Myślałem o ciśnieniu w cylindrze kesonowym, jednak milicja twierdzi, że denat nigdy nie brał udziału w podobnych pracach i jest prawie wykluczone, aby ktoś go siłą tam zaciągnął, wpakował w cylinder, a potem wywiózł do lasu. To nie był pijaczyna ani gość z marginesu społecznego. Emerytowany dyrektor z ministerstwa, człowiek poważny, zamożny, szanowany; nie wdałby się w jakieś rozróby, próby uprowadzenia i tak dalej.

- Więc cóż ci pozostaje? - pytał kolega, czując przy tym ciche zadowolenie, że sprawa jego nie dotyczy. - Co podałeś w protokole sekcji?

Stern westchnął ciężko.

- A co mogłem podać? Tylko to, co powiedziałeś: jakaś nieznana trucizna. Krótko mówiąc, zblądziłem się. Chyba po raz pierwszy w życiu. Zawodowo - dodał spieszenie, widząc uśmiech na twarzy kolegi.

- Po raz drugi - sprostował wrocławianin. - Bo pierwszy, to było na stażu w szpitalu zakaźnym. Pamiętasz? Przygotowałeś ciało do sekcji, kiedy nieboszczyk nagle ożył i uciekł na korytarz.

- Nie pamiętam - odparł Stern ponuro. Bardzo nie lubił, kiedy mu tę scenę przypominano.

Teraz więc, stojąc przed otwartą lodówką mocno zamyślony, lecz już z szarymi komórkami nieco pobudzonymi koniakiem, postanowił nagle, że albo dojdzie, co było przyczyną śmierci Adama Grodzkiego, albo złoży podanie o dymisję.

- Mogę być grabarzem - mruknął z pogardą dla samego siebie.

* * *

W dzień pogrzebu od rana padał drobny, dokuczliwy deszcz, ale w południe przejaśniło się. Na cmentarzu, w pobliżu grobowca rodziny Grodzkich zgromadziło się mnóstwo ludzi z wieńcami, wiązkami kwiatów, a także z pustymi rękoma, ale wyrazem żalu w oczach. Zjawiała się delegacja z ministerstwa, dawni koledzy i paru szefów; najważniejszego nie było, gdyż właśnie przestał nim być. Za trumną szli Jaworscy, Andrzej i Kazimierz, sporo dalszej rodziny, która poprzyjeżdżała z daleka.

Major Szczęsny, jak zwykle w podobnych sytuacjach, trzymał się z boku, zachowując dyskretny szacunek dla zmarłego. Nie wierzył wprawdzie, że zabójca ma zwyczaj przychodzić na pogrzeb swej ofiary to by było zbyt proste i zdarza się tylko w filmie. Obserwował jednak ludzi, słuchał przemówień żałobnych, przyglądał się rodzinie. Andrzeja Grodzkiego nie zdążył jeszcze przesłuchać, choć miał na to wielką ochotę, ale uszanował smutek syna, któremu tak niespodziewanie

zamordowano ojca. Trochę go niepokoiła obietnica, złożona przez Kazimierza nie spocznie, póki sam nie znajdzie zabójcy. Miał jednak nadzieję, że słowa okażą się czekiem bez pokrycia. Do wykrywania przestępców powołano ongiś milicję, nie amatorów.

Pod sam koniec pogrzebu znów rozpadało się i ten i ów zaczął spieszenie wycofywać się z cmentarza. Nad głowami zakołysały się parasole. Grabarze zrobili co trzeba i, stojąc rzędkiem w czterech, czekali na finansowe podziękowanie.

- Może i ja tak kiedyś stanę - burknął doktor Stern tuż za plecami Szczęsnego.

- Nonsens. - Major wiedział, że stary doktor mocno przeżywa niepowodzenie zawodowe. - Jestem pewien, że którejś nocy, w trakcie mego najlepszego snu, obudzi mnie pański telefon z radosnym okrzykiem: "Eureka! Już znam przyczynę śmierci". A na grabarza pan się nie nadaje.

- Dlaczego? - spytał lekarz, mimo wszystko trochę urażony.

Ale nie usłyszał odpowiedzi; Szczęsny błyskawicznie zanurzył się w tłum i wypłynął tuż obok Lucjana Jaworskiego, który szedł dwa kroki za resztą rodziny. Kierownik "Jantara" miał twarz tak żałośnie skrzywioną, że u postronnych wzbudzał współczucie. Szeptali, że to pewnie brat zmarłego i żalowali go przelotnie.

- Przejął się pan - powiedział Szczęsny półgłosem, kiedy zrównali się.

Jaworski zwolnił jeszcze kroku, obejrzał się, a potem nachylił w stronę oficera i zwierzył mu się do ucha, że łamie go straszliwie, zwłaszcza w prawej nodze, od lędźwi do stopy.

- To ischias albo rwa kulszowa. Bardzo bolesne i długo trwa.

- Serio? - Jaworski przeraził się. - Jeszcze nie miałem nic podobnego. Muszę wybrać się do lekarza.

- Koniecznie. Zapisze panu różne tabletki, które nic nie pomogą.

- A co pomaga?

- Tylko diatermia i masaże. Zwłaszcza masaże, takie solidne, że będzie pan wył z bólu, ale już po tygodniu wybierze się pan na tańce. Chciałbym jak najprędzej porozmawiać z Andrzejem Grodzkim. - Szczęsny porzucił temat ischiasu. - Czy może mi pan to ułatwić? Bo nie uchodzi w dniu pogrzebu przychodzić do waszego domu ani tym bardziej wzywać do Urzędu.

- A czy nie może być jutro? Zjechało się tyle rodziny, posiedzą pewnie ze dwa dni, trzeba się nimi zająć. Ja połowy nie znam.

- No, niech będzie jutro. Chyba ten młody człowiek nie wyjedzie znowu za granicę?

- Na razie z pewnością nie. Wie pan, jest mnóstwo spraw do omówienia, załatwienia. Adam pozostawił swój majątek bez testamentu, trzeba to jakoś podzielić - mówił, wciąż zwalniając kroku,

jakby nie chciał być słyszany przez resztę krewnych. - Będzie sporo kłopotów - dodał szeptem.

- W tamten poniedziałek był pan wieczorem w domu?

Pytanie padło tak nagle, że kierownik zatrzymał się, jak wryty.

- Że co?

- Piątego, w ubiegły poniedziałek. Gdzie pan był wieczorem?

- Chyba... Nie pamiętam. Już pan mnie o to pytał, czy nie?

- Nie.

- Musiałem być w domu. Zdaje się, że nigdzie nie wychodziliśmy z żoną. A, zaraz! Joasia wcześniej się położyła, jest przeziębiona od kilkunastu dni. Ja pewnie oglądałem teatr w telewizji... Tak, szła jakaś sztuka angielska w polskim wykonaniu. Później poszedłem spać. To przesłuchanie? - Nasrożył się, poczerwieniał. - Na cmentarzu?!

Zabrzmiało to jak wyrzut; Jaworski ostro ruszył do przodu, nie zwracając już uwagi na Szczęsnego. Odwrócił się jednak, niedbale uchylił kapelusza i deszcz natychmiast zmoczył mu głowę.

Major odklonił się z półuśmiechem. Cmentarz opustoszał, ostatni uczestnicy pogrzebu wychodzili na ulicę. Wyszedł za nimi, uruchomił silnik swego malucha. Niedaleko placu Zwycięstwa zaparkował i wysiadł, by popatrzeć na orkiestrę wojskową, która właśnie opuszczała miejsce przed Grobem Nieznanego Żołnierza. Był Dzień Wojska Polskiego, dwunasty października. Stał długo, przyglądał się powiewającym chorągwiom. Wtedy przypomniał mu się australijski serial i jego wciąż powtarzające się motto: "A jednak sztandar twój, wolności droga, choć poszarpany - wciąż jeszcze łopocze pod wiatr..."

* * *

- Proszę, niech pan siada.

Andrzej Grodzki zajął miejsce na krześle przed biurkiem, spytał, czy może zapalić, i z widoczną przyjemnością zaciągnął się camelem.

Tysiąc złotych paczka u szatniarza - bezwiednie odnotował w pamięci major Szczęsny. - Ale może on kupić w Londynie. Co mnie to zresztą obchodzi.

- Nie było pana w kraju w tamten tragiczny dzień - zaczął, dobierając słowa. - Zaraz, a może pan jednak był?

Grodzki wzruszył ramionami.

- Przecież pan doskonale wie, że byłem - odparł. - Rozmawiał pan na ten temat zarówno z moim szefem w "Interfoxie", jak i z moją siostrą Joanną.

- Proszę pana, ludzie mówią różne rzeczy. Czasami im się wydaje, że tak było, czasami fantazjują. Dlatego chcę to usłyszeć bezpośrednio od pana.

- Więc byłem. Piątego października, w poniedziałek. Wyleciałem do Londynu następnego dnia rano.

- Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, co pan robił w ciągu tamtych trzech dni, to znaczy od soboty trzeciego aż do wtorku szóstego rano.

- Pan mnie przesłuchuje? Jakim prawem?!

Major patrzył przez chwilę na wzburzoną twarz młodego człowieka. Andrzej miał dwadzieścia osiem lat, dyplom ukończenia chemii i szkołę handlu zagranicznego, kilka lat praktyki, znajomość trzech obcych języków. Wszystko to Szczęsny wiedział już od tygodnia, łącznie z informacją o datach przylotu : Londynu do Warszawy trzeciego rano i odlotu szóstego.

- To nie jest formalne przesłuchanie - odparł łagodnie. - Nie włączyłem magnetofonu, nic nie notuję. Ale prowadzę śledztwo w sprawie śmierci pańskiego ojca i moim obowiązkiem jest rozmawiać z każdym, kto mógłby mi w tym pomóc. Szukam odpowiedzi na pytanie: kto mógł dokonać zabójstwa, dlaczego to zrobił. A także w jaki sposób.

- Właśnie! - Andrzej wpadł mu w słowo. - Sposób! Myśmy już ojca pochowali, zrobiono podobno sekcję, a wy do dziś nie wiecie, jak zginął. Aż trudno uwierzyć. Co za lekarzy macie tam w tym zakładzie na Oczki?!

Ze złością zdusił w popielniczce papierosa i natychmiast sięgnął po następnego.

- Dlaczego pan się tak denerwuje? Prędzej czy później dowiemy się, co było rzeczywistą przyczyną śmierci. Dla mnie teraz o wiele ważniejsza jest osoba zabójcy. Poprosiłem pana na rozmowę, ponieważ sądziłem, że mi pan po prostu pomoże.

- Jak? Opowiadając, co robiłem w Warszawie przez trzy dni tygodnia? Kiepski żart.

- Więc co pan robił?

Grodzki zacisnął wargi. Milczał, a major czekał cierpliwie. W końcu tamten wycedził niechętnie:

- W poniedziałek byłem w "Interfoxie", u szefa i w wydziale finansowym. Potem... gdzieś jadłem obiad. Chyba u Jaworskich. Tak, u nich. Rozmawialiśmy. Wieczorem wróciłem do siebie, na Żoliborz. Spałem. Rano pojechałem na dworzec lotniczy. To wszystko.

- Opuścił pan dwa dni. Sobotę i niedzielę.

- W te dni zajęty byłem wyłącznie moimi osobistymi sprawami. Nie mają one nic wspólnego z pańskim śledztwem.

- Dobrze - Szczęsny przestał interesować się owymi dniami. - Więc w poniedziałek spędził pan popołudnie u państwa Jaworskich. Na obiedzie i rozmowie. Zgadza się?

- Już mówiłem.

- U ojca pan nie był?

- Nie. Bardzo rzadko... - urwał, twarz mu pobleadła z gniewu. - Panie, co pan tu sugeruje?! - krzyknął. - Co pan chce mi wmówić?

- Nic. Pytam, czy odwiedził pan swego ojca. To chyba naturalne, nie sądzi pan?

Grodzki jakby zreflektował się, uśmiechnął z zażenowaniem.

- Przepraszam. Głupio się zachowuję, ale... - Znowu milczał parę minut. - Nie byłem u ojca od czerwca tego roku. Tak się jakoś złożyło. W pracy siedzę nieraz do późnego popołudnia, od czasu do czasu wyjeżdżam za granicę. No, a niedziele przeznaczam na wypoczynek.

- W czerwcu to była wizyta z jakiejś specjalnej okazji czy po prostu odwiedziny rodzinne?

- Tak.

- Tak, ale na którą część pytania?

- Rodzinne. Wpadłem zobaczyć, jak ojciec się czuje.

- Czy wówczas chorował?

Andrzej wykonał niezdecydowany ruch ręką.

- Raczej nie. Wiem, że zawsze źle znosił upały. Ale tegoroczne lato było chłodne, deszczowe.

- Czy w rozmowie z ojcem nie zauważył pan u niego jakiegoś niepokoju? Może obawiał się kogoś? Ktoś mu groził?

- Nie, nic podobnego. Wyglądał jak zwykle. I o żadnych groźbach nie wspominał.

- Miał przyjaciół?

Przelotny, ledwie dostrzegalny uśmiech, w którym nie było nic z wesołości, zastanowił majora. Grodzki uniósł brwi w górę, namyślając się nad czymś.

- Liczy pan ich? - Szczęsny dał mu do zrozumienia, że pojął przyczynę wzgardliwego uśmiešku. Ale jego rozmówca nie przyjął wyzwania.

- Oczywiście, że miał - odparł chłodnym tonem. - Ojca szanowano, ceniono za wieloletnią pracę. Z pewnością przychodzili do niego dawni koledzy i znajomi.

- Pan ich zna?

- Nie. - Zabrzmiało to stanowczo i ucinęło dyskusję. Jednakże Szczęsny nie przywykł rezygnować.

- Pańska siostra powiedziała, że wyprowadził pan się z willi na Świeradowskiej mniej więcej trzy lata temu. A więc mieszkał pan z ojcem przez dwadzieścia pięć lat i nie potrafi pan wymienić ani jednego nazwiska? Nikogo spośród tych, co przychodzili do waszego domu?

- Mam panu sporządzić listę? - zadrwił.

Siedział blady, nieprzyjazny, pod oczami miał głębokie cienie. Wypalił camele do ostatniego, zdusił opakowanie i cisnął z rozmachem w kąt pokoju, gdzie stał kosz. Szczęsny zastanawiał się nad konfliktem pomiędzy ojcem i synem, który był już dla niego oczywisty. Uraz; jeszcze z dzieciństwa? Zwyczajne niezrozumienie pokoleń? Sprawy finansowe? Chyba nie polityka. Nagle zirytował się.

- Człowieku, zrozum! - powiedział porywczo, oczy mu rozblęły. - Powtarzam, że prowadzę śledztwo, które ma doprowadzić do wykrycia mordercy pańskiego ojca! Czy to pana w ogóle nie interesuje?

- Interesuje - powtórzył Grodzki jak echo.

Pomacał się po kieszeniach, wyciągnął nową paczkę papierosów.

- O coście się pozarli? - mruknął major bez żenady. - Pieniądze? Dziewczyna? Wspólne mieszkanie?

- Dziewczyna? - Andrzej wzruszył ramionami. - Nie zapraszałem ich do willi na Świeradowskiej. A pieniądze sam zarabiam od blisko pięciu lat.

- Więc o co?

- O nic - odparł twardo. - Nie było żadnego konfliktu. Po prostu chciałem mieszkać sam, więc się wyprowadziłem. Tak robi większość moich kolegów. Oczywiście jeżeli im się uda zdobyć lokal. Mnie pomógł stryj Kazimierz.

Szczęsny wyciągnął z biurka kartkę papieru, położył przed Grodzkim.

- Proszę napisać nazwiska tych znajomych ojca, którzy przychodzili do niego najczęściej. Zawód, adres.

- I co jeszcze? Imię dziadka i jak babka z domu?

Wziął jednak papier do ręki, z kieszonki w marynarce wyjął długopis. Długo namyślał się,

wzruszał ramionami i mruczał niechętnie. W końcu nakreślił kilka nazwisk, podał majorowi.

- Adresów nie znam - bąknął. - Sam pan ich znajdzie. Wspaniała milicja ma chyba te możliwości, chociaż wątpię.

- Proszę dopisać zawód przy każdym nazwisku.

- Ciekaw, jestem, czy zamykacie ludzi za nieuprzejmość?

W czarnych, wąskich oczach był spokój. Mimo woli Grodzki uczuł przelotny podziw dla oficera; sam w jego sytuacji od paru minut biłby pięścią w stół i wrzeszczał. Zastanowił się, do jakich granic mógłby się teraz posunąć, żeby ten jasnowłosy, śniady major "wyszedł z nerw". Co by tu jeszcze powiedzieć...

- Z profesorem Łackim nie pójdzie panu łatwo. On ma ciężki charakter i nie lubi bezpieki.

- Pracuję w Milicji Obywatelskiej. Proszę dopisać zawód przy nazwiskach.

- Nie pamiętam.

- Owszem, pamięta pan.

Grodzki w porywie złości zmiął kartkę papieru i, jak zużytą paczkę po papierosach, rzucił w kierunku kosza. Spadła obok. Szczęsny wstał, podniósł ją, rozprostował i bez słowa położył przed Andrzejem.

- Długo pan tak może? - krzyknął tamten.

- Długo.

- Ale ręce panu drżą! Wścieka pan się, to widać.

- Czyżby? - Szczęsny roześmiał się szczerze. Wyciągnął paczkę carmenów, zapalniczkę, włożył papierosa do ust, zapalił. Ruchy miał swobodne, nie drgały mu ani ręce, ani żaden mięsień w szczupłej twarzy. Patrzył Grodzkiemu prosto w oczy. I czekał.

Wreszcie Andrzej skapitulował.

- Poproszę o drugą kartkę - burknął. Przepisał nazwiska, umieszczając przy każdym imię i zawód, przy dwóch również miejsce pracy.

- Nie miałem i nie mam z tymi panami kontaktu - dodał. - Mogli więc przenieść się gdzie indziej.

- Z kim pański ojciec był w przyjaźni? Kto przychodził do niego najczęściej?

- Listonosz - zadrwił znowu.

- A oprócz listonosza?

- Nie ma pan nerwów, czy co?... Chyba Łącki.

Szczęśny zrobił maleńki znak przy tym nazwisku.

- Więc od czerwca już pan nie był u ojca w jego willi?

- Raz mówiłem, starczy.

- Czy widywaliście się, powiedzmy, na ulicy, w parku, w lokalu?

- Do parku chodzę z dziewczyną. Do lokalu też.

- Czy to oznacza, że od czerwca pan ojca w ogóle nie widział?

- Owszem. Na zdjęciu w gazecie. Na jakimś zjeździe ekonomistów.

- Powiedział pan przedtem, że w czerwcu poszedł pan na Świeradowską, aby zobaczyć, jak ojciec się czuje. Od tamtego dnia upłynęły z górą cztery miesiące. To dość długi czas, aby znów zainteresować się swym ojcem, nie sądzi pan? Mógł zachorować, mógł potrzebować pomocy.

- Ojciec nie był dzieciinniałym sklerotykiem, o laseczce nie chodził. Miał aż za dużo sił, władczej pasji dyrygowania, przewodzenia... - Urwał, zmieszał się.

Szczęśny przypatrywał mu się z uwagą.

- Dlatego wyprowadził pan się z domu?

- Nie. Wcale nie dlatego. Niech mnie pan nie łapie za słowa.

- W porządku. Jaka, pańskim zdaniem, mogła być przyczyna morderstwa? Kto go aż tak zniechęcił? Bo przecież nie był to mord rabunkowy.

- A skąd ja mogę wiedzieć? Niech pan szuka. To sprawa milicji. Od tego jesteście, płacimy na was podatki.

- Tak - odparł Szczęśny z wolna. - Ma pan rację, od tego jesteście. I prędzej czy później znajdujemy. Cóż, na razie dziękuję panu za przyście do nas.

Podpisał mu przepustkę, odczekał, aż kroki ucichły na schodach i połączył się z "Jantarem". Lucjan Jaworski podjął słuchawkę.

- Słucham, majorze - powiedział uprzejmie. Widać zapomniał o drobnej scysji na cmentarzu.

- Mam tylko jedno pytanie. Czy w poniedziałek, piątego, kiedy Andrzej Grodzki był u państwa na obiedzie, poruszaliście sprawę choroby serca jego ojca?

- W poniedziałek? - Jaworski zastanawiał się chwilę. - W tamten - zaakcentował - poniedziałek?

- Tak.

- Zaraz, ale przecież Andrzej wcale u nas wtedy nie był! Ani na obiedzie, ani w ogóle.

- Jest pan pewny?

- Tak, jak najbardziej. Pamiętam, że Joasia leżała cały dzień, bo czuła się źle, ona często choruje. A ja... tak, miałem po południu naradę z pracownikami i wróciłem do domu bardzo późno, gdzieś po jedenastej. Skąd panu przyszedł na myśl ten obiad?

- Zdawało mi się... Widocznie coś pomyliłem. Nie przeszkadzam i do widzenia. No, może jeszcze tylko taki drobiazg: na przyszłość uzgodnijcie państwo między sobą, gdzie i kiedy kto z was był.

- Co to znaczy?! - krzyknął Lucjan. Ale major odłożył słuchawkę.

* * *

Józef Bronicki pochylił się, stęknął i wyteżył wszystkie siły, nie zdołał jednak unieść ciężkiego worka.

- Psiakręcka! - sapnął gniewnie.

W plecach coś zabolalo. Pomyślał, że jeszcze dwa, trzy lata temu dźwignąłby taki worek bez trudu. No, może nie trzy, a sześć lat. Teraz, kiedy siedemdziesiątka na karku, nie da rady. Trzeba by z Małgosią... Wstyd. Usiadł na ławce, wyciągnął dużą kraciatą chustkę i otarł spoconą twarz. Potem z nową energią przymierzył się do worka.

- Pomóc panu?

Głos był obcy, dobiegał zza płotu. Bronicki wyprostował się, popatrzał na drogę. Nie znał tego człowieka. Ubrany w modne marmurkowe dżinsy i zieloną kurtkę, z torbą przewieszoną przez ramię, wyglądał jak oni wszyscy, te dwudziesto-ileś-latki, szczupli i nie uczesani, niby powielany wzór dla młodych z lat osiemdziesiątych tu i teraz. Miał okrągłą, trochę pyzată twarz, jasne zmierzwióne włosy i wyraz oczu nader przyjazny.

- Pomogę panu zanieść worek - powiedział z energią.

Bronicki zastanawiał się chwilę. On był stary, a z obcymi nigdy nie wiadomo. Wprawdzie dzień jasny, dokoła sąsiedzi, Małgorzata w domu... No, dobrze.

- Będę panu bardzo zobowiązany - rzekł ze staroświecką uprzejmością. - Dokucz mi

reumatyzm, krzyże bolą i dlatego jakoś dziś nie mogę sobie poradzić. Proszę, niech pan wejdzie. Leżeć, Misiek! - zawołał na psa. - Niech pan się nie boi, on nie ugryzie.

Mały, tłusty kundel obwąchał obojętnie marmurkowe dzinsy i wrócił na wygrzany kawałek słomianki. Obcy popatrzał dokoła i spytał rzeczowo:

- Dokąd zanieść worek?

- A, już jeżeli pan tak łaskaw, do piwnicy. O, tutaj. To ziemniaki na zimę. Przywieźli mi, ale śpieszyło im się i dlatego... Tędy, proszę.

Młody człowiek bez trudu dźwignął wór, zarzucił sobie na plecy i poniósł za Bronickim. W piwnicy wysypał na przygotowany piasek, poprawił skrzywiony zamek, a potem dodał fachowo, że okienko trzeba dobrze opatrzyć, żeby ziemniaki nie przemarzły. Wyszli przed dom, usiedli na ławce. Obcy wyciągnął paczkę radomskich, poczęstował starego, zapalili.

- Pan nietutejszy - zauważył Bronicki. - Bo jakoś nie poznaję.

- Ja turysta - roześmiał się młody. - Wziąłem urlop dopiero teraz, na wczasy już nie warto jechać, zresztą drożyzna taka... No, to sobie zwiedzam okolice Warszawy.

Z domu wyjrzała Małgorzata Bronicka, zdziwiła się.

- Z kim rozmawiasz, Józiu?

Dowiedziawszy się, w czym rzecz, zaprosiła turystę na poczęstunek. Postawiła w pokoju chleb, masło, kielbasę, przyniosła herbatę. Młody widocznie zgłodniał, bo jadł z apetytem, chwając wszystko, co mu podano. Patrzyli na niego z zadowoleniem, był taki jakiś swojski z tą okrągłą rumianą gębą i oczami jak bławatki. Przedstawił się: Janek Woźniak, zatrudniony w Fabryce Samochodów Osobowych jako mechanik. Zjadł, podziękował, rozejrzał się po ścianach.

- Ta futryna zaraz odleci - powiedział, stając przy oknie. - Pan pozwoli młotek i parę gwoździ. Zaraz coś zaradzimy.

Naprawił futrynę, wymienił uszczelkę przy kranie w kuchni, przybił odlatujący wieszak. Broniccy spojrzeli na siebie niespokojnie, potem Józef spytał:

- Panie, ile za to wszystko? Bo u nas z pieniędzmi krucho.

Woźniak zaśmiał się.

- Toż ja nie dla pieniędzy! Tak, z życzliwości.

Rozgadali się. On mówił o swojej pracy, oni powolutku o swoim życiu, o dzieciach dawno dorosłych, które porozjeżdżały się po kraju i po świecie. Dom jest jeszcze po dziadkach, stary, ale ciepły i wygodny. W ogrodzie mają trochę owoców i warzyw. Na pięterku, w małym pokoju, latem mieszkają letnicy albo ktoś z rodziny. Nawet niedawno mieli jednego lokatora, elegancki pan z

Warszawy. Dziwili się, że wybrał Smorzew na odpoczynek, bo to miejscowość mała, żadnych atrakcji, ale powiedział, że atrakcje ma w mieście, a tu woli bez gazet i telewizora, nawet radia nie chciał posłuchać.

- To krewny państwa? - spytał młody.

- Nie. Znajomy naszych znajomych. Krępowaliśmy się trochę - mówiła Małgorzata - że to z wyżywieniem, a ja gotuję proste potrawy, nie na miejski gust. Ale chwalił i jadł, więc mu widać smakowało.

- Ciekawe, że taki pan z Warszawy wolał Smorzew od, powiedzmy, Zakopanego. Bo nad morze to już za zimno - zauważył Janek.

- Myśmy też się trochę dziwili. Ale, wie pan, zapłacił ładnie, gotówka bardzo się nam przydała. Grzeczny człowiek z tego pana Kazimierza.

- To Kazimierz mu było?

- Tak. A na nazwisko Grodzki.

- Grodzki? - młody zdumiał się. - Patrzcież państwo, dopiero co czytałem w gazecie o jednym Grodzkim, co go zamordowano. Może krewny?

- Panie, to brat rodzony! - Bronicki poczerwieniał z emocji. - Ja też to przeczytałem, ale dopiero jak Kazimierz wyjechał do Warszawy. A kiedy wrócił, już tylko po rzeczy, to taki był zgryziony, smutny, że bałem się odezwać. Sam powiedział, że mu brata zabili, że nie wiadomo kto ani jak. I że on będzie szukał mordercy tak długo, aż go znajdzie.

- Popatrz pan, co się wyrabia na świecie - dodała Małgorzata.

- Straszne rzeczy! - westchnął Woźniak. - To jak on wyjeżdżał do Warszawy, nic jeszcze nie wiedział?

- Skąd miał wiedzieć? Przecie wyjechał w sobotę, to było - spojrzał na kalendarz ścienny - dziesiątego. A tego brata zabito w poniedziałek w nocy, piątego. Ale że nie miał dokumentów, to milicja nie wiedziała, czyjego trupa znaleźli. Dali zdjęcie w gazetach, pytali, kto zna tego człowieka. Oglądałem zdjęcie, ale kto mógł wiedzieć, że to jego brat.

- Dawno się z bratem widzieli?

- Jak raz na dzień przed zabójstwem, w niedzielę. Pojechał do Warszawy, wrócił wieczorem. Wypił już tylko herbatę, bo kolację jadł w mieście, właśnie u brata. Wiele o nim nie mówił, bo co nam do tego, tylko że pogadali sobie o rodzinnych sprawach. Samochód postawił na podwórku i poszedł spać. Wóz ma taki ładny, jasny.

- Żeby w poniedziałek znów do brata pojechał, to by go może nie zabili - rzekł młody człowiek. - Prawda, panie Józefie?

- Czy ja wiem... Komu śmierć pisana, tego nie ominie, żeby i dziesięciu braci się zjechało. W poniedziałek to on chodził taki niespokojny, może miał złe przeczucie. Mało jadł, głowa go bolała. Wieczorem już nie wyszedł na spacer.

- Pewnie miał wóz niesprawny - zaśmiał się Janek. - Jak mężczyzna zobaczy, że coś mu w samochodzie nawala, to kręci się zły jak osa. Nie naprawiał go przypadkiem?

- Nie widziałem. My wcześniej chodzimy spać.

- A mnie się w nocy zdawało, że samochód wyjeżdża z podwórka - powiedziała Małgorzata. - Nawet wyrzesałam przez okno, ale ciemno było, pies nie szczekał, więc wróciłam pod pierzynę. Trochę się bałam, że mu ktoś wóz ukradnie, ale mówił nam, że taki alarm założył i jak obcy ruszy koło drzwiczek, to zaraz syrena wyje. Rano patrzę, samochód stoi, nic nie ukradzione, bo to czasem nawet koła odkręca albo wezmą coś ze środka. Mówiłam mu, że w nocy jakby ktoś z podwórka wyjeżdżał. Powiedział, że to niemożliwe, on ma lekki sen, zaraz by się zbudził.

- Ja nic nie słyszałem - Bronicki wzruszył ramionami. - Pewnie szosą wóz przeleciał. Zdawało ci się.

- Pewnie, że tak - przyświadczyła.

Woźniak podniósł się z krzesła, podziękował za jedzenie.

- Czas mi w drogę - uśmiechnął się. - Jak tu jeszcze kiedy przyjdę, to państwa odwiedzę. Może co będzie do naprawy?

- Panie, nie dla naprawy niech pan wstępuje! My panu radzi.

Pożegnali się i chłopak odszedł. Patrzyli za nim, aż znikł na zakręcie. Wspominali go później nieraz, nigdy jednak nie pojawił się już w Smorzewie.

* * *

Młody mężczyzna w marmurkowych dżinsach i zielonej kurtce, z torbą na ramieniu, wszedł do Pałacu Mostowskich, mrugnął przyjaźnie do obu wartowników i skręcił na schody, którymi dotarł na drugie piętro. Chwilę z kimś pogadał na korytarzu, zajrzał do stanowiska dowodzenia, uśmiechnął się do milicjantki przy telefonie, a potem wszedł do pokoju wydziału zabójstw.

- No, jesteś - powitał go major Szczęsny niecierpliwie. - Siadaj i melduj.

Raport ustny był wyczerpujący, pomieścił nawet jadłospis u Bronickich, wygląd ich psa i opis piwnicy, do której sierżant sztabowy Janusz Woźniak zniósł worek ziemniaków. Szczęsny słuchał uważnie, robiąc zwięzłe notatki.

- Dobra - rzekł, kiedy podoficer umilkł. - Teraz twoje wnioski.

Woźniak zastanawiał się chwilę. Jego okrągła, rumiana twarz miała zupełnie inny wyraz niż tam, w Smorzewie. Widać było, że ani nie jest tak młody, jak mogli sądzić Broniccy, ani tak beztroski.

- To jest nawet nie na pięćdziesiąt procent - rzekł wreszcie z wahaniem. - Jeżeli wierzyć Małgorzacie, wartburg mógł rzeczywiście wyjeżdżać w nocy. I niepostrzeżenie wrócić gdzieś o świcie. Ale, majorze, to jest stara kobieta. Nie jestem pewny, czy prawidłowo odróżnia warkot wozu, wyjeżdżającego z ich podwórka, od przejeżdżającego szosą. Podobno Grodzki stawiał samochód z boku, przy stodole. Oni już dziś nie uprawiają ziemi, są na to za starzy, ale budynki gospodarskie zostały po rodzicach. Kiedyś... no, mniejsza z tym. Więc jej relacja to żaden dowód. "Zdawało mi się", tak mówi. Józef nic nie słyszał w nocy. Myślę, że jeżeli mamy iść w tym kierunku, to potrzebne są zupełnie inne zeznania. Rzetelne, prawdziwe.

- Idziemy w wielu kierunkach - rzekł major. - Żadnego nie możemy zaniedbać. Podejrzewam wszystkich i nikogo. Gdyby wreszcie Stern ustalił przyczynę śmierci, byłoby o wiele łatwiej.

- Chyba nie powinienem się już pokazywać w Smorzewie.

* * *

Późnym popołudniem major Szczęsny i kapitan Połowski siedzieli w mieszkaniu przy Świeradowskiej trzy nad stosem rozrzuconych papierów, kalendarzy, notesów, starych rachunków i fotografii. Wszystko to wyciągnęli z szuflad biurka i z szaf, wysypali na duży stół, aby przejrzeć, posegregować, poodkładać - osobno co ważne, osobno barachło. Adam Grodzki, jak większość starszych mężczyzn, niewiele wyrzucał do kosza; chował nawet rzeczy zupełnie zbyteczne, stare listy w kopertach, jakieś reklamówki, poza tym sznurki, korki od butelek i mnóstwo znaczków pocztowych. Nie były to cenne klasery, lecz zwykłe, przemieszane ze sobą znaczki, powycinane z kopert. Albo odkładał uporządkowanie na nieokreślony termin, albo filatelistyka nie stanowiła jego hobby. Może zresztą zbierał dla kogoś.

Fotografie, czarno-białe i kolorowe, przejrzeli najpierw, próbując odgadnąć, kogo przedstawiają i kiedy je zrobiono. Grodzki był na wielu zdjęciach w towarzystwie mężczyzn i kobiet; niektóre wykonano we Włoszech, Hiszpanii i Francji, kilka w Londynie. Najpewniej był to okres zagranicznych podróży służbowych Adama. Na żadnym jednak nie znaleźli członków najbliższej rodziny - ani Jaworskich, ani Andrzeja czy Kazimierza. Zdjęcie jego żony Marii stało w ramce na biurku, a prócz tego był portret, niezbyt udany, o jaskrawych kolorach i twarzy "jakby na głębokim kacu" - określił Połowski.

- Dziesiątki, może setki ludzi na fotografiach, w tym pewnie sporo zagranicznych - westchnął. - Mnóstwo listów w paru językach. Jak my się z tym uporamy? Przecież, teoretycznie rzecz biorąc, każdy facet ze zdjęcia może być potencjalnym mordercą. A my nawet nie wiemy, kim oni są, gdzie mieszkają.

- Cholerna robota - przyznał major. - Jutro weźmiemy do pomocy kolegę z ministerstwa. Może

rozpoznają jakąś twarz.

- Myślisz, że potrzebny tu kontrwywiad?

- Wszystko możliwe. Grodzki miał nielichą forszę. Osiemdziesiąt tysięcy zielonych w banku, prawie milion w złotychkach... No i ta piękna biżuteria! Nasz ekspert ocenił ją, tak na oko, na osiem do dziesięciu milionów. Swoją drogą, że on się nie bał trzymać tego w willi? Wprawdzie skrytka w ścianie za obrazem była niewidoczna, ale włamywacze też potrafią szukać. No, teraz to jest bezpieczne w depozycie bankowym. Niech się potem rodzina dzieli spadkiem.

- Wyobrażam sobie - zaczął Połowski i nagle urwał. Trzymał w ręku arkusz papieru, na którym ktoś napisał kilka zdań. - Popatrz, co za heca! - podał kartkę Szczęsnemu. - Czy to jego pismo?

Major czytał na głos:

- "Oświadczenie". To jakby tytuł. Dalej pisze: "Ja, Adam Hieronim Grodzki, syn Feliksa i Antoniny z domu Będzińskiej, oświadczam, co następuje. Jestem prawowitym, pierworodnym synem swoich rodziców i nikt..."

Na tym oświadczenie się kończyło, wyraźnie urwane. Nie było podpisu. Litery duże, prowadzone pewną ręką, czarny długopis, żadnych skreśleń ani poprawek. Żadnej daty.

- Nasi eksperci powiedzą, z jakiego okresu ten dokument - rzekł Szczęsny. - Bo że pismo Grodzkiego, to chyba pewne. W każdym razie poproszę również o ekspertyzę grafologiczną. Słuchaj, dlaczego on to zaczął pisać? Dla kogo? I czemu nie skończył?

- Można sądzić, że ktoś zwątpił w autentyczność jego rodowodu. Diabli wiedzą... Czyżby chodziło o jakieś tajne prawa spadkowe? Zastrzeżone wyłącznie dla rodziny? Przecież to nonsens. Sześćdziesiąt dwa lata żył, pracował, zajmował wysokie stanowiska, wychował dwoje dzieci, miał brata, różnych krewnych i nagle ktoś miałby kwestionować jego pochodzenie? Nie rozumiem oświadczenia.

- Ja też nie. Myślę jednak, że jest ważne. Bardzo ważne. To może być nowy, decydujący kierunek śledztwa. Grodzki został przez kogoś zaatakowany moralnie, że tak się wyrażę; zarzucono mu, iż nie jest tym, za kogo się podaje.

- A jeżeli rzeczywiście nie był?

- I dopiero po tylu latach nagle się do tego zabrano? Masz rację, być może zaczyna się, nawet już się zaczęła, rozgrywka o jego majątek. O tę biżuterię, dolary, złotówki. I willę, pięknie umeblowaną.

- Rodzina?

- Nie. Zrobiłaby to o wiele wcześniej. Chociaż...

ROZDZIAŁ 4

Major Szczęsny spojrział raz jeszcze na kartkę papieru z kilkoma nazwiskami. Pierwszy na liście był profesor Marian Łącki, prawnik i politolog. Dalej - inżynier Zbigniew Koczera, emeryt. Kolejno: mecenas Stefan Wiśniewski, znany obrońca w procesach kryminalnych; ekonomista profesor Eugeniusz Zagorzewski, a wreszcie Jan Bejor, o którym Andrzej Grodzki widać nie wiedział nic poza imieniem i nazwiskiem. Musiał to być jednak ktoś bliski jego ojcu, bo i to nazwisko umieścić, na liście.

Od kogo zacząć? - zastanawiał się Szczęsny, nieco zakłopotany zestawem. Naukowcy, adwokat, ludzie wysokiego szczebla, z pewnością zasłużeni, z orderami. Jednego trochę znał i zobaczył go na pogrzebie; mecenas Wiśniewski odznaczał się wśród kolegów po fachu wybitną zdolnością przewidywania wyroków sądu, a także słynął z mów obrończych. Były wygłaszane piękną polszczyzną, stawiano je za wzór studentom prawa, na co ci odpowiadali, że są stanowczo za długie, i uciekali z sal sądowych. Tym niemniej kto z oskarżonych chciał sobie zapewnić jeżeli nie mały wyrok, to przynajmniej świetne przemówienie adwokackie, ten wybierał Stefana Wiśniewskiego.

Szczęsny postanowił od niego zacząć próby poszukiwania odpowiedzi na pytanie, kto i dlaczego zabił Adama Grodzkiego. Sądził przy tym, że mecenas z wrodzoną bystrością to i owo mu podpowie. Prywatna znajomość upoważniała do telefonu do domu wieczorem i zaproszenia na kawę. Umówili się na następny dzień, gdzieś koło trzynastej w bufecie gmachu sądów.

- Będę już po rozprawach - powiedział Wiśniewski - bo mam tylko dwie.

Zajęli stolik w górnej salce, na pięterku; tam siadywali adwokaci, prokuratorzy i sędziowie, chcąc uniknąć niezręcznych kontaktów z tymi "z wolnej stopy" albo z rodzinami oskarżonych, które zajmowały miejsca na dole, w dużej sali. Major przyniósł z bufetu dwie kawy i kilka kanapek. Wiśniewski był to mężczyzna wysoki, chudy, nosił krótko przystrzyżone jasne wąsy i okulary z niebieskawym szkłem. Twarz miał bladą przez okrągły rok, nie opalał jej nawet nad morzem w największe upały; duże piwne oczy spoglądały na wszystko, co się działo dokoła, z uwagą, przesyconą ironią. Tolerował występki, nawet grubszego kalibru; twierdził, że za każdym takim czynem kryje się zwykła ludzka bieda i amoralność, wyniesiona z rodzin z marginesu społecznego. Natomiast z wyraźną niechęcią odnosił się do przestępców inteligentnych, wykształconych i sprytnych, którzy "powinni byli rozumieć, co robią". Miał Wiśniewski różne wady i śmieszności, nie sposób jednak było odmówić mu uczciwości w postępowaniu, zarówno w życiu, jak i na sali sądowej.

- Zdaje się, że wiem, o czym pan chce ze mną pogadać - odezwał się niemal szeptem, gdyż głos miał potężny, najczystsze basso profundo, ale teraz nie chciał zwracać na siebie uwagi. - Chodzi o Adama Grodzkiego, tak?

- Oczywiście, zgadł pan. Jego syn, Andrzej, wśród bliskich znajomych zmarłego umieścił na

liście pańskie nazwisko, mecenasie. Dlatego...

- A kogo jeszcze? - przerwał adwokat. Zza okularów błysnęło ciekawe spojrzenie. - To chyba nie tajemnica śledztwa; znajomi Adama byli również moimi znajomymi.

Szczęśny wyjął kartkę, podał. Wiśniowski przebiegł ją oczami, pokiwał głową i oddając rzekł:

- Jasio Bejor, niestety, już nie żyje. Niech go pan wykreśli. Był znakomitym kardiologiem i, jak na ironię, skończył na zawał serca.

- A pozostali?

- Żyją. Łacki wykląda jeszcze na uczelni, jest z nas wszystkich najmłodszy. Nawiasem mówiąc, wątpię, czy uda się panu porozmawiać z nim na temat Adama.

- Dlaczego?

- Tak naprawdę to oni się nie lubili. Jakieś stare porachunki, których nie znam bliżej. Tym niemniej bywali u siebie, zwłaszcza kiedy żyła jeszcze Maria. Po jej śmierci było kilka lat przerwy w kontaktach, później odnowili znajomość, ale nie przepadali za sobą. Zbyszek Koczera jest w tym samym wieku co Adam, też na emeryturze. Miły chłop, do rzeczy. Znajdzie pan go w domu, adres w książce telefonicznej. Aha, chciałbym jeszcze wrócić do Łackiego. Niech pan do niego nie dzwoni, uprzedzając o wizycie, bo gotów nawet odłożyć słuchawkę. Najlepiej iść od razu na uczelnię i złapać go w przerwie między wykładami.

- Pozostał jeszcze profesor Zagorzewski.

- Genek... - Mecenas uśmiechnął się. - Ciekawy typ człowieka. Nie, nie będę panu nic sugerował. Samemu trzeba się przekonać. Bywa często w kawiarni "U Ekonomistów", po południu. W domu nie radzę, jego żona nie dopuści nikogo do słowa. Ja jestem przecież z zawodu wygadany, ale i mnie się nie udało. Straszna kobieta!

Szczęśny słuchał z zainteresowaniem, próbując wyrobić sobie, z konieczności powierzchowny, sąd o ludziach, którzy znali Grodzkiego bliżej niż inni. Oczywiście, mogę się mylić - myślał, częstując adwokata papierosem. - Wciąż szukam i pewnie jeszcze długo będę szukał osoby, która znała go najbliżej i najlepiej.

- Panie mecenasie, jaki był Adam Grodzki? Chodzi mi o charakter, zasady, tryb życia w ostatnich latach.

Wiśniowski zapatrzył się w dół, na salę, po której bez końca kręcili się zgłodniaли bywalcy sądów, przyjezdni, zaaferowani reporterzy, jakieś nieodgadnione postacie, być może niedługo jego klienci. Patrzał na nich, ale ich nie widział, zatopiony w rozważaniach nad odpowiedzią. Wreszcie zdusił niedopałek carmena i rzekł:

- Był trudny. Wprawdzie de mortuis... i tak dalej, ale miałem co do jego charakteru sporo zastrzeżeń. Powiedziałbym, że był dwoistej natury. Z jednej strony wybitnie inteligentny, pracowity,

światny organizator, zasługiwał w pełni na ordery, których mu nie skąpiono. A z drugiej jakiś taki zimny egocentryk, twardy wobec niektórych, o wiele za twardy, czego mu niejedyn nie mógł wybaczyć. I znowu miał momenty, kiedy zdawało się: dusza-człowiek, jak mówią Rosjanie. Po śmierci żony sam wychowywał dwójkę dzieci, wykształcił je, córka dobrze wyszła za mąż, bo Jaworski to facet uczciwy, zamożny i kocha ją. Syn pracuje w handlu zagranicznym i, o ile wiem, również wie mu się nie najgorzej. A jednak... - zamyślił się. - Podobno te dzieci tylko czekały chwili kiedy będą mogły wyrwać się z domu. Na stałe. Cóż, rozumiem młodych. Ale że Adam był despota, to też prawda.

- Zna pan jego brata, Kazimierza?

- Nie. Tylko ze słyszenia. Podobno przystojniaczek, babiarz, dwukrotnie rozwiedziony. Nie spotkałem go nigdy u Adama. Zmieniając temat: może pan mi powiedzieć, czy przy jego zwłokach wtedy w lesie znaleźliście klucze do willi?

- Nie. Ani kluczy, ani żadnych dokumentów. Wie pan, trochę mnie dziwi w związku z tym, że zabójca nie dobrał się do mieszkania, aby je obrabować. Tam był przecież ogromny majątek! Przestępca dysponował jego dowodem osobistym, wiedział zresztą, kogo zabija. I nie wykorzystał tego. Dlatego twierdzę, że nie był to mord rabunkowy.

- Więc co? Zemsta?

Szczesny uśmiechnął się przelotnie.

- Mecenasiu, gdybym wiedział, kto i dlaczego, nie rozmawiałbym tu z panem. Szukam na razie odpowiedzi na pytanie, jaki był Adam Grodzki, bo może ona pomoże mi w rozwiązaniu całej zagadki.

Pożegnali się, major pojechał do Urzędu. Kiedy wszedł do gabinetu swego szefa, ten właśnie odbierał telefon. Powiedział jeszcze kilka słów, rzucił słuchawkę i rzekł do majora:

- Dzwonili z posterunku w Kowalewie. Podobno zgłosiły się tam jakieś dzieci z pobliskiej wioski. Znalazły w starym wykopie skórzane etui z pękiem kluczy. Kazałem przywieźć do nas.

- Myślisz, że to klucze do willi Grodzkiego?

- Sądzę, że tak. Przekonamy się niedługo.

Do Urzędu przyjechał sam komendant posterunku. Zgłosił się u wartownika, a w chwilę potem wszedł do gabinetu pułkownika Daniłowicza. Zameldował się służbiście, wyjął z kieszeni małą paczkę, owiniętą starannie w papier i folię; padał deszcz, a komendant przyjechał motocyklem. Położył na biurku, odwinął i powiedział:

- Te dzieci to z Małorzewa, mój rejon. Bawiły się przy wykopie, nie jest głęboki, więc pozwalały. Któreś ześlizgnęło się na dół, bo wpadła im piłka. Na dnie stało trochę wody, właściwie błota, i klucze leżały pod powierzchnią. Dzieciak szukał piłki, znalazł klucze. No, piłkę też. Oglądali to, aż jednemu przypomniało się, że był komunikat w telewizji. Dzieciaki teraz mądre, jak starzy.

Skojarzyli to sobie z naszymi poszukiwaniami w lesie, tam gdzie leżały zwłoki Grodzkiego. No i przyszedli na posterunek. - Popatrzał na oficerów i dodał, jakby uprzedzając pytanie: - Kupiłem im po dwa lizaki.

- Siadajcie, czemu stoicie? - Pułkownik oglądał etui, wyjął klucze, przyłączone z jednego końca.

Komendant uśmiechnął się z zażenowaniem.

- Mokry jestem, postoję. Tu jest meldunek o wydarzeniu. - Wyciągnął z raportówki złożony arkusz papieru, położył na biurku. - Ja byłem w tym wykopie, szukałem portfela, dokumentów, ale nie znalazłem.

- Jeżeli zabójca siał wszystko po drodze, w lesie zwłoki, gdzie indziej klucze, to i portfel ktoś znajdzie w jeszcze innej wiosce - zauważył Szczęsny. - Jechał wozem i po kolei wyrzucał.

- Dziękuję, komendancie. Osuszcie się gdzieś, może wreszcie przestanie padać. Pojadę z tobą - rzekł Daniłowicz do Szczęsnego po wyjściu milicjanta. - Chciałbym obejrzeć sobie mieszkanie Grodzkiego.

Na drzwiach frontowych, a także od tyłu, wisiały urzędowe plomby. Zerwali je, po czym major przyjrzał się kluczom, wybrał kilka "na oko" i zaczął próbować. Nie od razu mu się udało; wreszcie trzy pasowały, otworzył drzwi. W etui zostały jeszcze dwa; jeden był od garażu, pustego od tygodnia, gdyż granatowy ford-sierra zabrał Andrzej, bojąc się, aby go nie skradziono. Ostatni klucz, długi, wąski, o skomplikowanych piórach, otworzył sejf, ukryty w ścianie za obrazem. Skrytka też była pusta; cenną biżuterię oddali przezornie do depozytu bankowego.

Pułkownik rozglądał się dokoła, chodząc po pokojach. Dłużej patrzył na fotografię Marii Grodzkiej i jej portret.

- Sprawdziłeś, kto mieszka na parterze? - spytał.

- Wyprowadzili się - odparł Szczęsny. - Wyjechali, za granicę.

- Dawno?

- W czerwcu. Pracownik Metronexu z żoną. Przez lato parter stał pusty, jesienią Grodzki zamówił ekipę remontową. Zaczęli, no i przerwali, bo nie wiedzą, czy i kto im teraz zapłaci. Jeżeli syn zmarłego dostanie w spadku willę, będzie musiał się z ekipą rozliczyć.

- Syn? A czemu nie Jaworscy?

- Może Jaworscy. Ich sprawa. Nie pamiętam przepisów prawa spadkowego, nigdy mi to nie było do niczego potrzebne, ale być może pretendentem będzie również brat Adama. Cóż, niech się dzielą. Pokazywałem ci to oświadczenie Grodzkiego?

- Jakie oświadczenie?

- Czyżbym zapomniał? - Szczęsny udał wielkie zdumienie; w rzeczywistości chciał najpierw sam nad tym dokumentem pomyśleć, zastanowić się. - Mam przy sobie. Czytaj!

Daniłowicz usiadł w najbliższym fotelu, przysunął papier do oczu, bo nie zabrał okularów. Podumał chwilę, a potem rzekł:

- Trzeba to dać do ekspertyzy. Co myślisz o treści?

- Ktoś kwestionuje jego tożsamość. Bohdan Połoński przypuszcza, że chodzi tu o spadek. Ale to przecież nonsens! Adam Grodzki przez całe swoje długie życie był Adamem Grodzkim, nikim innym. Rozmawiałem dziś o nim z mecenasem Wiśniowskim, który go znał od wielu lat. Dał mi ciekawą charakterystykę... No, ale ani słowem nie zająknął się, że, powiedzmy, kiedyś Grodzki zmienił nazwisko.

- Mam nadzieję, że nie pokazywałeś mu tego oświadczenia?

- Nie, skądże! - Szczęsny zamyślił się na chwilę. - Teraz mi przyszło do głowy, że być może Adam pisał to dawno temu, po śmierci swojej żony, po której zostały te drogocenne klejnoty. Rozumiesz, gdyby to była jej rodowa biżuteria, a on podszył się pod nazwisko Grodzkich?

- To już parę lat temu Andrzej, Jaworscy i Kazimierz rozpoczęliby batalię o spadek. Czekaj no... Nie być może nie zrobili tego z prostego wyrachowania. Kojarzysz?

- Kojarzę. W razie śmierci Adama - dostają nie biżuterię, ale i całą resztę, której się dorobił. Więc siedzą cicho. I czekają niecierpliwie. Chciałbym wiedzieć, czy orientowali się, ile on miał pieniędzy w banku, na koncie "A". No i milion złotych też piechotą nie chodzi. Dodaj do tego willę, dobry samochód - rozejrzał się po ścianach - kilka cennych obrazów, umeblowanie, dywany.

- Czekają albo z tej niecierpliwości przyspieszyli jego śmierć. Musimy dokładniej przyjrzeć się tej rodzinie. Jak wygląda ich alibi?

- Lucjan Jaworski wprawdzie kręcił, wycofywał się, w końcu zeznał, że prowadził naradę z personelem do godziny dwudziestej pierwszej, potem podobno wracał pieszo do domu, aby się przewietrzyć. Długo szedł, bo aż do dwudziestej trzeciej. Interesujące. Ona tego dnia rzekomo nie wychodziła z mieszkania. Andrzej, jak twierdzi, był u nich na obiedzie, czemu Joanna zaprzeczyła. Widać nie uzgodnili ze sobą wcześniej. Kazimierz...

- Kazimierz już się zrzekł wszelkich praw spadkowych - przerwał Daniłowicz. - Dostałem tę informację, zanim wróciłeś z sądów.

- Zrzekł się? Interesujące - powtórzył Szczęsny. - Nie chce mi się wierzyć, żeby któreś z Jaworskich albo Andrzej zdobyli nieznaną, straszliwie działającą truciznę w celu, jak mówisz, przyspieszenia spadku. Chociaż te liczne wyjazdy za granicę... Stern do tej pory głowi się nad śmiercią Grodzkiego. A przecież to jest doskonały praktyk. Zabrnęliśmy w śmierdzącą sprawę i chyba nieprędko z niej wyleziemy.

Ziewnął, przeciągnął się, swoim zwyczajem przysiadł na brzegu stołu i z tej wysokości

spojrzał pobłażliwie na szefa.

- Znasz się trochę na wojsku? - spytał.

- O tyle, o ile - odparł pułkownik dyplomatycznie. - A o co chodzi?

- To powiedz mi, na czym stoi artyleria?

- Głupie pytanie. Na ziemi! Przecież nie fruwa.

- A, guzik! Artyleria stoi na topografii.

Daniłowicz roześmiał się.

- Skąd to wzięłeś?

- Z Radiowego Magazynu Wojskowego, w którąś niedzielę. I nie ma w tym nic śmiesznego. To fakt.

Pułkownika wezwano radiotelefonem do szefa Urzędu. Szczęsny pokręcił się jeszcze trochę po mieszkaniu, w końcu pozamykał starannie wszystkie drzwi, założył plomby i pojechał do domu. Wieczorem przypomniał sobie rozmowę z mecenasem Wiśniewskim; raptem coś go w niej uderzyło i sięgnął po słuchawkę telefonu. Adwokat był u siebie.

- Mecenasie, wolno spytać, dlaczego zaciekała pana kwestia kluczy?

Wiśniewski zaśmiał się i odparł:

- Wiedziałem, że pan o to zapyta. Po prostu interesuje mnie ta sprawa z zawodowego punktu widzenia i tak sobie o niej rozmyślałem w wolnej chwili. Przypuśćmy, że w kieszeni Grodzkiego znalazłby same klucze, bez dokumentów. Co by pan z zrobił?

- Z całą pewnością już na drugi dzień otworzył drzwi do jego willi - powiedział major Szczęsny, który nigdy nie przyznawał się do porażek, zwłaszcza wobec adwokatów i zwłaszcza w sytuacji teoretycznej.

* * *

Profesor Marian Łacki miał wykład. Po korytarzu snuli się studenci i studentki, grupkami albo pojedynczo, z twarzami beztroskimi lub pogrążonymi w przedegzaminacyjnej rozterce. Przystawali wciąż przed gablotami, w których ktoś powywieszał najróżniejsze zawiadomienia, ponaglenia i całe mnóstwo kartek, przyszpilonych do ram.

Szczęsny, upewniwszy się, z której sali Łacki wyjdzie po zakończeniu wykładu, przysiadł w oknie i czekał. Obmyślał taktykę "oswojenia" profesora choćby na tyle, żeby zgodził się

porozmawiać... no, powiedzmy kwadrans. Może nawet wystarczy dziesięć minut. Zafrapowało go określenie mecenasa o "starych porachunkach" między Łackim i Adamem Grodzkim. Jeden był prawnikiem, drugi ekonomistą, więc chyba nie wchodzili sobie w drogę.

Drzwi od sali rozwarły się szeroko. Wyskoczyło paru studentów i pognało przez korytarz. Po chwili ukazał się profesor. Major obejrzał go przedtem na zdjęciach, mógł więc natychmiast rozpoznać. Łacki był średniego wzrostu, dobrze zbudowany, o gęstych, posiwiałych włosach i takiej samej brodzie. Nosił okulary, nos miał dość długi, ostry, usta wąskie, zaciśnięte. Pod pachą trzymał czarną aktówkę.

Szczęśny podszedł, uklonił się. Prawnik spojrzał na niego z pewnym zdziwieniem, przystanął.

- Pan do mnie? - spytał, marszcząc brwi, jakby próbował przypomnieć sobie, czy zna tego człowieka.

- Tak, jeżeli pan pozwoli. Proszę o kilka minut rozmowy.

- Kim pan jest?

- Major Szczęśny ze Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Twarz Łackiego lekko poczerwieniała.

- Nie zawiadamiałem o żadnej kradzieży - odparł sucho. - A mój wóz, mam nadzieję, stoi bezpiecznie na podwórzu uczelni.

- Bardzo się cieszę, gdyż w razie kradzieży musiałbym pana profesora skontaktować z kolegą w dzielnicy - rzekł major swobodnie. - Nie zajmuję się bowiem tego rodzaju przestępstwami.

Łacki zmieszał się, odkaszlnął.

- Chyba nie zgłasza się pan do mnie na egzamin? Bo nie przypominam sobie...

- Nie. Prosiłbym o kilka minut rozmowy. Nie na korytarzu.

Prawnik popatrzył na zegarek.

- Jeżeli to pilne - mruknął niechętnie.

- Pilne.

Weszli do gabinetu profesorskiego, usiedli.

- Słucham, o co chodzi?

- Profesorze, był pan bliskim znajomym Adama Grodzkiego i...

- Kto panu to powiedział? - przerwał Łącki ostro.

- Jego syn, Andrzej.

- Ach, ten! - Wykrzyknik nie zawierał dla Grodzkiego-juniora akcentów przyjaznych, co Szczęsny odnotował w pamięci.

- Wspomniał również o tym mecenas Wiśniowski.

Łącki wzruszył ramionami.

- Widać mało ma własnych spraw, że się cudzymi zajmuje. No więc, o co pan chce zapytać? Bo chyba to nie śledztwo?

- Oczywiście, że nie. Jako prawnik z długoletnim doświadczeniem jest pan z pewnością także i psychologiem, choćby tylko z praktyki, dlatego...

- Nie tylko - znowu przerwał Łącki. - Doktoryzowałem się z filozofii w Instytucie Fizjologii Zachowania się imienia Maksa Plancka w Niemczech Zachodnich. Ale jeżeli chodzi panu o to, kto i dlaczego zabił Grodzkiego, to niestety nie odpowiem na to pytanie. Nie zajmuję się wyřęczaniem milicji w jej robocie.

- Całe szczęście - powiedział Szczęsny z taką szczerością w głosie, że długi nos profesora poczerwieniał z irytacji, ale po chwili brodaty prawnik uśmiechnął się. Uśmiech ten był ledwie widoczny w gęstej brodzie, jednakże major dostrzegł go i odetchnął z ulgą.

- Proszę nie mieć mi za złe takiego sformułowania - rzekł - ale niedawno ktoś zapewniał mnie, że właśnie to zrobi, mimo iż próbowałem mu ten zamiar wyperswadować. Niestety, groźba amatorszczyzny wciąż wisi nade mną. Ale to dygresja. Chciałbym po prostu prosić pana o choćby krótką charakterystykę Adama Grodzkiego. Śledztwo w sprawie jego śmierci jest trudne, nie ma punktu zaczepienia, a ofiara, zwłaszcza jej tajemnicze wyjście nocą z domu po to, aby stracić życie gdzieś w nieznanym okolicznościach, pozostaje wciąż dla nas postacią... no, z górnych rejonów, jeżeli mogę się tak wyrazić.

- Rozumiem. Łatwiej rozszyfrować porachunki w świątku marginesu społecznego czy napad rabunkowy. Więc co do Adama: niewątpliwie był to człowiek wybitny, dobry organizator, wykształcony i naprawdę głęboko inteligentny. W życiu codziennym bywał przykry jak każdy despota. Bo że nim był, to fakt. Dzieci pouciskały mu z domu, jak tylko zaczęły na siebie zarabiać. A z drugiej strony te dzieci zawdzięczają mu bardzo wiele. Czy rozmawiamy prywatnie?

- Tak - odparł Szczęsny, to i owo sobie w myśli dopowiadając.

- Trzymał dzieci krótko, starał się pewnie, jak umiał. Ale powyrastały na samolubów, nie odpłacały mu się choćby najprostszą rodzinną życzliwością, nie mówię już o miłości. Andrzej po ojcu odziedziczył zdolności do nauki, inteligencję, także pracowitość. Ale to łobuz. Wyrachowany, egoista. Joanna też nie lepsza. Zdaje się, że jedynie trochę serca okazywał Adamowi jego zięć, Jaworski.

- A Kazimierz?

- Jaki Kazimierz?

- Jego brat. Kazimierz Grodzki.

Profesor rytmicznym ruchem gładził długą brodę, przebierając w niej palcami.

- Ja go nie znam. Nie widywałem go nigdy u Adama. Podobno to jakiś inżynier. - Spojrzał znów na zegarek. - Za parę minut mam wykład.

Szczęśny wstał, zastanawiał się przez moment, a potem spytał:

- Czy pan jest pewien, że Adam Grodzki rzeczywiście był tym, za kogo się podawał? Że był sobą?

- Nie rozumiem - krzaczaste brwi profesora poleciały w górę. - Jak to: sobą? A kim miałyby być?

- Czy istniała taka możliwość, że kiedyś zmienił nazwisko?

- Właśnie na Grodzki?

- Tak.

Prawnik zadumał się, poszarpał brodę.

- Odkąd ja go znam, zawsze był tym samym. Myśli pan, że za okupacji... Ależ on miał wtedy kilkanaście lat!

- A kiedy pan go poznał?

- Ze dwadzieścia parę lat temu. Nawet nie przypominam sobie, w jakich okolicznościach, ale w każdym razie stało się to na gruncie towarzyskim... Albo służbowym? Nie pamiętam. Zapewniam pana, że nikt z naszych wspólnych z Adamem znajomych nigdy nie kwestionował jego pochodzenia. Po prostu nikt się nad tym nie zastanawiał, nie przyszło nam do głowy, bo i po co? Dlaczego pan o to pyta? Czy ma pan jakieś wątpliwości?

- Być może - odparł wymijająco. - A kogo zaliczyłby pan, profesorze, do jego wrogów? Kto miał z nim jakieś, powiedzmy, porachunki?

Łącki nagle zasepił się, nos mu poczerwieniał bardziej niż przedtem.

- Widzę, że Wiśniewski narobił plotek - rzekł z przekąsem. - To ja, proszę pana, miałem te porachunki. Stara sprawa, nie warto o niej wspominać. Chodziło o jednego z moich byłych asystentów, który... krótko mówiąc, Adam wyrzucił go z ministerstwa. Chłopak był wyjątkowo

wrażliwy, ambitny. Za bardzo się przejął.

Wstał, zabrał teczkę.

- I co się z nim stało?

- Nic dobrego. Rozpił się, nie podjął innej pracy, chociaż starałem się mu pomóc, bo lubiłem Mariusza. I ceniłem. Adam nie powinien był, nie miał prawa...

- Za co go wyrzucił?

- Za, że tak się wyrażę, niepodległość. Mariusz nie chciał się podporządkować, nie chciał być automatem, całkowicie uległym dyrektorowi. Napisał bardzo interesującą pracę z dziedziny prawno-ekonomicznej i przedstawił Grodzkiemu, prosząc o opinię. Była mu potrzebna, bo miał zamiar wydać w broszurze. Adam wprowadził wtedy u siebie w departamencie idiotyczne zarządzenie o konieczności zaakceptowania wszelkich umów wydawniczych przez dyrekcję. No i odmówił Mariuszowi tej akceptacji.

- Dlaczego? Praca nie była dobra?

- Była świetna. Może właśnie dlatego.

Uśmiechnął się ironicznie. Podeszedł do drzwi, ale Szczęsny zastąpił mu drogę.

- Profesorze, jak się nazywa ten człowiek?

Łącki targnął brodę, zawahał się.

- Był moim najlepszym asystentem - zamruczał z żalem. - Mariusz Będziński, taki błądy szczupły blondynek. Ale powiedziałem już panu, że Adam był despotą.

- Co on teraz robi?

- Mariusz? Podobno głowice do kranów w prywatnym warsztacie. Jeżeli znów się nie zalewa, bo dwa lata przebywał na odwykówce, a tam się często wraca. Muszę iść, do widzenia!

Szczęsny pojechał do Urzędu, odnalazł Połońskiego, zagadanego z kolegą z "drogówki", i powtórzył mu rozmowę z profesorem. Bohdan zaciekał się; postanowili zająć się byłym asystentem Łackiego.

Mógł to być ślad, nowy kierunek śledztwa. Połoński poszedł do wydziału przestępstw gospodarczych; mieli tu spis wszystkich prywatnych warsztatów, zakładów rzemieślniczych, spółdzielni najrozmaitszych branży, a także sklepów. Głowice do kranów robiło kilkunastu prywatniarzy i dwie spółdzielnie, a przynajmniej powinno być, jeżeli wziąć pod uwagę oficjalne deklaracje. W praktyce bowiem, żeby kupić głowice, trzeba było oblecieć pół Warszawy, a i to z wątpliwym rezultatem.

W spisie właścicieli i kierowników nie figurował żaden Mariusz Będziński; nazwisko było dość popularne, co utrudniało poszukiwania. Oficerowie z wydziału nie przypominali sobie kogoś takiego, ale Połoński wiedział, że “ci z Mostowskich” zajmują się tylko dużymi aferami, wszelka drobnica należała do dzielnic.

- Popytaj na Pradze-Północ - poradził któryś. - Albo na Woli. Tam najwięcej różnych warsztatów.

- Dzielnicowi mają zwykle dobre rozeznanie - dorzucił inny.

Bohdan wrócił do pokoju, który zajmował ze Szczęsnym. Usiedli przy telefonach i zaczęli wydzwaniać do dzielnicowych urzędów, powtarzając do znudzenia wciąż to samo pytanie o Mariusza Będzińskiego, który wytwarza głowice do kranów albo cokolwiek innego.

Dopiero po dwóch godzinach Połoński zdobył informację, choć trochę niepewną. Dzielnicowy na Pradze z rejonu Targowej i okolic przypomniał sobie pracownika małego warsztatu ślusarskiego o tym właśnie imieniu i - chyba - nazwisku. Miało to być na Brzeskiej pod piątym. Dzielnicowy dodał jeszcze, że miał z nim kiedyś kłopoty, bo upił się i rozrabiał na ulicy, trzeba go było przewieźć do “żłobka”. Podobno od jakiegoś czasu nie pije.

- Dobrze - powiedział Bohdan. - Nic mu nie mówcie, sami się rozejrzemy na tej Brzeskiej pięć.

Odłożył słuchawkę, spojrzał na majora.

- Myślisz, że on zabił Grodzkiego?

- Zobaczymy. Trzeba popatrzeć, co to za facet. Potrzebujesz głowice?

- One zawsze są potrzebne - stwierdził kapitan stanowczo. - Jak ci kapie z kranu i wezwiesz hydraulika z administracji, to stanie w progu i zaraz pyta: “A ma pan głowice?” I jak nie masz w domu, to się wykręci na pięcie i pójdzie. Samemu też można założyć, tylko człowiek się przy tym okropnie zachlapie.

- Musisz mieć szlauch. Taką rurkę gumową. Podpatrzyłem, jak hydraulik ją zakłada, i teraz już nie wzywam, sam sobie daję radę.

- Świetnie! Ja kupię głowice, a ty mi wymienisz.

Szczęśny szybko zmienił temat i pojechali na Pragę. Zatrzymali malucha kilka domów dalej, bo przed piątką na Brzeskiej stała właśnie wielka ciężarówka z przyczepą. Warsztat ślusarski znajdował się w podwórzu, schodziło się do niego jak do piwnicy. W ciasnym pomieszczeniu, wśród blach, narzędzi i brudnych szmat, przesiąkniętych smarami, pracował jakiś mężczyzna. Nie był jednak ani smukły, ani blondyn - przeciwnie, tak na oko miał setkę żywej wagi i kompletną łysinę, na czubku głowy zakrytą wełnianą czapczką. Odłożył śrubokręt, spojrzał pytająco.

- Dzień dobry - powiedział Połoński; wszedł pierwszy, major trzymał się trochę dalej i

rozglądał dokoła.

- Co pan chciał? - spytał ślusarz.

- Głowice do kranów. Półcalówki. Dwie. Albo i trzy.

Tęgi mężczyzna zbliżył się do półki, pogrzebał, wyjął trzy głowice i położył na stole. - Po czterysta. Będzie tysiąc dwieście.

- Już po czterysta? - zdziwił się kapitan nieszczerze. - Dopiero co kupowałem po trzysta pięćdziesiąt.

- Nie u mnie.

- Jak to nie u pana? Z całą pewnością. Tylko że sprzedawał mi taki młody blondyn, szczupły.

Grubas wierzchem zasmolonej ręki otarł prawy policzek.

- Mariusz?

- Nie wiem, nie przedstawił się. Może i Mariusz.

- Ja tego skurwiela kiedyś utłukę!

- Za tanio liczył?

Właściciel warsztatu poczerwieniał z irytacji.

- Taniej jak po czterysta nigdzie pan nie kupi - mruknął.

- Wie pan co? - Połońskiemu przyszło coś do głowy. - Może on by mi przylutował jeden drobiazg, u mnie w mieszkaniu. Mógłbym z nim mówić?

- Nie ma go. Będzie jutro o ósmej.

Grubas nagle przyjrzał się oficerowi z uwagą. Zmarszczył brwi, wypluł niedopałek, myślał przez chwilę.

- Ja pana skądś znam - oświadczył niezbyt przychylnym tonem.

- Mnie? Wtedy przecież pana nie było, tylko ten Mariusz.

- Ja pana znam nie z warsztatu. Pan jest z Mostowskich.

Kapitan zmieszał się trochę, wtedy Szczęsny wysunął się z za jego pleców. Trzeba już było grać w otwarte karty.

- Obaj jesteście stamtąd - rzekł spokojnie. - Chcieliśmy kupić głowice i porozmawiać z

Mariuszem Będzińskim. Potrzebny nam jest jako świadek w pewnej sprawie. Niech pan go zwolni jutro, powiedzmy, na półtorej godziny. A za trzy głowice ten pan już płaci.

- Za dwie - sprostował Połoński, kładąc odliczone osiemset złotych. - Przypomniałem sobie, że jeszcze jedną mam w domu.

Ślusarz wciąż przyglądał im się w zamyśleniu. W końcu rzekł:

- Ja naprawdę nie mogę taniej. Pan wie, ile teraz materiał kosztuje? I ile się człowiek za tym wszystkim nabiega? - W jego głosie można było wyczuć prawdziwą gorycz i żal, wynikłe z tego biegania. Dotknął palcami banknotów, wahał się.

- Niech pan bierze. Gdzie ja teraz będę szukał taniej. - Połoński schował głowice, zawinięte w kawałek gazety. - Tylko niech pan nie zapomni powiedzieć Mariuszowi, żeby się do nas zgłosił. Na dziewiątą rano. Niech zadzwoni z biura przepustek na wewnętrzny sześćdziesiąt piętnaście. Spamięta pan?

- Zapiszę. Nie zapomnę. Wyślę go - obiecywał grubas, pełen rozterki wewnętrzno-handlowej, bo wiedział, że kilka domów dalej jego konkurent sprzedaje głowice po trzysta. Pocieszył się tylko myślą, że jak już tutaj kupili, dalej nie pójda.

- A skurwiela nabiję! - warknął resztką złości.

Kiedy wsiedli do malucha, Szczęsny rzekł z wyrzutem:

- Wpakowałeś chłopaka. Trzebi było wymyślić coś lepszego.

- Jakoś nie zdążyłem - przyznał Połoński ze skruchą.

Następnego dnia nikt się nie zjawił ani o dziewiątej rano, ani do południa. Czekali niecierpliwie, w końcu major zadzwonił do dzielnicowego z tamtego rejonu i dał mu polecenie doprowadzić Mariusza Będzińskiego do Pałacu Mostowskich tak szybko, jak tylko się da. Potem zajęli się inną robotą. Minęły jeszcze dwie godziny. Wreszcie we drzwiach pokoju stanął dzielnicowy z Pragi, ale sam.

- No? Gdzie on jest? - spytał Szczęsny.

- Majorze, wyszedł z warsztatu kwadrans po ósmej, miał tutaj przyjść. Tak mi w każdym razie powiedział Kwieciński, właściciel. Twierdzi, że kazał mu duchem lecieć do Mostowskich, bo ma zeznawać jako świadek. Będziński zgodził się i poszedł.

- Ale nie doszedł. Może błędzi dotąd gdzieś po mieście? - zadrwił kapitan. - Byliście w jego mieszkaniu?

- Byłem. To taka trochę speluna. Stara... to znaczy jedna kobieta, Ziółkowska, wynajmuje pokój trzem albo czterem lokatorom. Wszystko śpi na kupie, to znaczy razem, mają łóżka i materace na podłodze. Ale Będzińskiego tam nie było od rana, odkąd wyszedł do pracy. Stara nie wie o nim nic,

tyle że płaci.

- A tamci?

- Teraz ich nie było. Ziółkowska mówi, że jeden robi na prywatnej budowie, ale dopiero od paru dni; gdzieś na Żoliborzu. Drugi handluje czym się da, ostatnio gumowymi rękawiczkami i pumeksem. Czekałem trochę, że może któryś się pojawi, ale nie przyszli. Czy mam go poszukać?

- Myślę, że będzie trudno. Pewnie wystraszył się Urzędu. No, w każdym razie, sierżancie, postarajcie się go znaleźć. Wtedy skontaktujcie się ze mną albo z kapitanem Połońskim, a my już sobie poradzimy. Zapiszcie mi adres tej Ziółkowskiej. - Podał kartkę, papieru..

To był czwartek. Aż do poniedziałku Mariusz Będziński nie pojawił się w polu widzenia sierżanta z Pragi. Nie przyszedł do warsztatu, wobec czego gruby właściciel obiecał solennie, że mu nogi powyrywa, jak tylko wróci. Nie nocował u starej Ziółkowskiej, a tego lokalu sierżant pilnował bądź sam, bądź przy pomocy kolegów. Dwaj inni sublokatorzy wyrażali kompletne desinteressement zniknięciem kompana. W pozostawionej przez Mariusza pod łóżkiem walizce dzielnicowy, ku swemu zdumieniu, znalazł kilka książek z dziedziny prawa i socjologii oraz skąpą ilość bielizny i podarty sweter. Żadnych notatek, adresów ani dokumentów. Sierżant zważył w prawdymówność Ziółkowskiej, która zapewniała go, że w tamten czwartek Mariusz nie wrócił do mieszkania po cokolwiek ze swoich rzeczy; musiał zabrać choćby płaszcz i drugą parę obuwia. Lokatorzy bowiem zgodnie oświadczyli, że miał to we wspólnej szafie, a teraz tego brak.

- Chyba że skradli - zauważył Połoński, kiedy dzielnicowy zdawał relację ze swoich poszukiwań. - Domyślili się, że nawiał, i skorzystali z okazji.

Nagle zniknięcie człowieka, który mógł mieć do niedawna jeszcze słuszny żal i gniew wobec Adama Grodzkiego, zaczęło wybijać się na pierwszy plan w prowadzonym dotąd śledztwie. Jeszcze czekali na jego powrót, ale na biurku pułkownika Daniłowicza leżał już przygotowany komunikat do prasy, uzgodniony z prokuraturą. Szef wydziału zwlekał nie dlatego, żeby lekceważył tę wersję; co innego kazało mu wątpić w domniemaną osobę zabójcy.

- Założmy, że to on - mówił do obu oficerów. - Ale jak to zrobił? Nie strzelił do Grodzkiego, nie uderzył nożem czy łomem, nie zadusił. Jeżeli przyjąć ostatnią opinię Sterna, że była to nieznana trucizna, to jak mu ją podał? Jak zmusił do połknięcia? Nigdy nie uwierzę, że ktoś taki jak Grodzki poszedł na przykład z Będzińskim do knajpy albo zaprosił go do siebie na herbatę. Pamiętajcie, że wyrzucił go ongiś z ministerstwa. Niechęć, zawiść mogła wtedy być po obu stronach, to prawda, ale tacy ludzie będą raczej siebie unikać. Zresztą Mariusz pił, przebywał w środowisku marginesu społecznego, ubierał się niechlujnie, chodził brudny. To wiemy. Grodzki nie wpuściłby go do swojej willi. Dalej: jak zwłoki zostały przewiezione na skraj lasu? Gdyby Będziński chciał to zrobić, musiałby wynająć od kogoś samochód, a wtedy jest już zbędny świadek zbrodni.

- Więc dlaczego nie przyszedł? Czego się zląkł?

- Nie wiem. Może ma co innego na sumieniu.

Szczęśny w zasadzie zgadzał się ze słowami szefa, ale nie do końca. Życie stwarza czasami takie sytuacje, których nie wymyśliłby powieściopisarz. Mariusz, choć w ostatnich latach bardzo oszedł od własnego środowiska, był jednak magistrem prawa, byłym asystentem Łackiego, człowiekiem podobno wyjątkowo zdolnym, inteligentnym. Ktoś taki jest w stanie opracować skomplikowany plan zabójstwa i zrealizować go po mistrzowsku.

Szukali więc chłopaka na miejscu i w kraju; sprawdzili, czy nie ukrywa się w gospodarstwie rodziców, którzy mieszkali w Białostockiem, albo czy nie ma go u siostry, żony hutnika z Dąbrowy Górniczej. Nie było go ani tam, ani tu. Szukali dziewczyny, z którą podobno chodził czas jakiś; okazało się, że jeszcze latem wyszła za mąż za ogrodnika i prowadzi z nim szklarnie pod Częstochową. Gruby właściciel warsztatu z Brzeskiej machnął już ręką na swego pomocnika i przyjął innego. Nie znał jednak żadnych przyjaciół Mariusza; chłopak był skryty, zamknięty w sobie, z usposobienia ponury. Obserwowano mimo to i warsztat, i mieszkanie Ziółkowskiej, a także obu jej lokatorów, do których "na pokój" dołączył jakiś nowy.

Wreszcie Daniłowicz ustąpił. W prasie ukazał się komunikat o zaginięciu Dariusza Będzińskiego, ze słowami: "Ktokolwiek wie..." i tak dalej. Skończył się październik, nastąpiły listopadowe deszcze. Poszukiwany magister nie zjawiał się.

ROZDZIAŁ 5

Dwa nowe morderstwa, w tym jedno dość skomplikowane i powiązane z finansową aferą, zajęły oficerów z wydziału zabójstw. Jaworscy i Andrzej Grodzki prowadzili przy pomocy adwokata zacięty bój o obniżenie podatku spadkowego, ale ich szansę w potyczce z urzędem skarbowym wyraźnie słabły. Andrzej zdążył jednak przeprowadzić sprawy meldunkowe, oddał spółdzielni mieszkaniowej swoje M-2 na Żoliborzu i przeniósł się na dobre do willi przy Świeradowskiej. Waluta na koncie bankowym jego ojca oraz biżuteria pozostawały na razie nie tknięte. Miało to być sprawiedliwie podzielone między córkę i syna; ich adwokat myślał jednak czasem, że takiego podziału nie uda mu się przeprowadzić. W miarę jak upływały dni od zabójstwa Adama Grodzkiego, dzieci zasłużonego dyrektora przejawiały coraz większą zachłanność.

Tylko Kazimierz odsunął się stanowczo od walki o spadek. Milczący przy toczących się sporach i kłótniach, zamknięty w sobie, mówił potem do mecenasa, że jedynym jego pragnieniem jest pomścić śmierć brata i tylko to ma dla niego znaczenie.

- Znajdę go! - zapewniał, a jego ładna twarz przybierała wyraz zaciętego uporu. - Prędzej czy później znajdę.

Szczęśny i Połoński siedzieli pewnego listopadowego ranka w Urzędzie, mozoląc się nad materiałem, związanym z najświeższym zabójstwem, kiedy do pokoju zajrzał kolega z

dochodzeniówki, kapitan Kręglewski. Wrócił właśnie z urlopu w Zakopanem.

- Oscypek przywiozłeś?- spytał Połoński, który uwielbiał owczy serek, prawdziwy owczy, nie ten podrabiany, z krowiego mleka, jaki sprzedają czasem sklepy nabiałowe w Warszawie.

- Masz - Kręglewski położył przed nim spore zawiniątko. - Aż trzy. Posłuchajcie - zwrócił się do obydwóch. - Turysta idzie przez góralską wieś, jest lato, wielki upał, a przed chałupą siedzi gazda w komuchu i futrzanej czapie. - Turysta dziwi się i pyta: Gazdo, nie gorąco wam? Nie, odpowiada góral. Aha, zimno wam. Nieeee. No to jakże wam? Antoni.

- Stary kawał - mruknął Szczęsny z pogardą. - powiedz lepszy.

- Gazdo, siedzicie na moim kapeluszu! A co, jus chcecie iść?

Roześmieli się. Kręglewski, rad z wrażenia, zamierzał właśnie opowiedzieć kolejny żart, kiedy zadzwonił telefon. Major podniósł słuchawkę, chwilę milczał, a potem rzekł:

- Tak. Proszę wpuścić.

- Kto? - Połoński nie lubił interesantów, których nie wzywał; twierdził zawsze, że przeszkadzają w robocie.

- Grodzki.

- Andrzej?

- Nie, Kazimierz. Czegoś chce.

Kręglewski zdążył jeszcze z aptecznym tym razem kawałem:

- Wchodzi facet do apteki, prosi jedną aspirynę. Farmaceuta pyta uprzejmie, bo to było przed wojną, zapakować? Nie, dziękuję. Ja poturlam.

Kazimierz Grodzki idąc korytarzem usłyszał wybuch śmiechu w jednym z pokojów i zdziwił się, bo to właśnie był pokój, do którego zmierzał. Sądził, że w wydziale zabójstw panuje atmosfera pełna ponurej powagi. Zapukał i wszedł, mijając się w drzwiach z Kręglewskim. Szczęsny zmiotł z jedyne wolnego krzesła gazety, poprosił, aby usiadł.

- Słucham pana - powiedział życzliwie. - Zaszło coś nowego?

- Tak - odparł inżynier. - Dostałem takie... no, taki list.

Podał niebieską, zmiętą kopertę. Major wpierw przyjrzał się drukowanym ręcznie literom adresu, potem wyjął ze środka małą kartkę. Naklejono na niej z wyciętych dużych liter, pewnie z jakiejś gazety, tylko trzy słowa: "Teraz twoja kolej". Żadnego podpisu.

Połoński zajrzał mu przez ramię, mruknął:

- Coś takiego!

- Kiedy pan to dostał? - spytał Szczęsny.

- Wyjąłem ze skrzynki dziś rano. Listonosz u mnie w bloku chodzi późnym popołudniem więc pewnie wrzucił wczoraj.

- Stempel na znaczku: Warszawa jeden To Poczta Główna, na Świętokrzyskiej. Zresztą rzecz bez znaczenia. Litera - major przyglądał się kartce - chyba z „Rzeczypospolitej” albo z „Dziennika Ludowego”. Czy jeszcze ktoś z rodziny otrzymał taki anonim?

- Nie pytałem. Skoczę dziś do Jaworskich. I do Andrzeja. Czy sądzi pan - Kazimierz zawahał się - że coś mi grozi? Nie jestem tchórzem. Ale śmierć Adama jest wciąż taką zagadką, że po prostu... no, ktoś może zlikwidować mnie przy pomocy podobnej tajemniczej trucizny, przed którą nie wiem jak się obronić. Nie piję mleka, więc nikt mi nie wsypie do butelki pod drzwiami, ale... nie wiem, może to był jakiś gaz toksyczny? - Bezradnie rozłożył ręce. - Trudno, żebym w ogóle nie wychodził z domu, przecież ja pracuję, muszę z czegoś żyć!

Oficerowie milczeli dłuższą chwilę, wreszcie Szczęsny rzekł:

- Porozumiem się z szefem wydziału i ewentualnie damy panu milicyjną ochronę, ale szczerze powiem, iż to sprawy nie załatwi. Nie sposób, żeby wywiadowca chodził za panem krok w krok przez całą dobę. Czy był też jakiś ostrzegawczy telefon?

- Tak. Dziś w nocy. Męski, obcy głos, dziwnie przytłumiony, jakby ten człowiek mówił przez chusteczkę. Kiedy podniosłem słuchawkę, usłyszałem tylko te trzy słowa, które są na kartce: „Teraz twoja kolej”. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, tamten wyłączył się.

- Panie Kazimierzu, czy istnieje ktoś, komu zależy na unicestwieniu rodziny Grodzkich? Czy nie było w przeszłości, niech pan sobie przypomni, między waszą rodziną a jakąś inną zatargu, czyjejś krzywdy, walki o majątek czy bo ja wiem co? No, bo trudno inaczej wytłumaczyć zarówno zabójstwo pańskiego brata, jak i ten anonim.

Kazimierz zastanawiał się parę minut, gryzł wargi, pocierał czoło. W końcu rzekł:

- Ja o niczym takim nie wiem. Pamiętam tylko, że nasi rodzice przeprowadzili się kiedyś z Krakowa do Warszawy wskutek zaostrej stosunków z dalszą rodziną matki. Ale ja byłem wtedy malcem paroletnim, nie znam ani tamtych krewnych, ani meritum konfliktu. Adam z pewnością wiedział więcej. Cóż, Adama już nie ma.

- I nie pozostały żadne zapiski, notatki waszych rodziców? Coś, co by nam pomogło, stworzyło jakiś ślad?

- Jeżeli coś takiego było, to tylko w mieszkaniu Adama. Ja się nigdy tym nie interesowałem.

- No, dobrze. Proszę nam zostawić anonim i zawiadomić, jeśli przyjdzie kolejny. Jeżeli pan chce, możemy za zezwoleniem prokuratora zainteresować się pańskim telefonem, to znaczy założyć

podsluch.

Po wyjściu Grodzkiego kapitan połączył się wpierw z mieszkaniem przy Świeradowskiej, gdzie nikogo nie zastał, potem z "Interfoxem". Andrzej Grodzki odparł, że nie otrzymał żadnych anonimowych listów; to samo stwierdził następnie Lucjan Jaworski. Jednakże już następnego dnia Andrzej sam odezwał się telefonicznie, informując z przekąsem, że i jego "nie ominęto", bo anonim przyszedł ranną pocztą. Zawierał również trzy słowa: "Ty będziesz trzeci". Połoński poprosił o doręczenie listu. Był taki sam, w niebieskiej kopercie, litery powycinane z gazet. Natomiast Jaworscy, jak dotąd, żadnego anonimu nie dostali.

- Gdyby nie śmierć Adama, można by to potraktować jak głupi żart - powiedział Szczęsny. - Niektórzy zabawiają się w ten sposób.

- Tak. Gdyby nie śmierć - przytwierdził Daniłowicz. - Mamy podsluch na telefonie Kazimierza, jak dotychczas żadnych gróźb. Być może temu komuś chodzi o szantaż, o grubszą gotówkę. Wtedy w następnym liście albo telefonie zacznie stawiać warunki: zapłacisz za swoje życie, a ja dam ci spokój. Mieliśmy już niejedyn podobny przypadek.

- Ale osioł ze mnie! - wykrzyknął nagle Szczęsny, zrywając się z krzesła. - Przecież to jest to samo nazwisko!

- Jakie nazwisko? - zdziwił się pułkownik. - O co chodzi?

- Będziński! Rozumiecie? Matka Adama i Kazimierza nazywała się z domu Będzińska. Tak jak Mariusz! A Kazimierz wspominał o konflikcie pomiędzy rodzinami.

Nastąpiła chwila milczenia. Połoński sięgnął po teczkę, opatrzoną kryptonimem: "Willa" (lepszemu nikomu nie chciało się wymyślać), wyjął kartkę z napisem "Oświadczenie", przeczytał na głos:

- "Ja, Adam Hieronim Grodzki, syn Feliksa i Antoniny z domu Będzińskiej..." Cholera, że też nie skojarzyliśmy od razu.

- Zaraz. Powoli - Daniłowicz nie lubił pochopnych wniosków. - Może to być zwyczajna zbieżność nazwisk.

- Ale może też być rodzina!

- Konflikt pokoleń? Jakaś włoska vendetta w rodzimym wydaniu? Nie sądzisz, że zbyt skomplikowane?

- Śmierć Adama też jest skomplikowana. To nie był prosty mord. Zabójca, według mnie, doskonale wszystko przemyślał i wykonał. Zagmatwał tak, że teraz nie możemy dojść prawdy.

- Więc co robimy? - Połoński, jak zwykle, usiłował sprowadzić dyskusję na grunt działania.

- Podzielcie się robotą - zdecydował szef. - jeden niech spróbuje wysondować Andrzeja

Grodzkiego, drugi Jaworskich. Nie chce mi się wierzyć, żeby nigdy nie słyszeli o zatargu między rodziną Będzińskich i Grodzkich. Kazimierza może to rzeczywiście nie obchodziło.

- Jego interesują tylko ładne babki z seksem - stwierdził kapitan. - Dwie żony zostawił, albo też one jego i fruwa sobie jak ten wolny ptaszek, co to...

- Wiemy o ptaszkach - uciął Daniowicz. - Róbcie swoje, a ja będę poganiał, kogo trzeba, w sprawie Mariusza. Przecież, do czorta, musi gdzieś być

* * *

Szczęśny podjechał na Świeradowską trzy, zaparkował swego sfatygowanego malucha na poboczu i przez chwilę, nie wychodząc z wozu, przyglądał się willi. Był wczesny wieczór, pora kiedy ludzie, powróciwszy z pracy, jedzą obiad albo odpoczywają. Nie zapalono jeszcze świateł, choć mrok i szara mgła przesłaniały domy, bezlistne drzewa i pobliski skwer. Po kilku minutach w oknach willi rozbłysły lampy, ktoś zaciągnął zasłony. Otworzyły się frontowe drzwi, z głośnym szczekaniem wypadł biały miniaturowy pudełek z czerwoną obróżką. Obleciał dom dokoła, powęszył przy furtce i znieruchomiał na widok majora, wysiadającego z samochodu.

- Bibi, chodź tutaj! - dobiegło wołanie. Głos był kobiecy.

Szczęśny podszedł do furtki, gwizdnął na psa. Pudełek szczeknął radośnie, wspiął się na kraty, jakby chciał dosięgnąć zamka. Zabrzęczał sygnał, furtka otworzyła się. W otwartych drzwiach willi stała jakaś kobieta; miała na sobie granatowe spodnie i luźny popielaty sweter, wyszywany na przodzie w barwny krajobraz. Takie swetry w prywatnym sklepie w pobliżu Mokotowskiej kosztują około czterdziestu kawałków - myślał, idąc z wolna w jej stronę. Patrzyła na niego, ale nie było to spojrzenie życzliwe.

- Pan do kogo? - spytała ostro; zupełnie inaczej odezwała się przed chwilą do psa.

- Do pana Andrzeja Grodzkiego - odparł, głaszcząc pudełka, który piszczał i sapał, usiłując polizać mu rękę.

- Kim pan jest?

- A pani? - rzucił żartobliwie.

Podszedł blisko, zmierzył ją uważnym wzrokiem i poznał Piękną Jolę, najelegantszą i najdroższą prostytutkę w stolicy; brała tylko dolary i marki, pięćdziesiąt "zielonych" za noc. Wiedział, że ma dwadzieścia sześć lat, zaleconą gruźlicę, wyleczone inne przypadłości - i ciągle jeszcze wspaniałą urodę, starannie pielęgnowaną przez prywatne kosmetyczki i masażyistów. Ogromne, szarozielone oczy, regularne rysy, kapryśnie wygięte wargi, białe zęby i puszyste włosy, często zmieniające kolor - tak, to była Jola. Czasem nazywano ją Królową Nocy, a czasem sprzedajną dziwką, jak tam komu lepiej pasowało. Urody jednak nikt nie mógł jej odmówić. Szczęśny wiedział, że miała własną willę na Marymoncie, odkupioną po którymś prominencie wraz z

umeblowaniem. Mówiono mu nawet swego czasu, ile za nią zapłaciła, a w odróżnieniu od poprzedniego właściciela - kupiła za swoje. Wiedział też, że od paru lat wchodzi w kontakty "fizyczno-pieniężne" wyłącznie z cudzoziemcami. Toteż zdziwił się teraz, widząc ją w willi Grodzkich. Zdziwił tym bardziej, że słyszał już o projektach małżeńskich Andrzeja - po to przecież tak szybko wprowadził się tutaj - a nawet o ślubie, który podobno ma się odbyć na początku grudnia.

To wszystko przemknęło mu przez myśl, kiedy bawiąc się z pudełkiem ominął stojącą na progu dziewczynę, i wszedł do holu. Parter był wciąż jeszcze w remoncie, chociaż zniknęły kubły z farbą i pędzle. Nie opłacona ekipa malarzy zabrała, co było jej, i poszła. Szczęsny skierował się na schody, pudełek biegł za nim, rad nowej znajomości. Piękna Jola mruknęła coś do siebie, ale nie weszła na górę. Zawodowe doświadczenie sprawiło, że domyśliła się już, kim jest mężczyzna o jasnych włosach i czarnych, wąskich oczach. Nie wiedziała, po co przyszedł, i wolała na razie poczekać w holu.

Andrzej Grodzki siedział w dawnym gabinecie ojca przy biurku i przeglądał stos fotografii. Na widok majora zmarszczył brwi, podniósł się niechętnie.

- Wprawdzie nie zapraszałem pana - odezwał się z powściągliwą gwałtownością w głosie - chciałbym jednak usłyszeć, dlaczego znów się spotykamy. Jeżeli już pan tu jest, to - urwał, wskazał ruchem głowy krzesło i sam usiadł, nie podając ręki - słucham.

Szczęsny zajął miejsce i odparł z uśmiechem:

- Ze sposobu, w jaki pan ze mną do tej pory rozmawiał, można by sądzić, że jestem nie kimś, kto szuka zabójcy pańskiego ojca, ale bliskim znajomym mordercy.

Andrzej zmieszał się trochę, odchrząknął.

- Mylny wniosek. Zresztą... no, przepraszam. Jestem zdenerwowany. Zbyt wiele zważyło mi się ostatnio na głowę przykrych spraw.

- Razem, z Piękną Jolą - zauważył major - ale to tak na marginesie. Przyszedłem właściwie tylko z jedną kwestią; wyjaśnienie może być dla nas ważne. Czy mógłby pan poprosić tę panią, aby zostawiła nas samych - dodał; nie oglądając się. Wyczuł za sobą subtelny zapach francuskich perfum.

- Proszę cię, odejdz - mruknął Andrzej. - I zamknij drzwi.

Szczęsny poczekał, aż cicho stuknęła klamka, a potem rzekł:

- Czy kiedykolwiek w domu rodzinnym lub od kogoś z krewnych słyszał pan o konflikcie pomiędzy rodzinami Grodzkich i Będzińskich? Przypominam, że pańska babka Antonina nazywała się z domu Będzińska.

Andrzej patrzył na niego ze zdumieniem. Widać było, że spodziewał się wszystkiego, tylko nie pytań o koligacje rodzinne.

- Babka? - powtórzył. - Ze strony ojca? Ależ ja jej w ogóle nie znałem! Zaraz, pan pyta o

konflikt... Skąd mogę wiedzieć, czy się starzy ze sobą nie żarli. To przecież zamierzchła przeszłość. Niech pan raczej spyta stryja Kazimierza.

- Właśnie on mi o tym wspominał, ale bardzo ogólnikowo.

Grodzki przyglądał mu się chwilę w zadumie. Twarz jego straciła teraz wrogość, jakby złagodniała.

- Czyżby śmierć ojca była wynikiem dawnych porachunków rodzinnych? - spytał z niedowierzaniem. - Przecież to już trzecie pokolenie! Nie znam żadnych bliższych krewnych babki, żadnych Będzińskich - umilkł, zamyślił się. - Owszem, na pogrzebie jacyś byli.

- Będzińscy?

- Tak. Starsze małżeństwo, pod sześćdziesiątkę. Pętał się też koło nich jakiś chłopak; na syna raczej za młody, może wnuk. Joanna z nimi rozmawiała, ona panu więcej powie.

- Jak wyglądał ten syn czy wnuk?

- Zwyczajnie. Zdaje się, blondyn. Nie przyglądałem mu się. Wiem, że przyjechali skądś i mieli pokój w hotelu.

- Którym?

- Nie mam pojęcia. Panie, to był pogrzeb mojego ojca!

- Nigdy pan tego blondyna przedtem nie widział?

- Nie. I nic o nim nie wiem. Nawet nie przysięgnę panu, czy przyjechał rzeczywiście z tym małżeństwem, czy też po prostu siedł obok nich. Tam były tłumy.

Milczeli chwilę. W sąsiednim pokoju ktoś chodził niespokojnie, stukając lekko obcasami. Andrzej rzucał od czasu do czasu wzrokiem na drzwi, twarz mu się zachmurzyła.

- To wszystko? - spytał, znów był nieprzyjazny.

- Byłoby wszystko, gdyby pan wówczas nie wprowadził mnie w błąd - odparł major.

- To znaczy kiedy?

- W czasie naszej pierwszej rozmowy. Twierdził pan, że piątego października był, pan na obiedzie u Jaworskich, podczas kiedy oni wyraźnie temu zaprzeczają.

Wzruszył ramionami, sięgnął po pudełko marlboro, ale bawił się nim tylko, nie wyciągając papierosa.

- Mogłem się pomylić - burknął. - Pewnie byłem innego dnia. Dla mnie obiad rodzinny to żadna

rewelacja. W notesie nie zapisuję.

- Więc gdzie pan wówczas był?

- Chyba w knajpie. - Ziewnął ostentacyjnie, przeciągnął się. Szczęsny dostrzegł jednak nerwowe drżenie warg i palców. - Czy ja mogę pamiętać takie głupstwa? Czego pan jeszcze chce?

Major wstał, zrobił kilka kroków w stronę drzwi.

- Lepiej, żeby pan sobie przypomniał cały poniedziałek piątego - powiedział już z ręką na klamce. - We własnym interesie.

Stała tuż za drzwiami i zetknął się z nią niemal twarzą w twarz. Popatrzył w jej śliczne oczy, pokiwał głową, pożegnał półuśmiechem.

- Co on zrobił? - spytała szeptem, zbiegając za nim po schodach, a kiedy się zatrzymał na ostatnim stopniu, przylgnęła do niego tak, jakby chciała go zagarnąć dla siebie na zawsze. Odsunął ją lekko, powiedział:

- Dziewczyno, ja nie mam "zielonych". Tracisz czas.

Zatrzymała się w holu, ale zawołała półgłosem:

- Masz urodę. Wystarczy.

Nie obejrzał się. Wsiadł do samochodu, biały pudełek piszczał smutnie za furtką. Pomachał mu ręką i odjechał. Piękna Jola stała jeszcze przez chwilę we drzwiach, mrużąc swoje wspaniałe szarozielone oczy.

* * *

Kapitan Połoński umówił się wpierw telefonicznie z Jaworskimi, aby zastać oboje w domu. Lucjan spytał od razu, czy już mają mordercę; Bohdan wykręcił się od odpowiedzi przez telefon, bał się bowiem, że kiedy zaprzeczy, nie zechcą z nim się spotkać.

Przyjechał na Ursynów pod wieczór. Drzwi otworzyła Joanna, milcząca, bez uśmiechu. Poprosiła do pokoju, spytała: kawę czy herbatę, i znikła w kuchni. Lucjan pojawił się z pogodną twarzą; miał różowe policzki i ręce o starannie utrzymanych paznokciach, którym przyglądał się z uwagą, kiedy zbierał myśli nad odpowiedzią.

- Jest coś nowego? - spytał z życzliwym zainteresowaniem.

- Trochę. To znaczy może to być trafny kierunek śledztwa - odparł kapitan, siadając w przepaścistym fotelu, obitym czarną skórą, może zresztą była to imitacja.

Joanna przyniosła trzy filiżanki kawy i cukiernicę. Zmierzyła oficera niechętnym spojrzeniem, wzięła swoją filiżankę, usiadła z boku, jakby chcąc dać do zrozumienia, że wolałaby nie brać udziału w rozmowie, a jest tu tylko z uprzejmości.

- Zaciekawia mnie pan - rzekł Jaworski. - Jakiś nowy trop?

- Właśnie. Wspomniano nam o konflikcie pomiędzy dwiema rodzinami: Grodzkich i Będzińskich. Państwo z pewnością pamiętają, że matka pani ojca i stryja - zwrócił się do Joanny - nazywała się Będzińska. Czy żyje jeszcze ktoś z tej rodziny?

- Tak - odparła chłodno. - Byli na pogrzebie.

- Czy mogłaby mi pani cokolwiek o nich opowiedzieć?

Milczała chwilę, skrzywiła wargi. Wciąż była nieprzyjemna, pełna wrogości. Zastanowił się, czy tylko wobec niego, czy w ogóle milicji. Czekał cierpliwie na odpowiedź.

- Starsi ludzie - zaczęła wreszcie z wolna. - Kuzyni mojej zmarłej babki, nie pamiętam dokładnie pokrewieństwa. Mieszkają w Poznaniu. Nie znaliśmy ich przedtem - spojrzała przelotnie na męża, który przytwierdził ruchem głowy. - Oboje na emeryturze. Zatrzymali się wówczas w Warszawie na dwa dni, chyba w hotelu "Solec".

- Byli tylko we dwoje?

Popatrzyła ze zdziwieniem.

- A z kim mieli być?

- Miałem na myśli młode pokolenie. Pani rówieśników.

Potrząsnęła głową przecząco.

- Po pogrzebie zaprosiliśmy na obiad część gości - rzekł Lucjan - ale tylko krewnych. Ci państwo nie przyszli. Nie wiesz, dlaczego? - zwrócił się do żony.

- Prosiłam, ale mieli jakieś sprawy do załatwienia, więc odmówili. Więcej ich nie widziałam. Kto panu mówił o konflikcie rodzinnym?

- Kazimierz Grodzki. Podobno wskutek tego sporu, czy jak to nazwać, dziadkowie pani przeprowadzili się z Krakowa do Warszawy. Niestety, stryj nie znał żadnych szczegółów w tej sprawie. A pani?

Wzruszyła ramionami.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam. Być może jednak właśnie dlatego nie znamy nikogo z Będzińskich. W każdym razie w domu ojca nikt o tym nazwisku nie był.

- Joasiu, daj panu adres tych krewnych z Poznania zdaje się, że zapisałaś?

Podniosła się ociężale, wyszła do drugiego pokoju. Lucjan pochylił się w stronę kapitana i powiedział konspiracyjnym szeptem:

- Jestem całkowicie lojalnym szwagrem, ale zachowanie Andrzeja w ostatnim czasie wydaje mi się nieco podejrzane.

- Co pan ma na myśli?

- Ten niepohamowany pęd do zawładnięcia willą i samochodem ojca, jakaś taka zaborczość...
- urwał, bo Joanna wróciła. Podała oficerowi kartkę z wypisanym adresem, mruknęła coś, poszła do kuchni.

- Sądzi pan, że byłby zdolny...? - Połoński celowo zawiesił głos. Obserwował twarz swego rozmówcy, poczerwieniała z emocji. Jaworski przesiadł się na fotel tuż obok niego i szeptał do ucha:

- Panie, przecież oni się od dawna nienawidzili! Adam trzymał syna silną ręką od samego dzieciństwa, jak tylko zmarła Maria. Nie było to łatwe, bo chłopak od małego stawał okoniem. Kiedyś, a może nawet nie było to tylko raz, ukradł ojcu pieniądze z biurka. Jak miał czternaście lat, wyniósł z domu i sprzedał na bazarze bardzo cenny srebrny talerz, inkrustowany, pamiątkę rodzinną. Adam, nie wiem w jaki sposób, domyślił się prawdy. Przez znajomego w prokuraturze udało mu się zatuszować sprawę, bo talerz milicja znalazła w trakcie jakiejś akcji przeciw spekulantom. Może pan go sobie obejrzyć, stoi w gablocie za szkłem w gabinecie Adama. No, teraz Andrzeja. Pobili się wtedy, bo ojciec sprzął chłopaka, a ten rzucił się na niego z nożem. Rozdzielił ich Kazimierz, który akurat przyszedł na Świeradowską.

- No, dobrze. Ale to dawne czasy. Dziś Andrzej ma blisko trzydzistkę, stanowisko w "Interfoxie", mieszka od kilku lat oddzielnie. W czym by mu ojciec przeszkadzał?

- Panie, on to wszystko pamięta! Adam też widać nie zapomniał, bo po śmierci żony nie podzielił się z dziećmi ani biżuterią, która po niej pozostała, ani pieniędzmi.

- Przecież z córką chyba nie miał kłopotów, czemu więc i jej poskapił?

Lucjan zawahał się, zmieształ.

- Kłopotów nie miał, ale jej nie kochał. Zawadzała mu w domu czy jak... Kiedy poznałem Joasię, było to takie ciche, wystraszone stworzenie, zahukane przez ojca, niemal biednie ubrane, choć pieniędzy tam było sporo. Popatrzyłem, zorientowałem się w sytuacji i wzięliśmy ślub tak szybko, jak tylko się dało. Mieszkanie już miałem, więc dziewczyna odetchnęła, ubrała się, odzyskała samodzielność. Niestety, nie mamy dzieci.

- Załóżmy - powiedział Połoński, ważąc słowa - że Andrzej dokonał zabójstwa. Ale jak? Czym?

Jaworski stulił ramiona, wzdrygnął się z odrazą.

- On jest z wykształcenia chemikiem. A w chemii, pan rozumie, wszystko jest możliwe. Często wyjeżdża za granicę, mógł stamtąd przywieźć jakieś toksyczne świństwo.

- Czyżby zabił tylko po to, aby dostać willę i samochód? Zresztą wszystko to jest przecież do podziału między nim a wami.

- Ach - Lucjan machnął ręką - on już tak to urządzi, że z willi się nie wyniesie. I forda-sierry nie odda. A to piękny wóz! - rozmarzył się, westchnął. - Mówię panu, ale to w zaufaniu, że mój szwagier zdolny jest do każdej podłości, żeby tylko się wzbogacić. Biedna Joasia płacze nieraz, jak o tym mówimy.

Powróciwszy do Urzędu, Połowski zdał dokładną relację z rozmowy szefowi, potem Szczęsnemu, który przyjechał ze Świeradowskiej. Major wysłuchał uważnie jego słów, a potem rzekł z powątpiewaniem:

- Wygląda mi to na prymitywne łgarstwo. Albo też - zamyślił się - na zwalanie winy wedle zasady: łapaj złodzieja. Pytałeś Jaworskiego co robił tamtego wieczoru i nocy? Czy nie powiedział ci, że spacerował po mieście "dla rozprostowania mięśni" albo coś w tym rodzaju?

- Owszem - przyznał kapitan. - Właśnie tak to wytłumaczył.

* * *

Mariusz Będziński nie dawał znaku życia. Stołeczna milicja systematycznie przetrząsała meliny, trzeciorzędne knajpy, zakamarki podwórkowe, wypłaszała z piwnic prostytutki najniższej kategorii i ich klientów, penetrowała bazy. Niezależnie od tak szeroko zakrojonego działania inspektorzy dzielnicowi próbowali uzyskać jakąś informację od dawnych kolegów Mariusza ze studiów, a nawet ze szkoły ale próby te nie dały żadnego rezultatu. Były asystent profesora Łackiego z chwilą wyrzucenia z ministerstwa zerwał dawne kontakty towarzyskie i nie pokazywał się wśród znajomych. Zmienił adres, przeniósł się na Pragę, spotkanym przypadkowo mówił byle co i spiesznie odchodził.

Potem nastąpił okres intensywnego wlewania w siebie alkoholu. Wtedy wszedł w środowisko mętów społecznych, które przyjęło go wpiernie nieufnie, potem z pobłażliwą życzliwością. Z początku wyróżniał się sposobem bycia, używaniem ładnego języka, nie brał też udziałów bójkach. Z czasem i to się zmieniło. Szedł w dół, co zarobił, to przepijał, parę miesięcy żywiła go stara, przegnana prostytutka, której spodobał się ładny chłopak. "Delikacik" - mówiła o nim z czułością. Później jednak sprzykrzyło się jej utrzymywać Mariusza i bez żalu wyrzuciła go z mieszkania.

W tym czasie chłopak jakby nagle otrzeźwiał, zresztą nie miał już za co pić. Pracował trochę na prywatnej budowie, trochę pomagał handlarzom owoców i warzyw. Wreszcie trafił do warsztatu grubego majstra Kwiecińskiego na Brzeskiej. Z pewnym zdumieniem odkrył w sobie nie ujawnione dotąd zdolności do obrabiania metalu. Kilka dni spał na podwórzu, pomiędzy pojemnikami na śmiecie, potem ktoś mu nastroczył wspólny pokój u Ziółkowskiej. Mógł się wreszcie umyć, przeprać

bieliznę i doprowadzić do jakiego takiego wyglądu. Kwieciński był z Mariusza zadowolony; płacił mu niewiele, tym niemniej była to jakaś tam podstawa egzystencji. Toteż teraz, kiedy chłopak tak nagle znikł mu z oczu, majster poczuł się urażony i zły. Przyjął w końcu nowego pomocnika, bo roboty wciąż było dużo.

Tymczasem jednak margines społeczny, systematycznie nękanym i przepędzonym z melin, zorientował się, że tu nie chodzi o zwyczajną milicyjną robotę (do tej potrafił się przyzwyczaić), ale o coś innego.

- Szukają kogoś - stwierdził Kulas, kiedy siedzieli w dobranym gronie na peryferiach Pragi. Tej meliny milicja jeszcze nie znała.

- Szukają, psia ich mać! - westchnął Szwagier. - Ale kogo?

- Żeby to ja wiedział.

Milczeli kilka minut, pociągając "gołdę", butelka krążyła z wolna pomiędzy kumplami. Na rozpostartej gazecie leżały kromki chleba, ogórki kiszzone i salceson, grubo krajany. Melina była dobrze ukryta w budzie, przyległej do piętrowego domu; mieszkały w nim cztery rodziny, same złodziejskie cwaniaki od dzieciaka do starego dziadka, który ponoć dobiegał już dziewięćdziesiątki, ale jeszcze koszule ze strychów ściągał i co tam wisiało uprane. Kulas miał wśród nich od dawna wypracowany autorytet, poparty, jak było trzeba, twardą pięścią.

- Trza się wywieźć - rzekł. Głos miał ładny, miękki baryton; kiedyś nawet śpiewał w kościele, ale raz przyszedł pijany i organista wygnał go bez prawa powrotu.

Ryży, chudy Cyrkowiec (właził do mieszkań przez balkony, nie miał lęku przestrzeni) ocknął się, poruszał bezzębnymi ustami i powiedział, dopiero teraz, bo właśnie mu się przypomniało:

- Będzińskiego szukają. Mariusza, pieskie nasienie.

- Co za jeden?

- Choroba wie. Robił niedawno w warsztacie u Kwiecińskiego, na Brzeskiej. A mieszkał u starej Ziółkowskiej, ale już go nie ma. Ani u grubego, ani u starej.

- Za co go szarpią?

- Za niewinność! - zarechotał Szwagier i umilkł pod groźnym spojrzeniem Kulasa. Nie czas było na żarty. Butelka znów poszła w obieg, salcesonu już zabrakło. Cyrkowiec z markotną miną wyjął z kieszeni kawałek kaszanki, pokroił sprawiedliwie, na trzech. Był jeszcze czwarty, Łysek, ale spał, więc nie musiał dostać.

- Mieszkał u Ziółkowskiej i żaden z nas go nie zna? Co to za bajzel! - zdenerwował się Kulas. - Obudź Łyska.

- Zara - mruknął Szwagier, przełykając trzeci kawałek kaszanki. Potem chwycił kumpla za nos,

ścisnął, aż- tamten zacharczał i zbudził się, przestraszony.

- Czego? - warknął, patrząc nieprzytomnie. - Jużeśta wszystko zeżarli - zmartwił się, patrząc na gazetę.

- Będzińskiego Mariusza znasz? - spytał Kulas. - Robił na Brzeskiej u Kwiecińskiego.

Łysek podrapał się po gęstych, siwych kudłach i zamyślił głęboko. Zjadł ostatni ogórek, a potem rzekł:

- Taki blondyn, mizerny, jakiś student czy inna cholera. Ciągnął zdrowo, jak poszedł w cug, to i tydzień nie trzeźwiał. Mieszkał u tej czarnej Antośki, na Białołęckiej pod szóstym. Ale że nic do domu nie przynosił, tylko przechlał każdy grosz, więc go wyciepla. Później go nie widziałem, dopiero z miesiąc temu poszedłem do Kwiecińskiego po parę gwoździków i tam go zobaczyłem. Robił głowice. Nawet mu to całkiem szło. A co, umarł?

- Głupiś. Gliny go szukają jak złotego pierścionka. Życ nie dają, żeby ich nagła krew!

Milczeli dłuższą chwilę, kurząc radomskie. Wreszcie Kulas zdecydował:

- Trza go znaleźć Bo inaczej nie będzie spokoju. Przez tego skurwiela żaden interes nam nie wychodzi. Jak on student czy inne draństwo, to nie z branży. Nic nam do niego, ochraniać nie musimy. Znaleźć, i to szybko!

- A jak znajdziemy, to...? - Szwagier ze złym uśmiechem wyciągnął zza paska nóż sprężynowy i z rozmachem wbił w drewnianą ścianę budy. Zadrzał, ale nie wysunął się ani o włos. - Ostry! - pochwalił się. - Wszystkiemu da radę. Załatwić go? - spojrzał na Kulasa.

Ten wzruszył ramionami. Nie odpowiedział.

- Najpierw go znajdź - mruknął Łysek.

* * *

Połośki wszedł do gabinetu Daniłowicza i powiedział trochę zdziwiony:

- Ciekawa rzecz. Dzielnice powiadomiły nas, że niezależnie od nich Mariusza Będzińskiego szukają, złodzieje, meliniarze i cały ten element. Czyżby zdążył narazić się komuś z marginesu?

Szczęśny, który przeglądał u szefa książkę telefoniczną, roześmiał, się.

- Myśmy się narazili marginesowi. Dlatego próbuje znaleźć i podrzucić nam poszukiwanego w nadziei, że wtedy na jakiś czas damy im trochę luzu. A swoją drogą, gdzie ten chłopak tak się sprytnie ukrył?

Odpowiedź przyszła nieoczekiwanie jeszcze tej nocy. O drugiej nad ranem Szczęsnego zbudził telefon. Spał źle, często się budził i dzwonek nie wyrwał go z głębokiego snu, ledwie z niespokojnej drzemki. Podniósł słuchawkę.

- Majorze, mówi oficer dyżurny z Dzielnicowego Urzędu na Pradze - odezwał się głęboki baryton. Poznał głos podporucznika Zięby.

- Co tam zaszło?

- Znaleźliśmy Mariusza Będzińskiego, ale trzeba go było od razu przewieźć do szpitala.

- Dlaczego?

- Poharatany, z pięć uderzeń nożem. Leżał na tym małym skwerku niedaleko Dworca Wileńskiego, w krzakach. Patrol znalazł go, kiedy skracali sobie drogę. Ale przedtem był telefon...

- W jakim stanie jest ranny? - Szczęsny na piżamę naciągnął spodnie i sweter, przytrzymując łokciem słuchawkę.

- Kiepskim. Zaraz go wzięli na salę operacyjną. Co prawda lekarz mówi, że żaden cios nie był śmiertelny, ale stracił dużo krwi. Pewnie leżał dość długo na skwerze.

- Przyślijcie po mnie radiowóz. I kogoś z tego patrolu. Ja za trzy minuty schodzę, będę czekał na ulicy.

W szpitalu Szczęsny przesiedział ponad godzinę w korytarzu, bo operacja jeszcze trwała. Wreszcie znajomy chirurg wyszedł na korytarz, ocierając spoconą twarz. Usiadł obok oficera, zapalili.

- Więc tak - zaczął, zaciągając się dymem, z widocznym zadowoleniem. - Sądzę, że będzie żył. Pozszywaliśmy go, jak tylko się dało. Rany cięto-klute, szczelinowate o zmiążdżonych brzegach.

- Nóż?

- Nóż - potwierdził. - Dość długi, sprężynowy. Zastanowiło mnie, dlaczego przestępca kłuł tak, jakby mimo wszystko nie chciał zabić, tylko poranić. Nie uderzał ani w szyję, ani w brzuch czy serce. Trzy ciosy poszły w oba uda, jedno w lewe ramię, jedno jest na tylnej powierzchni tułowia. Być może liczył na wykrwawienie ofiary.

- Kiedy będzie można z nim porozmawiać?

- Z chorym? Myślę, że za kilka dni. Teraz śpi po narkozie.

Szczęsny pożegnał doktora i wyszedł na dziedziniec szpitalny, gdzie stał radiowóz. Wsiadł, poczęstował kaprała i kierowcę papierosami, a potem spytał:

- Więc jak to było? Ktoś zawiadomił telefonicznie, że on tam leży, czy też zwyczajnie

natknęliście się na ciało?

- Najpierw ktoś zadzwonił do oficera dyżurnego - odparł kapral, który szedł w tym patrolu. - Nie podał nazwiska, tylko że w krzakach na skwerku leży człowiek. I zaraz się wyłączył. Porucznik Zięba przekazał nam to radiotelefonem, więc poszliśmy. Rzeczywiście na skróty, bo krzaki rosną na środku skweru. Leżał na trawie, było tam już sporo krwi. Pojechałem z Pogotowiem Ratunkowym do szpitala. No i z jego dokumentów dowiedziałem się, że to poszukiwany Będziński.

- Pokażcie mi to miejsce na skwerze.

Szczęśny długo przyglądał się krzakom, zakrwawionej trawie i śladom wielu nóg. Potem wrócił do domu i swoim zwyczajem nie patrząc na zegarek zadzwonił do Połńskiego. Zaspany kapitan zaklął pod nosem, roztrzeźwiał, myślał chwilę i rzekł z przekonaniem:

- To robota któregoś z praskich nożowników. Jest tam kilku "fachowców" w posługiwaniu się nożem. Miałeś rację, znaleźli Mariusza i podrzucili nam, wprawdzie pokłutego, ale nie śmiertelnie.

ROZDZIAŁ 6

Znajomy pułkownik-fizyk z Zakładu Kryminalistyki KGMO powiedział:

- Przemyśl to. Radziłbym ci też poczytać nieco więcej z fizyki.

- Dlaczego nieco więcej? - zdziwił się Szczęśny. - Wcale nie czytam.

- Właśnie. Weź się za jakiś przystępniejszy podręcznik z dziedziny akustyki. Tam to znajdziesz, a wtedy...

Pułkownik nie dokończył. Nie miał prawa osądzać sprawy, która wciąż jeszcze była wielką niewiadomą. Tym niemniej to i owo sobie o niej myślał. Wiedział, że teoretycznie coś takiego jest możliwe; reszta należała już do Szczęśnego i jego kolegów.

Rozmowa miała miejsce na trzeci, dzień po znalezieniu poharatanego Mariusza na skwerku w pobliżu dworca. Chirurg ze szpitala, do którego przewieziono rannego, nie zgodził się na przesłuchanie. Jeszcze nie.

- Przecież wam nie ucieknie - mówił do majora - a umrzeć mu nie pozwolimy. Na razie jest mało przytomny i bełkoce o głowicach do kranu, jakby już nie było ciekawszego tematu.

Szczęśny umówił się więc z Połńskim, że ten dopilnuje chwili, w której Będziński porzuci głowice i zacznie rozmawiać normalnie. Mówiąc szczerze, nie mieli przeciwko niemu żadnych

zarzutów poza jednym: nie stawiał się w Urzędzie. To nic - wobec włamań, zabójstw, gwałtów i innych ciężkich przestępstw. Czy jedno z nich popełnił, to mogło się dopiero okazać w trakcie przesłuchania. W każdym razie mieli nadzieję, że prawda wyjdzie na jaw. Zdarza się. bowiem, że bandyta przez wiele dni "idzie w zaparte", a człowiek zgoła niewinny - kogoś tam chroniąc - przyznaje się do diabli wiedzą czego.

Załatwiwszy problem szpitala, Szczęsny, który póki co za nic na świecie nie przyznałby się przed kolegami do rozmowy z pułkownikiem-fizykiem, zagłębił się w domu w studiowanie akustyki. Chciał sam dojść do konkretnych wniosków, przemyśleć to, o czym mówił ekspert z Zakładu Kryminalistyki. Być może okaże się, że to bzdura; wtedy nie będzie się przed nikim tłumaczył i uzna sprawę za niebyłą. Jeżeli jednak fizyk ma rację... Ba! Wtedy nie będzie już pytania, jak zabito Adama Grodzkiego, natomiast pozostanie kwestia, kto. Zamyślił się nad osobą ewentualnego mordercy, ale prędko te myśli porzucił. Szukać zacznie dopiero wtedy, kiedy nauka odpowie mu już na pierwsze pytanie.

W podręczniku fizyki dla kandydatów na wyższe uczelnie (wspólna praca J. Blinowskiego i J. Trylskiego) akustykę znalazł w rozdziale dwudziestym i zatroskał się, że tak mało, osiemnaście stron zaledwie. Widać nie jest to zjawisko dla fizyków najważniejsze. Dla niego jednak może mieć wagę zasadniczą. Ze szkoły (jakże dawno to było!) pamiętał trochę o powstawaniu dźwięków i ich rozchodzeniu się w powietrzu. Szybko przeleciał więc wzrokiem wstępne informacje, zatrzymał się na słowach: "... noszą nazwę infradźwięków". O nich to właśnie mówił pułkownik z Zakładu Kryminalistyki.

Szukał teraz uważnie tego, o co mu chodziło. Szukał "granicy bólu". Przeczytał: "Maksymalne natężenie, powyżej którego fala dźwiękowa nie wywołuje już wrażenia słuchowego, lecz staje się przyczyną bólu ucha, nosi nazwę granicy bólu". W tym podręczniku nie znalazł jednak nic więcej na temat interesującego go zagadnienia. Sięgnął więc do innych. Encyklopedia podała mu dokładniejszą definicję infradźwięków: "Poddźwięki niesłyszalne o częstotliwości mniejszej niż 16 Hz". I wreszcie natrafił na zdanie, które go zelektryzowało: "Infradźwięki o dużych natężeniach wpływają ujemnie na żywe istoty"

Dlaczego, u diabła, tak mało jest o ich działaniu w sensie medycznym? Pułkownik ma rację; medycyna nie zna, przynajmniej w Polsce, zabójstwa za pomocą infradźwięków. Nie przeprowadzono nigdy sekcji takich zwłok. No dobrze, a jeżeli teraz była to właśnie pierwsza sekcja? Mimo iż Stern o tym nie wiedział...

Znów wrócił do książek. Jeszcze inny podręcznik. Trzeba znaleźć objawy, to podstawowy problem. Czytał: "Wywołują drgania rezonansowe klatki piersiowej, przepony i organów trawienia. Powoduje to zaburzenia systemu oddychania, a przy dłuższym działaniu może doprowadzić do chorób układu trawienego." Nie, to jeszcze nie to. Dłuższe działanie... ile? Godzina, miesiąc? Rok? Zobaczymy, co dalej: "Powodują zakłócenia zmysłu równowagi, a także zmniejszenie ostrości widzenia. Granicę bólu i próg odczuwania wrażeń, pochodzących od infradźwięków, określa się podobnie jak dla dźwięków słyszalnych. Im niższa częstotliwość, tym bardziej te dwie granice do siebie się zbliżają."

Odłożył na chwilę książkę i zamyślił się. Zakłócenie zmysłu równowagi? A więc zawroty

głowy, chwiejność, utrata koordynowania ruchów. Zmniejszenie ostrości widzenia: mgła przed oczami, mętny, szary obraz otoczenia. Gdyby tylko to, Adam Grodzki nie straciłby życia. Chyba że chwiejąc się, źle widząc upadł na... Nie. Przecież nie było żadnych obrażeń głowy, barku, kręgosłupa. Dobra, jedźmy dalej.

“Zakres oddziaływania na organizm żywej istoty”. Podział, raczej stopniowanie, według ilości decybeli. Najpierw poniżej 120 dB. Nic. Nie wywołuje żadnych ujemnych objawów. Teraz między 120 a 140 dB. Lekkie zakłócenia procesów fizjologicznych i uczucie zmęczenia. Trzeci stopień natężenia: między 140 a 160 dB. Groźne! Już po dwóch minutach oddziaływania następuje zakłócenie zmysłu równowagi, wymioty. Przy dłuższym działaniu - trwałe uszkodzenie organiczne. Wreszcie ostatni punkt - infradźwięki o sile powyżej 170 dB. Śmierć żywej istoty wskutek przekrwienia płuc, pęknięcia komory serca i innych wewnętrznych obrażeń. Częstotliwość wynosi tutaj 0,2 herców.

Zerwał się z miejsca i zaczął gorączkowo krążyć po pokoju. Czyżby odkrył sposób, w jaki Grodzki został zamordowany? Chwycił podręcznik, czytał po raz drugi z ogromną uwagą ostatni fragment. Przekrwienie płuc, pęknięcie komory serca - ależ to były właśnie objawy stwierdzone przez Sterna w trakcie sekcji! Żadnych złamań, żadnych uderzeń tępym lub ostrym narzędziem. Natomiast na ubraniu, na co zwrócił mu uwagę ten stary laborant w Zakładzie Medycyny Sądowej, ślady torsji.

Zatrzymał się przy telefonie, ale nie podjął słuchawki. Nie. Jeszcze nie czas na podzielenie się informacją z kolegami. Najpierw trzeba to skonsultować ze Sternem. Na samym początku oględzin i tuż po sekcji lekarz sugerował “ewentualne ogromne ciśnienie”. A więc jakiś napór, napięcie. Czy również natężenie w znaczeniu decybeli? Mniejsza o -naukową definicję. Faktem jest, że Adam Grodzki zmarł wskutek jakiejś ogromnej siły, która zniszczyła mu narządy wewnętrzne, nie uszkadzając kości.

Wstał, poszedł do kuchni, nastawił wodę w czajniku. Wsypał czubatą łyżeczkę granulowanej kawy do dużej filiżanki, takiej od barszczu albo bulionu, ale nie lubił szklanek, odkąd rozbite szkło pokaleczyło mu palce. Dodał cukru, a kiedy woda się zagotowała, nalał do pełna, ostrożnie przeniósł kawę do pokoju. Musiał poczekać, aż trochę ostygnie, więc znowu chodził od okna do szafy i od drzwi do tapczanu, myśląc intensywnie.

Trzeba znaleźć źródło wytwarzania infradźwięków. Wyobraźnia podsunęła mu obraz potężnego generatora, z pewnością elektronicznego lub elektromechanicznego. Oczywiście również silnik elektryczny o mocy kilkudziesięciu kilowatów, napędzający tę jakby membranę systemem przekładni mechanicznych... Pewnie jest prócz tego własna podstacja dla dostarczania odpowiedniej mocy. Generator wytwarza właśnie coś, co można nazwać rytmicznymi zmianami ciśnienia, którymi są infradźwięki. Być może - rozgrzeszył sam siebie - rozumiem nieściśle, ale przecież nie jestem naukowcem, a sens jest właśnie taki.

Czy dużo jest generatorów w Warszawie? Pewnie w każdej większej fabryce. A także w technice pomiarowej, telewizji, radiolokacji, do zasilania odbiorników mocy, przetworników ultradźwiękowych, w urządzeniach automatyki i czego tam jeszcze. Obłąd!

Co robił Adam Grodzki w ów pechowy dzień i noc z piątego na szósty października? Dokąd

poszedł, z kim, po co? Jak to możliwe, że ten doświadczony, inteligentny mężczyzna w sile wieku dał się zaprowadzić do miejsca, gdzie zginął? A śmierć musiała być straszna. Jak to mogło się stać? Żył od półtora roku na emeryturze. Ekonomista z zawodu, nie interesował się fabrykami w sensie technicznym. Więc po cholere był mu potrzebny generator?! Bo musiał znaleźć się w zasięgu jego działania. Nie uciekł albo na ucieczkę było już za późno. Gdzie był i co robił człowiek, który zamknął go w jakimś pomieszczeniu i uruchomił generator? Może przyglądał się tej śmierci przez wizjer... A później wsadził zwłoki do samochodu, tak musiało być, musiał go wywieźć, przecież na drodze ani w pobliżu lasu pod Kowalewem nie ma żadnego zakładu produkcyjnego, żadnego laboratorium czy instytutu. Więc wywiózł i położył ciało na brzegu lasu. Nikt go nie widział, nie zatrzymał. Czy w fabryce, w której znajdował się generator, nie było wartowników? Nie było w ogóle ludzi...?

Pił kawę małymi łykami; jego czarne wąskie oczy jarzyły się wewnętrznym ogniem. Czuł, jak narasta w nim bunt przeciwko przemocy, przeciw nienawiści, której konsekwencją stała się zbrodnia. Jak strasznie musiał nienawidzić człowieka, zadający drugiemu tak potworną śmierć! Zimne, wyrachowane morderstwo za pomocą wyrafinowanej techniki. Obliczone na nie zakończone nigdy śledztwo, zbrodnię do końca nie wykrytą. Niemożliwą do wykrycia... Czyżby? Chwycił słuchawkę, nakręcił numer Połńskiego.

- Słuchaj - powiedział - przyjedź do mnie. Zaraz.

- Co się stało? - Bohdan znał go na tyle dobrze, że właściwie pytanie było zbyteczne, należało natychmiast nałożyć kurtkę i wyjść z mieszkania.

- Przyjeżdżaj - odparł Szczęsny, kończąc rozmowę. Potem czekał niecierpliwie, krążąc po pokoju. Coś mu się przypomniało; wziął do ręki gazetę, odczytał raz jeszcze zakreślony fragment: "Spustoszenie samego siebie przez nienawiść, zawiść, złość czyni z człowieka niewolnika nocy, a nie twórcę światła... Nienawiść pustoszy człowieka." Powiedział to Czingiz Ajtmatow w wywiadzie dla "Ogonioka". I miał po stokroć rację.

Tak - myślał. - Ten, który zabił Grodzkiego, to właśnie taki niewolnik nocy i spustoszyła go nienawiść. Czy aż tak nienawidzić można tylko dla pieniędzy? Raczej z zemsty. Zawiści. Zazdrości.

Podszedł do drzwi, otworzył Połńskiemu.

- Siadaj. Kawę pijesz?

- Piję - mruknął Bohdan, zaintrygowany wezwaniem. - Działamy na zasadzie opylania krzyżowego?

- Czego? - zdumiał się Szczęsny, stawiając przed nim filiżankę.

- Tak się określa ostatnio wzajemność usług w jakiejś grupie. Coś ci zablokowało umysł, więc mam go odblokować. Tak? Nie wiem, czy potrafię.

- Pij kawę, a ja ci powiem, czego się dowiedziałem. Potem ewentualnie mnie opylisz -

roześmiał się. Na chwilę zapomniał o infradźwiękach, ale zaraz spoważniał. - Więc słuchaj.

Kiedy skończył, popatrzał pytająco na swego kolegę, na jego trójkątną, kocią twarz z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi i zgrabnie zarysowanym nosem. Była to twarz interesująca, choć szpecił ją nieco grymas ust; przez dolną wargę biegła ukośna blizna, ślad po uderzeniu nożem. Bandyta nie był na tyle pijany, żeby chybić. Nie chciał zabić - chciał oszpecić. Mimo tej blizny Bohdan cieszył się niezmiennym powodzeniem u kobiet. .

Słuchał uważnie, chwilami w zadumie gładził czarne włosy, gładko przylegające do głowy.

- Taaak - przeciągnął, kiedy major umilkł. - Chyba masz rację. Ale wiesz, co ci powiem?

- No?

- Zachowajmy na razie tę wersję dla siebie.

- To samo myślałem. Żeby się potem z nas nie nabijali. Bo to jest jednak straszliwie nieprawdopodobne. A z drugiej strony tylko taki przebieg wypadków wydaje się prawdziwy. Działanie infradźwięków nikomu z nas dotychczas nie przyszło do głowy! Ale mówisz, że ci ta wersja pasuje?

- Tak jakby - odparł Połński z wahaniem. - Trzeba mnóstwo rzeczy sprawdzić. Od czego zaczniemy?

Szczęśny milczał długo, coś tam kreślił na kartce, zastanawiał się. Wreszcie rzekł:

- Ja bym na razie zostawił na boku generatory. Jest ich tak wiele, że tą drogą do niczego nie dojdziemy. Stawiałbym na motyw.

- To znaczy, kto miał powód do zabójstwa? Przede wszystkim w grę wchodzi rodzinka. Andrzej, Joanna, Jaworski, no i Kazimierz.

- Owszem, jeżeli bierzesz pod uwagę chęć zysku. Ale przyczyna może być zupełnie inna.

- Jaka?

- Nienawiść. Zazdrość. No i zemsta.

Bohdan rozważał te trzy możliwości.

- Sądzisz, że wówczas rodzinę należy pominąć?

- Nie wiem. Jutro przesłuchamy Mariusza Będzińskiego, lekarz powiedział, że już można. Tutaj pasowałaby mi zemsta. Bądź co bądź chłopak został brutalnie wyrzucony przez Adama ze stanowiska i z pracy. W rezultacie stoczył się, degrengolada moralna, alkohol. Czy nie wydaje ci się, że przez cały ten czas, choćby ukryte w podświadomości, tkwiło w nim poczucie ogromnej krzywdy i chęć zemsty? Co prawda trudno zrozumieć, w jaki sposób potrafiłby zabić za pomocą infradźwięków.

Chyba że poza robotą u majstra Kwiecińskiego prowadził jakieś drugie życie, bo ja wiem, w laboratorium czy fabryce?

- Dobrze. Powiedzmy, że prowadził. Rzecz do sprawdzenia. Jedź dalej: nienawiść. Kto nienawidził Adama Grodzkiego?

Znowu milczeli kilka minut. Szczęsny sięgnął do swoich zapisków, przerzucił kartki książki.

- Popatrz, co pisze Ernest Hilgard we “Wprowadzeniu do psychologii”: “Ilekcioć zmierzające do celu nasze zachowanie napotyka utrudnienia w postaci jakiejś przeszkody, stajemy wobec konfliktu lub frustracji”. Reakcją na frustrację jest agresja.

- Agresję może również wywołać strach - zauważył Bohdan. - Ktoś, bojąc się, ucieka, ale ktoś inny atakuje. Nie pasuje mi to jednak do naszej sprawy. Któż bałby się Grodzkiego na tyle, żeby go zabić?

- Myślę, że za mało jeszcze rozpoznaliśmy osobowość Adama. Kto wie, co się kryło naprawdę w tym spokojnym, emerytowanym dyrektorze. Może komuś groził?

- Pozostał jeszcze jeden powód: zazdrość. Tutaj znowu wróciłbym do rodziny. Zazdrościli mu konta w banku, drogocennej biżuterii, willi i samochodu. Swoją drogą musiał być z niego nielichy skąpiec. Żeby tak usiąść na pieniądzach i klejnotach, nic nie dając dzieciom! Gdzie on to chciał zabrać, po śmierci do grobu? Chyba że mu te dzieci mocno zalażyły za skórę?

- Nie mówiliśmy dotąd o Kazimierzu. Jemu nie zależy na majątku, bo zrzekł się spadku. Czy w grę wchodzi zemsta? Albo zazdrość? Nie bardzo sobie wyobrażam, czego mógł bratu zazdrościć, bo karierę Adam miał już za sobą. Zemsta? Jeżeli tamten kiedyś wszedł mu w paradę, to w czym? Obaj mieli inne studia, inne stanowiska, Adam po śmierci żony nie zadawał się z kobietami, choć tutaj nie mam pewności, ale Kazimierzowi żony nie odbił.

- Raczej byłoby odwrotnie. Więc nienawiść? Zasadnicze pytanie: za co? Drogi tych braci biegły niemal od dzieciństwa oddzielnie, zwłaszcza że dzieliła ich duża różnica wieku, trzynaście lat. Każdy miał swoje życie. Koledzy, przyjaciele Adama nie spotykali Kazimierza w jego domu, niektórzy nawet go nie znali. Więc skąd nagle morderstwo? Nie, to wszystko nie zgadza mi się. Zobaczmy, co nam powie Mariusz Będziński.

* * *

W południe - nikt tego nie przewidział, a w każdym razie nikt z postronnych obserwatorów - na skwerku zakotłowało się. Skwer był nieduży, wciśnięty pomiędzy stare, czteropiętrowe kamienice i na tyle niewidoczny z ulicy, że dwa przejeżdżające tamtędy radiowozy normalnego patrolu nic nie zauważyły. Mimo listopadowego chłodu pootwierały się niektóre okna; widać było w nich zaciekawione twarze gapiów.

Punków zjawilo się czterech; wyglądali jakby ich właśnie przywieziono na plan przy kręceniu

filmu pod tytułem, powiedzmy, "Odmieńcy" albo "Krzyk obmierzłego pyska". Ubrani w czarne skórzane kurtki, nabijane nitami, wysokie buty, każdy z obowiązkową "pieszczochą" na rękę, jak nazywają skórzany pasek z błyszczącymi ćwiekami. Włosy poukładali sobie w punkowskie fryzury: pół głowy zgolone i wysoki czub, wzmocniony lakierem (w jego braku białkiem) albo rozwichrzona hyra typu Apacz. Nikt dokładnie nie zorientował się, czy wyszli z ulicy, czy też z któregoś domu. Faktem jest, że z miejsca zaatakowali trzech chłopców, siedzących na ławce. Bo byli to rastamani.

Rastaman jest na ogół spokojny, ma romantyczną duszę, kocha ludzi i nie pragnie bijatyki. Nosi małe, ciasno splecione warkoczyki albo po prostu puszcza włosy luzem na ramiona, rzadko je myjąc i czesząc, bo i po co. Ci trzej, ubrani kolorowo jak na rastamanów przystało, siedzieli tak od dłuższego czasu, jeden grał na gitarze, inni podśpiewywali cicho którąś z pogodnych, kołyszących melodii reggae.

Punkom to się nie spodobało. Chcieli na skwerku odtańczyć swój taniec "pogo" z podskakiwaniem i popychaniem, ale nie pragnęli rastamańskiej widowni. Z właściwą im agresją i brutalnością rzucili się na chłopców, zepchnęli ich z ławki, wyrwali i skopali gitarę, nie żałując ciosów właścicielowi. Bili zresztą wszystkich trzech, groźnie pokrzykując. Z otwartych okien ktoś zawołał, aby przestali, ktoś inny zagroził, że zadzwoni po milicję. Reszta gapiów śledziła jednak przebieg wydarzenia z rosnącym zainteresowaniem.

Szczęśny i Połoński szli, skracając sobie drogę do szpitala, w którym leżał Mariusz Będziński, a droga ta prowadziła właśnie przez skwer. Natrafiwszy niespodziewanie na bijatykę - bo w rastamanach zgasła, pod wpływem razów, miłość bliźniego i zabrali się czysto po warszawsku do odpierania ataku - obaj oficerowie zatrzymali się chwilę niezdecydowanie. Nie wiedzieli, o co poszło; trochę wyjaśniał sytuację ubiór i fryzury punków, znanych z agresywności. Jednakże trójka rastamanów nie sprawiała już wrażenia napadniętych, lecz atakujących. Z okien kamienic dolatywały zachęcające okrzyki; darmowe widowisko podnieciło obserwatorów.

- Co robimy? - mruknął Połoński.

- Coś trzeba - zdecydował major. Szybkim krokiem podeszli do stłamszonej siódemki, rozerwali kilka splecionych ciał i odsunęli od siebie.

- Co jest?! - wrzasnął jeden z punków; z nosa lała mu się krew. Rozwścieczony, chwycił Szczęsnego za kark, ale natychmiast zawył z bólu, odleciał na bezpieczną odległość i wylądował pod ławką. Połoński szarpał się chwilę z dwoma innymi, przyłał mimochodem któremuś z rastamanów, a potem dał pokaz dżudo, choć przeszkadzał mu w tym nieodpowiedni strój. Widownia w oknach zastygła w zachwyconym oczekiwaniu na ciąg dalszy.

Punki, całkowicie dezorientowane, podnosiły się kolejno z ziemi, próbując rozszyfrować nowych, a tak mocnych przeciwników. Rastamani, uspokojeni nieco, skupili się pod drzewem, jeden z płaczem oglądał zniszczoną gitarę. Szczęśny, wodząc wzrokiem po twarzach punków, zorientował się, że bynajmniej nie zrezygnowali z ataku. Miał naderwany kołnierz kurtki, był zły i trochę rozśmieszony walką z nastolatami. Powiedział więc ostro: - Milicja. Natychmiast rozejść się. Do domu! Bez radiowozu i paru mundurowych kolegów nie mógł zrobić nic więcej, jak tylko rozpedzić całe towarzystwo. Nie nosił pałki ani gazu, a wyciągnięcie pistoletu byłoby absurdalne.

Czwórka punków stała w milczeniu, patrząc ponuro to na oficerów, to na potulnych teraz rastamanów. Nie chcieli już tańca "pogo", ale nie chcieli też odejść w poczuciu klęski.

- Jazda do domu! No, już! - krzyknął Połoński. Pierwsi usłuchali rastamani. Mieszkali w jednym z bloków, okalających skwer, nie mieli więc daleko. Punki wahały się, coś szepcząc między sobą.

- Raya, Sex-Bomba czy Dezerter? - spytał Szczęsny, patrząc z półuśmiechem na rozczzerwienione twarze chłopaków. Tak się składało, że latem przeczytał trochę o festiwalu w Jarocinie, znał więc nazwy niektórych zespołów. Punkom oczy rozszerzyły się zdumieniem. Potem jeden z nich mruknął:

- Punk-rock. Grupa obojętna. Może być Turbacja Mas. Albo Defekt Mózgu.

Zaczęli mówić jeden przez drugiego, kłócili się, raptem zniknęli ze skweru tak szybko, jak się zjawili.

- No, to by było na dzisiaj - powiedział kapitan. - Chodźmy, bo późno.

Mariusz Będziński nie mógł jeszcze chodzić; rany na udach goiły się z trudem. Siedział na wózku, popychanym rękami, i powoli zmierzał w kierunku swojej sali, bo właśnie zrobiono mu opatrunek. Szczęsny zatrzymał go w korytarzu:

- Niech pan na razie nie wraca do łóżka. Musimy porozmawiać.

- Kim pan jest? - spytał, marszcząc jasne, cienkie brwi.

- Major Szczęsny ze Stołecznego Urzędu. Ze mną jest kapitan Połoński. Podjedziemy - rozejrzał się - o, tam pod okno. Pogadaj z lekarzami - zwrócił się do Połońskiego - niech nam udostępnią jakiś pokój.

Po kilku minutach znaleźli się wszyscy trzej w gabinecie dyrektora, o tej porze go nie było. Będziński spoglądał na nich z ukosa, nie pytał o nic. Milczał. Twarz miał bardzo bladą, wychudzoną, pod oczami głębokie szare smugi. Splótł ręce na kocu, którym się owinął; wydawało się, że drzemie, całkowicie obojętny wobec niespodziewanej wizyty.

- Dlaczego pan nie przyszedł wtedy do Mostowskich? - spytał major. - W ogóle, dlaczego pan się ukrywał?

Mariusz otworzył szeroko oczy, usta mu zadrgały.

- Tak - bąknął niewyraźnie.

- Co tak?

- Tak było. Ukrywałem się.

- Dlaczego?

Westchnął ciężko, opuścił głowę. Nie odpowiedział.

- Przecież jakiś powód musiał być - odezwał się kapitan. - Wystraszył pan się milicji?

- I tak mi nie wierzycie - rzucił gwałtownie, lekki rumieniec wystąpił mu na policzki. - Cokolwiek bym powiedział, nie... Nie warto - dokończył niezręcznie.

Szczęśny przyglądał mu się w zamyśleniu, próbując rozwikłać ukryty sens tych słów. To może być gra - sądził. - Uplłynęło sporo czasu, zdążył się przygotować, obmyśleć wszystko. Chyba że się mylę.

- Dlaczego nie był pan na pogrzebie Adama Grodzkiego? - spytał.

Będziński drgnął, zacisnął palce.

- Przyjechali pana krewni z Poznania. Rozglądali się za panem - bluffował Połoński - pytali Jaworskich i Andrzeja.

- To kłamstwo! Nie mam żadnych krewnych w Poznaniu. Nikt nie mógł o mnie pytać na tym pogrzebie - zaakcentował.

- Wciąż pan pamięta?

Podniósł głowę, spojrzał majorowi prosto w oczy.

- Takich rzeczy się nie zapomina. Przez niego... - wszystko złe przez niego. Do śmierci będę pamiętał. Swojej śmierci. Pan myśli, że ja nie zdaję sobie sprawy, dokąd doszedłem? Kim mogłem być, a kim jestem dzisiaj? Szmata. Wrak. Przez niego!

- De mortuis... - mruknął Połoński.

- Gówno tam! - warknął ze złością. - O takich zmarłych nie da się mówić ani myśleć dobrze. Myślicie, że ja nie chciałem go zabić? Sto razy chciałem. No i ktoś mnie uprzedził. Szkoda, bo mogłem sam. Ja wiem, dlaczego przyszliście. Ale to nie ja zabiłem. Niestety, nie ja.

- Gdzie pan był piątego i szóstego października?

- Nie wiem. To znaczy w dzień byłem w robocie - poprawił się. - U Kwiecińskiego, na Brzeskiej.

- A wieczorem i w nocy?

Wykrzywił usta z pogardą.

- Pewnie chlałem na którejś melinie. Nie pamiętam.

- Gdzie był ten generator?

- Jaki generator? - zdziwił się. - W melinie?

- Nie w melinie. Gdzie pan to zrobił?

Wzruszył ramionami, coś zamruczał.

- Kiedy pan ostatni raz widział Adama Grodzkiego?

- Wtedy.

- Co to znaczy?

- No, wtedy, jak mnie wyrzucił z pracy. Z ministerstwa. Wylał mnie na zbity pysk, jak psa.

- Nie bronił pan się, nie interweniował?

Milczał chwilę, pokręcił głową. Jasne gęste włosy leżały mu na ramionach jak u dziewczyny.

- On miał za sobą wszystko: układy stanowisko, wieloletnią pracę, odznaczenia, ja nie byłem pierwszy, którego Grodzki tak urządził. On się bał tych, którzy byli lepsi od niego, jak tylko się zorientował, to chciał się ich pozbyć. Przesuwał do innego wydziału, przenosił w teren. Albo po prostu wyrzucał pod jakimś tam pozorem. Zawsze wychodziło, że on ma rację. Profesor Łącki próbował wstawić się za mną. Bez skutku. Zresztą mogłem wtedy wrócić na asystenturę, ale już było za późno. Zacząłem pić, no. i tak poszło.

- I od tamtego dnia nie widział pan więcej Grodzkiego?

- Nie. Owszem, z daleka, Na ulicy. Raz, to było wieczorem, zetknęliśmy się twarzą w twarz. Ciemno, pusta uliczka. Gdybym miał przy sobie nóż... - Roześmiał się pogardliwie. - Gdybym miał, to ja, magister prawa, złamałbym ten najważniejszy paragraf kodeksu. Ale nie miałem noża.

* * *

Kazimierz Grodzki z nietajonym wstrętem przyjrzał się wędlinie. W środku zielonkawa, z lepłą skórką, nie nadawała się do jedzenia. Zirytowany zawrócił do sklepu, w którym uczęstowano go kielbasą, w dodatku wycinając ileś tam gramów z kartki.

- Co mi pani dała? - powiedział, rozwijając pakuneczek. - Przecież ta wędlina jest nieświeża.

Ładna twarz Grodzkiego zwykle robiła dodatnie wrażenie na ekspedientkach. Ta jednak była już niemłoda, rozgoryczona na cały świat.

- Widziały gały, co brały! - burknęła i zaczęła załatwiać następną klientkę. Z zaplecza wyszedł

kierownik, wysłuchał oburzonego Kazimierza, powąchał kielbasę i sam wymienił na inną. Dodał jeszcze, że nieświeży towar zawsze może się zdarzyć, trzeba patrzeć, co się kupuje. Grodzki miał na ustach sto kontrargumentów, ale machnął ręką i wyszedł ze sklepu. Na chodniku zetknął się z Lucjanem Jaworskim. Przywitali się, kierownik zaprosił go na kawę do pobliskiej kawiarni. Kazimierz namyślał się chwilę, po czym przyjął zaproszenie. Był ciekaw sytuacji w rodzinie, z którą od pewnego czasu nie utrzymywał kontaktów. Kiedy usiedli, spytał od razu, jak sobie dają radę ze spadkiem.

Lucjan bezradnie wzruszył ramionami.

- Ciężka sprawa - rzekł. - Mnóstwo formalności, a i koszta będą duże. Pan rozumie, podatek.

Byli z Kazimierzem na pan, w gruncie rzeczy mało się znali i nic nie robili, aby to zmienić. Jaworski szanował Adama Grodzkiego, teść imponował mu rozległą wiedzą, stanowiskiem i ogólnym uznaniem. Kazimierza uważał za lekkoducha, tracącego pieniądze na głupstwa, co dla oszczędnego Lucjana było wprost karygodne.

- Andrzej mieszka w willi?

- Tak. - Jaworski zdziwił się, sądził, że Kazimierz powinien o tym wiedzieć. - Nie był pan u niego?

- Nie. Szczerze mówiąc... - urwał, zmarszczył ciemne brwi. Lucjan przyglądał mu się w zadumie.

- Niech pan dokończy - powiedział znaczącym tonem. - Być może obaj myślimy podobnie.

Kazimierz niechętnie potrząsnął głową. Wypił parę łyków kawy, zapalił. Wreszcie odezwał się z wyraźnym smutkiem w głosie:

- Widzi pan, od pewnego czasu coś mnie od tego chłopca odpycha. Nie potrafiłbym już z nim rozmawiać szczerze.

- To tak, jak ja.

- Chciałbym się mylić. Po stokroć chciałbym! Lubiłem go, może nawet tak jakoś po ojcowsku kochałem. Syn mego jedynego brata. Zdolny, wykształcony. I miły. Ale teraz...

Jaworski podrapał się po mocnym, czerwonym karku. Na taką rozmowę czekał od dawna.

- Czy nie uderzyło pana, że Andrzej tak szybko, zachłannie zagarnął dla siebie willę, samochód, nawet nosi ojca zegarek i futrzaną kurtkę? Nie poczekał na rozliczenia spadkowe. Pan się zrzekł, czemu zresztą się dziwię, no, ale to już pańska sprawa. Joanna denerwuje się i martwi. Nic mu jeszcze nie powiedziała; jest taka nerwowa, boi się awantur. Ja nie chcę się wtrącać, chociaż miałbym prawo.

- Tak - odparł Kazimierz z wolna. - Mnie też to razi i martwi. Zwłaszcza że kiedy sobie

przypomnę tamten wieczór piątego października, to nie mogę wymazać z pamięci... nie mogę - umilkł, zagryzł wargi.

- Czego? - spytał Lucjan prędko. - Czego? Co pan wówczas widział? - A nie doczekawszy się odpowiedzi, rzucił wprost: - Jego?

Grodzki nisko opuścił głowę. Ręka, w której trzymał papieros drżała.

- Gdzie? - Lucjan natarczywie domagał się wyjaśnienia.

- Tam. Na Świeradowskiej. Wybiegł z willi. Jechałem samochodem, zobaczyłem go. Gdybym przypuszczał...

- O której godzinie to było?

- Gdzieś koło dwudziestej trzeciej. Wracałem od znajomych i śpieszyłem się, żeby zbyt późno nie dojechać do Smorzewa. Nie chciałem budzić moich gospodarzy.

- Czy Andrzej widział pana? Bo mógł rozpoznać samochód.

- Wątpię. Wartburgów w Warszawie dużo.

Milczeli kilka minut, Lucjan bezmyślnie łamał zapałki, co u niego było jawnym dowodem marnotrawstwa i wskazywało na duże zdenerwowanie. W końcu rzekł cicho:

- No, dobrze. Ale jak on to zrobił? Czym?

- Nie wiem. Sam się zastanawiałem i wydaje mi się, że była tylko jedna możliwość: jakaś nieznana trucizna. Taka, która nie zmienia smaku ani zapachu płynu czy potrawy. Widocznie poszedł do ojca wieczorem, pewnie jedli kolację i wtedy...

Jaworski wzdrygnął się.

- Straszne! Zaraz - coś mu przyszło na myśl - Ale jak go wywiózł za miasto? Chyba nie wsadził go do malucha.

- Adam dał mu kiedyś kluczyki od swego forda. Drugą parę. Pewnie więc w nocy zniósł ciało do garażu. Niech pan pamięta, że to jest willa stojąca osobno, w ogrodzie, a nie blok wielopiętrowy. Garaż ma parterowe, właściwie już podziemne połączenie z mieszkaniem, wejście z holu. A na parterze od czerwca nikt nie mieszkał, tamci państwo wyjechali za granicę.

Lucjana ogarnęło nagle dziwne uczucie. Chciał zapytać, skąd Kazimierz tak dobrze o tym wszystkim wie, ale w porę powściągnął język. Przypomniało mu się bowiem, że Andrzej skłamał w rozmowie z tym jasnowłosym oficerem, zeznał, że piątego był u nich z wizytą, na obiedzie i potem, podczas kiedy w rzeczywistości wcale go nie było. A więc próbował stworzyć sobie alibi na niemal cały poniedziałek. Głupiec, żeby chociaż ich uprzedził. Ciekawe, czy Kazimierz o tym wie? Zapytał go teraz i otrzymał odpowiedź, że tak. I że to tym bardziej wzbudza jego podejrzenia.

- Mówił pan o tym milicji?

- O Andrzeju? - Grodzki potrząsnął głową. - W żadnym wypadku! Oskarżać rodzinę? Rodzonego bratanka? Wykluczone. Zresztą nie mam przecież żadnych dowodów. W razie czego on się wyprze. Adama to i tak nie wskrzesi. Nie. Ja w każdym razie denuncjować go nie będę.

To znaczy chcesz, żebym ja to zrobił - pomyślał Lucjan, trzeźwo oceniając sytuację. - A ja go nie widziałem tamtej nocy. I o żadnej truciznie też nie słyszałem. To prawda, że Adamowi takie zeznanie nic nie pomoże, a naszej rodzinie może sprawić więcej kłopotów i zmartwień, niż to warto. Co mi z tego przyjdzie, że Andrzej pójdzie za kratki? Nic. No owszem, Joasia dostanie wtedy willę i forda. Trzeba się dobrze zastanowić. Bo to jasne, że udział tego chłopaka w spadku odpadnie. Za morderstwo wlepią mu co najmniej piętnastkę albo dwadzieścia pięć. Albo nawet... Przecież to ojcobójca. Ale taki proces zaszarga mi opinię. Szwagier mordercy. Cholera. Tylko szwagier, do rodziny Grodzkich wlałem przypadkiem. Może to wezmą pod uwagę, a może nie. Sąd będzie mnie maglować. Wiedziałem? Może współdziałałem? Nagła krew, lepiej nic nie mówić. Nikomu. Żeby tylko ten się nie wygadał.

Spojrzał na Kazimierza zezem i mruknął:

- Nie mam najmniejszego zamiaru pakować Andrzeja do więzienia. Ja również nie dysponuję żadnymi dowodami. I radziłbym panu nie zastanawiać się już nad tym. Nie mówić zwłaszcza. Czasem jedno nieostrożne słowo może...

- To zbyteczne! - przerwał Kazimierz. - Wyraziłem przecież swój pogląd i nie odstąpię od decyzji. A Joasi i panu szczerze życzę sprawiedliwego podziału spadku. Nie powinniście być tacy ustępliwi., Joasia ma takie samo prawo do willi i samochodu jak Andrzej. A to są grube miliony.

* * *

Szczęśny wszedł do gabinetu szefa, aby zastanowić się, co dalej z Mariuszem Będzińskim. Był przekonany że młody prawnik nie zabił Grodzkiego; wiedział jednak, że takie osobiste przekonanie nie musi być przez zwierzchnika wzięte pod uwagę. Pytanie, jakie usłyszał kiedy wszedł, zdumiało go:

- Masz lusterko?

- Nie. Na co ci lusterko?

Daniłowicz zmieszał się trochę.

- E, nic. Tak sobie tylko.

- Kręcisz - rzekł major surowo.

- Bo moja wnuczka powiedziała mi wczoraj, że jestem podobny do smurfa, a ja przecież nie

mam takiego nosa.

Szczęśny wybuchnął śmiechem. Popatrzał na twarz szefa z jego dużym, mięsistym nosem i szarymi oczami, w których błyskały iskierki rozbawienia, po czym oznajmił stanowczym tonem, że nosowi temu daleko jest jeszcze do smurfowych.

- Słuchaj, co robimy z Będzińskim? - spytał, przechodząc do rzeczowej rozmowy. - Ja nie widzę żadnych zarzutów prócz tego, że nie stawiał się na wezwanie. Szkoda naszego czasu na takie duperele. Powie, że zapomniał albo nie miał czasu. Będzie kręcił, że wcale się nie ukrywał, nic nie wiedział o poszukiwaniach i tak dalej. Poza tym to żaden krewny tamtych Będzińskich. Sprawdziłem przez kolegów z Poznania. Owszem, on do dziś jest cięty na Grodzkiego i wcale mu się nie dziwię. Ale gdyby każdy, kto ma złość na drugiego zaraz zabijał, pół Polski by leżało pokotem.

Daniłowicz potwierdził ruchem głowy.

- Ja też uważam, że możemy już nie zajmować się Mariuszem. Więc co dalej? Coście tam wykombinowali z Bohdanem?

Tak było zawsze. Żeby nie wiem jak ukrywać rozmowy, tajne plany i najróżniejsze wersje, stary nieomylnie wywaha sytuację i zażąda jasnej odpowiedzi. Szczęśny myślał czasem, że pułkownik ma jakiś szósty czy dziesiąty zmysł, osobliwy radar, którym prześwietla ich skotłowane umysły. Westchnął więc , tylko i opowiedział o generatorach.

Daniłowicz słuchał z uwagą, kreślił coś na kartce z kalendarza i nie odzywał się. Major skończył, popatrzał na szefa wyczekująco.

- Całkiem możliwe - rzekł pułkownik. - Ciężka sprawa. I od razu ci mówię: diabelnie trudna do udowodnienia. Zgadza się jednak z tobą i Bohdanem, że nie ma sensu zaczynać od szukania po generatorach, bo się zgubicie. Znajdź motyw. Przenicuj Grodzkich. A przede wszystkim dowiedz się, który z nich na co dzień styka się z urządzeniami technicznymi w jakiejś fabryce czy instytucie.

- Wiem - odparł major. - Każdy z trzech: Kazimierz, Andrzej i Jaworski.

- Poczekaj, jak to: każdy? Przecież Andrzej pracuje w handlu zagranicznym, a Jaworski w domu towarowym "Jantar".

- Zgadza się. Ale Andrzej jako chemik bardzo często kontaktuje się z fabrykami chemicznymi i farmaceutycznymi, a tam są oczywiście generatory. Kazimierz pracuje w Instytucie Fizyko-Weterynaryjnym; dowiadywałem się, mają kilka źródeł mocy. Dokładnie generator elektroniczny, między innymi do przetworników ultradźwiękowych, oraz dwa rezonatory kwarcowe. Wreszcie Jaworski, zanim został kierownikiem "Jantara", pracował na stanowisku szefa służby zaopatrzenia w Fabryce Aparatów Elektronicznych. Nie wiem, czy dotarło do ciebie, że facet ukończył technikum i dobrze się rozeznaje we wszelkich urządzeniach do wytwarzania czynnika energetycznego. Do dziś ma w FAE licznych znajomych, stałą przepustkę i poważanie wśród załogi.

- Takie buty... - zamyślił się Daniłowicz. - W takim razie pozostaje ci tylko jedno: znalezienie

motywu.

- I jeszcze drugie. Dokładne, najbardziej drobiazgowe jak tylko się da, zbadanie alibi wszystkich trzech na noc z piątego na szósty października. To, co dotychczas zrobiliśmy, nic nam nie dało. Jaworski spacerował po mieście, Andrzej rzekomo nie pamięta. Kazimierz, według słów Bronickich, przez cały wieczór i noc przebywał w Smorzewie. Żadnemu z nich nie udowodnię, że było inaczej. Przypominam ci też, że Grodzkiego równie dobrze mógł zabić zupełnie ktoś inny, o kim dotychczas nie wiemy. Nawet gość z zagranicy. Nie mam przecież pewności, że narzędziem zbrodni były infradźwięki. A jeżeli trucizna?

* * *

Inżynier Zbigniew Koczera miał zwyczaj, odkąd znalazł się na zasłużonym wypoczynku, przesiadywać w kawiarni "Bombonierka" na Nowym Mieście, z gazetą i czasem filiżanką kawy, czasem herbaty, zależnie od samopoczucia. Był typem człowieka, który lekarze określają jako pogodowca; czuł się doskonale podczas wyżu barometrycznego, a kiedy nadchodził niż, zdawało mu się, że zaraz umrze. Z natury optymistą, nie przejmował się tym falowaniem swego nastroju, lubił świat i większość ludzi, miał też sporo przyjaciół.

Szczęśny umówił się z inżynierem telefonicznie. Koczera właśnie przeżywał okres suchego wyżu z kilkustopniowym mrozem, zgodził się więc łatwo, a nawet z ochotą, na rozmowę. Ciekawili go osobnicy nieznani, nie zetknął się też nigdy na gruncie towarzyskim z oficerem milicji. Nie wiedział nawet, jak wyglądają, czy chodzą w mundurze, czy można ich rozszyfrować na przykład na ulicy. Nieduży, o rumianej twarzy i wesołych oczach koloru piwa, miał nos zadarty i gęste włosy, mocno posiwiałe.

Major poznał go z opisu mecenasa Wiśniowskiego, toteż bez wahania podszedł do stolika, usiadł z drugiej strony i półgłosem przedstawił się. Nie chciał, wywoływać zainteresowania pozostałych gości.

- Niesłychane! - powiedział Koczera i uśmiechnął się szeroko. - Pan naprawdę jest majorem milicji?

- Nie wyglądam? - Szczęśny był ubawiony.

- Absolutnie nie!

- Nie chodzę z fajką, w czapce i płaszczu w kratkę, tak?

- Wiem! Jak Sherlock Holmes. Panie, co ja się naczytałem kryminałów, kiedy chodziłem do szkoły. Na ławce leżał zeszyt czy podręcznik, a pod ławką trzymałem Conan Doyle'a albo Simenona. Dobre były czasy. - Westchnął, złożył gazetę. - O czym chciał pan porozmawiać?

Kiedy major wyjaśnił, o co mu chodzi, inżynier zadumał się nad wystygłą kawą.

- Widzi pan - zaczął niepewnie - ja strasznie nie lubię źle mówić o drugich. Zwłaszcza o zmarłych. Przez ostatnie dwa lata nie odwiedzałem już Adama. Z wiekiem stawał się coraz trudniejszy w rozmowie. Tracił pamięć, upierał się przy swoim zdaniu, chociaż fakty temu przeczyły. Co tu ukrywać, zrobił się z niego nieznośny facet. Mówiąc szczerze, nigdy nie miał usposobienia jagnięcia, ale dawniej przynajmniej okazywał tolerancję wobec cudzych poglądów i nie próbował za wszelką cenę przeforsować własnych. My, jego ongiś koledzy i przyjaciele, oswoiliśmy się nawet z jego despotyzmem. A w każdym razie tak nam się zdawało. Syn nie wytrzymał, wyniósł się z domu, jak tylko udało mu się zdobyć własną kawalerkę. Córka wyszła za mąż, więc nie była już zależna od ojcowskich pieniędzy i mieszkania. Zresztą - Koczera zamyślił się na chwilę - wie pan, cała ta rodzina jest jakaś dziwna. Adam zapewnił przecież dzieciom wykształcenie, dom, dawał na ubranie i inne wydatki, ale jednocześnie wymagał od nich absolutnego posłuszeństwa, jakiejś takiej koszarowej dyscypliny... Mnie się zdaje, że one go już potem nie kochały. No, bo kto to wytrzyma?

- Kazimierza też pan zna?

- Jego brata? Poznałem go, ale nie u Adama. Ci bracia u siebie nie bywali, wydaje mi się, że się nie znosili. Kazimierz ma inną naturę, jeżeli mogę go oceniać po kilku towarzyskich spotkaniach. Przystojny, kobieciarz, da się lubić. Przeciwnieństwo Adama.

Szczęsnego uderzyło coś w ostatnich zdaniach.

- Powiedział pan, że bracia nie odwiedzali się wzajemnie?

- Nie. Z upływem lat narastała między nimi wzajemna niechęć. Może zadawnione urazy, jeszcze z dzieciństwa. Ich drogi rozeszły się, jak tylko obaj pokończyli studia i zaczęli pracować. Ale wie pan co? - ożywił się nagle. - Najwięcej to panu opowie Brońcia.

- Kto to jest?

Koczera uśmiechnął się.

- Myślałem, że cała Warszawa zna Brońcię - mruknął rozweselony. - Oczywiście, nieprawda. Pani Bronisława Tarska była nieoficjalną, bardzo starannie ukrywaną przyjaciółką Adama. Młodsza od niego o dziesięć lat, dość wysokiej klasy malarka, portrecistka. Dlatego powiedziałem, że Warszawa ją zna. Jej obrazy. Ją jako artystkę. Natomiast o tym, że Adam utrzymywał z nią bardzo bliskie kontakty, wiedziało tak mało osób, że nawet palców jednej ręki będzie za dużo. Poza mną chyba Jasiu Bejor, ale on nie żyje. I może Łacki. Adam nigdy nie zapraszał Brońci wspólnie z innymi gośćmi. Nigdzie razem nie bywali. Nie wiem, czy ona tak zdecydowała, czy on, czy oboje. I wątpię, czy zna ją ktokolwiek z rodziny Grodzkich, mam na myśli jako jego przyjaciółkę. Rozmawiał pan już z Łackim?

- Tak. Nie wspominał o pani Jarskiej.

- Marian jest ogromnie dyskretny. I nieskory do zwierzeń.

Szczęśny skrzywił się lekko.

- Przecież mnie nie chodzi o zwierzenia - zaprotestował. - Ja szukam zabójcy Adama Grodzkiego. Szukam człowieka, który poczuł do niego tak silną nienawiść, że zabił. Nie znam dotąd motywu takiej nienawiści, dlatego staram się poznać osobowość zarówno ofiary, jak potencjalnego mordercy.

Koczera milczał długo, zapatrzył się na widniejący naprzeciwko budynek kina "Wars". Wreszcie odezwał się z namysłem:

- Nie wiem, czy ona będzie chciała z panem rozmawiać. Widziałem ją na pogrzebie, trzymała się z daleka. Ale kiedy już wszyscy odeszli, ja specjalnie zostałem, żeby do niej podejść, chciałem ją podwieźć swoim wozem, wtedy ona uklękła przy grobowcu Grodzkich i długo klęczała nieruchomo. Wyglądała jak posąg. Bałem się, że zasłabnie, więc czekałem jeszcze. Potem wstała i, nie oglądając się, odeszła w głąb cmentarza. Może nie chciała nikogo widzieć, rozmawiać. Dlatego mówię, że być może i teraz z panem nie zechce pomówić. Dziwne... Ona kochała tego despotę, twardego, oschłego, nieznośnego w pozyciu. Naprawdę go kochała. I, być może, tylko ona jedna.

- Spróbuję - rzekł Szczęsny.

Wrócił potem do Urzędu. Połowski ze złością powiadomił go, że Mariusz Będziński próbował wskoczyć na tych pokaleczonych nogach z okna szpitala. Na szczęście któraś z pielęgniarek dostrzegła to w porę i udaremniła samobójczy zamiar.

- Idiota - mruknął Szczęsny. - Ma przecież całe życie przed sobą. Łącki chce mu pomóc. A w ogóle nie o Mariuszu teraz myślę.

ROZDZIAŁ 7

Kapitan Połowski miał służbę tej nocy. Siedział, jak zwykle podczas dyżuru w gabinecie pułkownika, pogrążony w lekturze. Czytywał zawsze zachłannie, z pasją odkrywcy nieznanymi problemami, narodów, krajów. Tym razem zaciekały go wojenne przygody majora Bohdana Tymienieckiego, opisane w książce *Na imię jej było Lily*. Z niechęcią też usłyszał terkot telefonu na biurku.

- Kapitan Połowski? - mówił oficer dyżurny SUSW.

- Ja - bąknął, nie odwracając wzroku od kartki.

"Trzask! Ciężarówka tuż za nami stanęła w ogniu. Zrobiło się zamieszanie..."

- Zgłoszono napad i usiłowanie zabójstwa.

Z westchnieniem odłożył książkę.

- Gdzie?

- Na Bielanach - dyżurny podał adres. - Grodzki Kazimierz.

- Kto?! - Nagle otrzeźwiało. - Grodzki?

- Tak. Jest w domu, czeka na milicję. Kapitan jedzie?

- Oczywiście. Zaraz zejdę. Który wóz?

- Załoga plutonowego Jędrasika. Znajomy?

- Pewnie. Kto by nie znał naszego Jędrasika!

Odłożył słuchawkę, spojrzął na zegarek. Dwudziesta trzecia sześć. Nakręcił numer Szczęsnego. Major chyba nie spał, bo odezwał się natychmiast. Połowski poinformował go w dwóch zdaniach i usłyszał, że ma po niego pojechać, razem udadzą się na Bielany. Jasne - mruknął do siebie. - Niechbym spróbował pojechać sam.

Kiedy zatrzymał radiowóz przed wieżowcem na Stegnach, Szczęsny czekał już na chodniku. Noc była, jak na koniec listopada, ciepła i mglista, po całodziennym deszczu błoto chlupało pod nogami. Major wskoczył do samochodu, pozdrowił załogę.

- Wiesz coś więcej? - spytał Bohdana.

- Nie. W każdym razie żyje, jeżeli sam zgłosił wydarzenie. - Ciekawe, co to za historia. Pamiętasz anonim?

- Owszem. Andrzej też dostał.

- Dzięki Bogu, jeszcze nie zgłosił napadu. Masz papierosa?

Szczęsny podał mu paczkę carmenów. Mijali Żoliborz.

- Kapitan mówił, że pod siódemką? - Jędrasik chciał się upewnić.

- Tak.

- Jesteśmy na miejscu. Łapiduchów nie widać, to chyba gość nie umiera.

Kazimierz Grodzki mieszkał na drugim, ostatnim piętrze. Blok spółdzielczy ciągnął się długim pasmem, łącząc ze sobą poszczególne numery. Całość należała do jakiejś niewielkiej spółdzielni inżynierskiej. Budowali sami tanio i skromnie; chcieli ładnie, ale zrobił się z tego nudny, długi "tasiemiec", przypominający barak. Wnętrza mieszkań przedstawiały się o wiele lepiej.

Na drugim piętrze po prawej stronie drzwi były uchylone. Major zastukał dla formalności, wszedł do przedpokoju. Pierwsze co zobaczył, to zbita szyba we drzwiach do łazienki i szkło na podłodze. Krople krwi na tym szkłe i dalej, na mozaikowej posadzce. Połowski zatrzymał się tu, a Szczęsny zajrzał do pokoju. Dwa przewrócone krzesła, na wpół urwana firanka w oknie, zbita lampa stojąca, na dywanie zwinięta w kłębek kolorowa serweta. Nikogo.

- Panie Grodzki! Jest pan tam? - zawołał, widząc otwarte drzwi do następnego pokoju, chyba sypialni. Było w niej ciemno.

Coś się poruszyło, zaszurały pantofle. Po chwili, chwając się i szukając po drodze oparcia, wysunął się Kazimierz Grodzki. Miał głowę przewiazaną białym ręcznikiem, przebijały spod niego czerwone plamy. Krew była również na rozchełstanej piżamie i na palcach. W jednej ręce trzymał i mocno zaciskał mosiężny świecznik. Na widok major oprzytomniał, odetchnął z ulgą.

- Co się panu stało?

Poczłapał do stołu, usiadł ciężko, odstawił świecznik, którym widocznie chciał się bronić przed napastnikiem.

- Jeżeli pan się obawiał, że przestępca wróci, to trzeba było przede wszystkim zamknąć porządnie drzwi wejściowe - zauważył Połowski.

- Były otwarte? - szepnął inżynier ze zdumieniem. - Przecież ja... byłem pewien, że zamknąłem.

- Co tu zaszło? Proszę opowiedzieć od początku. Czuje się pan dobrze czy wezwać pogotowie?

- Nie. Nie trzeba. Tylko gdyby pan zechciał otworzyć ten barek w regale - pokazał ręką - tam jest koniak. I kieliszki. Proszę mi nalać i samemu się poczęstować.

- Na służbie nie pijemy, ale panu zaraz podam.

Wychyliwszy pod rząd dwie pięćdziesiątki, Grodzki spojrzał przytomniej, twarz mu poróżwiała. Plutonowy Jędrasik, widząc, że sytuacja w miarę wyjaśniona, wycofał się do radiowozu. Nie chciał przeszkadzać w przesłuchaniu.

- To było tak - zaczął Kazimierz. - Nie spałem jeszcze, czytałem w łóżku. Nagle usłyszałem dzwonek do drzwi. Spojrzałem na zegarek; dochodziła dwudziesta druga dwadzieścia. Nie spodziewałem się żadnej wizyty, zwłaszcza o tej porze. No, ale wstałem, wyszedłem do przedpokoju, spytałem: kto tam? Odezwał się Andrzej, mój bratanek. To znaczy wydawało mi się, że to jego głos. Nie zastanawiając się, czy to rzeczywiście on, bo przecież nic nie podejrzewałem, otworzyłem drzwi. Zobaczyłem... właściwie niewiele. Jakiś człowiek zamaskowany, ubrany ciemno, z miejsca uderzył mnie w głowę. Nie na tyle silnie, żebym stracił przytomność. Zrozumiawszy, że to napad, zacząłem się bronić.

- Nie wzywał pan pomocy? Tu obok, w sąsiednim mieszkaniu, mogli usłyszeć.

- Nie ma ich, wyjechali do Zakopanego. Więc chwyciłem tego napastnika za szyję, żeby

wpierw zdebrać mu maskę, zobaczyć, kim jest. W tym momencie przypomniały mi się nasze z panem, majorze, rozmowy o ewentualnej zemście na mojej rodzinie. Był przecież anonim i telefon z groźbami. On albo wtedy wyjął, albo już miał w ręku nóż. Żeby zasłonić serce i brzuch, skurczyłem się, sądziłem, że wówczas uderzenie padnie na rękę. Ale dostałem w głowę - dotknął zakrwawionego ręcznika. - Kopnąłem go z całej siły. Wrzasnął coś, popchnął mnie do pokoju. Przewrócił krzesła, potem lampę. Tarzaliśmy się po podłodze, już nawet nie wiem, który z nas zerwał brzeg firanki, pewnie on, żeby okrócić mi ręce i uniemożliwić obronę. Ale w pewnej chwili usłyszałem, drzwi na klatkę schodową musiały być otwarte, że ktoś idzie na pierwsze piętro. Krzyknąłem z całych sił. Wtedy on nagle mnie puścił, wyskoczył z mieszkania. Sąsiad z pierwszego chyba go nie widział, bo by do mnie przyszedł. Może napastnik przyczaił się, odczekał, aż tamten wejdzie do siebie, i dopiero potem uciekł. Zatrzasnąłem drzwi wejściowe... albo mi się zdawało, że to zrobiłem, już nie wiem, kręciło mi się w głowie. Poszedłem do łazienki, trochę obmyłem się z krwi, przewiązałem ręcznikiem, bo nie mam w domu bandaża. Chciałem uporządkować pokój, ale nie miałem siły. Zadzwoiłem do was i położyłem się - wskazał na drzwi sypialni. - Bałem się, że zemdleję, a jestem sam w mieszkaniu.

- Dlaczego nie zadzwonił pan również do Pogotowia Ratunkowego? - spytał Szczęsny, który słuchał bardzo uważnie, nie spuszczając wzroku z twarzy Grodzkiego.

- Nie wiem.

- Czy nie zauważył pan żadnych szczegółów w ubraniu albo w wyglądzie tego napastnika? Maska nie zsunęła mu się z twarzy w trakcie tego szamotania?

- Nie. Była ciemna i mocno obciśnięta jak pończocha.

- A oczy? Włosy?

Kazimierz przymknął powieki, zamyślił się.

- Włosy też ciemne. Oczy takie jakieś... złe. Błyszczące.

- Mówił coś?

- Nic.

- Czy z wyglądu tych włosów i oczu, a także ze wzrostu, sylwetki mógł rzeczywiście przypominać Andrzeja Grodzkiego?

- Tak. Ale ja wcale nie sugeruję! - zamachał gwałtownie rękami. - Andrzej nigdy by tego nie zrobił.

- Zejdę piętro niżej - mruknął Połoński i wyszedł. Szczęsny dogonił go na schodach.

- Jedź natychmiast na Świeradowską - szepnął. - I zorientuj się, czy to było możliwe. Potem tu wróc, będę czekał. Przemagluję trochę - wzruszył ramionami - tę ofiarę z ręcznikiem na głowie.

W pokoju Grodzki siedział nieruchomo i wpatrywał się w okno, jakby tamtędy mógł przedostać się kolejny napastnik. Major, mając przy sobie zabrany z domu mikroskopijny aparat fotograficzny, szybko wykonał kilka zdjęć z delikwentem włącznie i rozejrzał się za telefonem. Znalazł go w sypialni; połączył się z oficerem dyżurnym SUSW, poprosił o przysłanie ekipy technicznej. Trzeba było wykonać dokładne oględziny, zebrać odciski linii papilarnych, ślady krwi i inne.

- Więc głos napastnika, kiedy znajdował się na klatce schodowej, wydał się panu głosem bratanka? - spytał, siadając na jedynym nie przewróconym krześle. Ekipa powinna zastać wszystko tak, jak było kiedy wszedł.

- Tak mi się wydawało - odparł Grodzki. - Ale na pewno się myliłem. To nie mógł być Andrzej!

- Dlaczego?

Szczęśny zadał to pytanie jakby mimochodem, ot, tak po prostu.

- No, jak to? - oburzył się Kazimierz. - Mój rodzony bratanek miałby na mnie napadać? Przecież ten osobnik chciał mnie zabić!

- Powiedział: to ja, Andrzej? Tam, na schodach? Czy inaczej?

- Powiedział... zaraz, niech, sobie przypomnę - dotknął ręką czoła, syknął z bólu. - Chyba tak. A może tylko: Andrzej. W każdym razie wymienił takie imię.

- Zna pan innych Andrzejów?

- Nie znam żadnego Andrzeja, który chciałby mnie zabić!

- Czy na pańskich drzwiach zewnętrznych jest wizytówka?

- Tak. I światło na klatce pali się całą noc. Więc napastnik nie mógł się pomylić.

Ręcznik na głowie Grodzkiego nagle rozwiązał się i zsunął na oparcie krzesła. Kazimierz zbladł, chwycił zakrwawione płótno, ale major go uprzedził.

- Pomogę panu - rzekł spokojnie. Przewiązał głowę trochę mocniej, zapiął agrafką, która zwisała z jednego końca ręcznika. - Radziłbym jednak rano udać się do lekarza, żeby nie wdało się zakażenie.

Dostrzegł przez okno nysę, zatrzymującą się przed domem. Po chwili do mieszkania weszli technicy służby śledczej i fotograf. Szczęśny odszedł na bok i czekał na powrót Połńskiego. Był ciekaw, jaką wiadomość przywiezie. Kapitan zjawił się dopiero po godzinie, kiedy nysa już odjechała, uwożąc mnóstwo ważnych materiałów. Pożegnawszy Grodzkiego, major wsiadł do radiowożu.

- Nie było go w willi - rzekł Połński. - Dzwoniłem, stukałem, umarły by się zbudził. Żadnej

reakcji, ciemno w oknach, tylko pies okropnie ujadł.

- Słuchaj, a jeżeli...

- Wiem - przerwał kapitan. - Zostawiłem tam kaprala z naszej załogi. Mam nadzieję, że nie zmarznie, i nie przeoczy Grodzkiego.

- Na pewno nie - wtrącił Jędrasik. - Staszek nie takie rzeczy potrafi. Ktokolwiek wejdzie do willi, on go zapamięta.

- Może tam pojedziemy? - zaproponował kapitan. - Trzy minuty po drugiej, chyba już wrócił pomieszkać. Jutro dzień roboczy, w "Interfoxie" zaczynają pracę o ósmej. Za granicę nie wyjechał, to wiemy przecież, bo go mamy w dyskretnej obserwacji.

- Dlaczego dyskretnej? - zaciekawiał się plutonowy.

- Bo nikt nie chodzi za nim krok w krok, tylko z daleka. Zresztą szkoda - zamyślił się. - Jedziemy? - spojrzał na Szczęsnego.

- Można.

- Nad czym się zastanawiasz?

- Nad tą głową. To z całą pewnością nie była rana, zadana nożem. Przyjrzałem się, kiedy mu ręcznik spadł.

- Więc co? Jakaś rurka czy łom?

- Nie wiem. Najchętniej bym tam wrócił i obejrzał sobie dokładnie ściany, meble... No, nic. Będziemy mieli jutro mnóstwo zdjęć, to się zobaczy. Ja w każdym razie sfotografowałem każdy ślad krwi, gdziekolwiek był.

Połoński zastanawiał się chwilę.

- Myślisz, że to nie był napad? - spytał w końcu z niedowierzaniem. - Sam to wszystko urządził? Ale po jaką cholere?!

- Wyraźnie nam zasugerował swego bratanka w postaci napastnika. Jak odjechałeś, uciałem sobie z nim krótką, ale treściwą pogawędkę.

- Ty nie masz do Kazimierza zaufania.

Szczęśny wzruszył ramionami. Nie odpowiedział. Jędrasik wolno jechał po Świeradowskiej, wypatrując kaprala. Wpierw jednak dostrzegli granatowego forda-sierre, który stał przed otwartym i oświetlonym garażem. W środku ktoś krzątał się, coś ustawiał.

- Jest - mruknął Połoński. Do radiowozu zbliżył się kapral, usiadł obok kierowcy.

- Nie znam Grodzkiego - powiedział cicho - ale to jest jego wóz. Przyjechał dwie, trzy minuty temu.

- W porządku. Zaraz się przekonamy.

Podeszli do furtki; była otwarta. Nie śpiesząc się, przecięli mały trawnik i zatrzymali się przy samochodzie. W tej chwili Andrzej Grodzki wysunął się z garażu. Na widok obu oficerów znieruchomiał; pusty kanister wysunął mu się z ręki i z głośnym brzękiem potoczył po ścieżce. W willi zaczął gwałtownie ujadać pies.

- Dobry wieczór - powiedział major. - Przepraszam, że niepokoimy pana o tej porze, ale jak widać pan też nie śpi.

- O co chodzi? - Ton był nieprzyjazny, chłodny.

Grodzki nie ruszył się z miejsca, nie podniósł nawet kanistra.

- Do przyścia zmusiło nas wydarzenie w mieszkaniu pańskiego stryja, Kazimierza. - Szczęsny mówił spokojnie, tymczasem kapitan oglądał wóz. - Wezwał nas, gdyż napadnięto na niego i pobito.

- A co ja mam z tym wspólnego? - W głosie można było usłyszeć źle hamowaną agresję. Ani cienia współczucia czy choćby zainteresowania dla krewnego.

- Tego jeszcze nie wiemy - odparł Szczęsny.

- Jak pan to rozumie?!

- Stryj pański zeznał, że napastnik ukryty na klatce schodowej przedstawił mu się imieniem Andrzej. Dlatego otworzył drzwi.

- Andrzejów jak psów!

- Możliwe. Proszę jednak o konkretną odpowiedź: czy dokonał pan napadu i pobicia Kazimierza Grodzkiego?... Czekam.

- Gównu się dowiesz - warknął.

Ręką wymacał za sobą łyżkę do opon i teraz wymachiwał nią groźnie. W tym momencie major zorientował się, że Andrzej jest kompletnie pijany, chociaż trzyma się prosto i nie bełkoce. Połoński podszedł blisko, szybkim ruchem wyrwał mu łyżkę z ręki, odrzucił w głąb garażu. Plutonowy Jędrasik, który obserwował tę scenę z radiowozu, wyskoczył, dołączył do oficerów.

- Jest pan pod wpływem alkoholu i siada pan za kierownicą?

- Nikogo nie przejechałem. Robię, co mi się podoba gliny nie będą mi dyktować! - wrzasnął nagle, aż pies w mieszkaniu zaskowyczał i umilkł, przerażony.

- Będzie pan przytomnie odpowiadać, czy pojedziemy do “złołka”? - Szczęśny tracił cierpliwość, ale jeszcze się hamował.

- A jedź sobie gdzie chcesz! Beze mnie.

- Zabierzcie go - powiedział major. Kiwnął ręką na kaprala. - I do dzielnicy. Tam sobie porozmawiamy.

Grodzki szarpał się, wymyślał, pluł im na rękawy, kiedy ciągnęli go do samochodu. Posadzony z tyłu obok rosnącego, silnego kaprala raptem osłabł, zwinął się w kłębek i usnął. Szczęśny zamknął forda w garażu, potem furtkę. Wcisnęli się do radiowozu, pojechali na Mokotów. W dzielnicowym urzędzie major zrelacjonował wydarzenie, ale nie wspominał o napadzie. Zobaczyli, że pijany, zatrzymali, naubliżał im, więc należy się noc w “dołku”. Rano, powiedział major, przyjadę i sam przesłucham.

Obudzony z ciężkiego snu punktualnie o ósmej rano Andrzej Grodzki - zdumiony i wstrząśnięty pobytem w areszcie śledczym - oświadczył Szczęśnemu, że absolutnie nic a nic nie pamięta z ubiegłej nocy. Owszem, pamięta dzień. Aż do późnego popołudnia pracował w “Interfoxie”, obiad zjadł w domu, przespał się, potem wyszedł z psem na spacer. Pod wieczór pojechał do... i tutaj utknął. Wie, że się z kimś umówił, że byli w jednym z nocnych lokali w śródmieściu. Jedli, wypili chyba po pół litra na głowę, siedziały z nimi jakieś dziewczyny.

I to było wszystko, co zapamiętał. Nie ma pojęcia, jakim cudem znalazł się w areszcie. Zaniepokoił się nagle i spytał:

- Przejechałem kogoś?

- Nie - odparł major. - W tym lokalu był pan ze stryjem Kazimierzem?

Andrzej uśmiechnął się. Na terenie milicyjnym nie okazywał swej wyższości ani arogancji, widać czuł się niepewnie.

- Na pewno nie!

- O której wrócił pan do domu?

- A byłem w nocy w domu? Myślałem, że mnie tu przywieźliście z ulicy. Gdzie ja zostawiłem samochód? - przestraszył się na dobre.

- Wóz jest w garażu. Mówiłem już panu, że mieliśmy z panem niemiłą scysję, tak to nazwijmy, przy willi. Zachował pan się bardzo brzydko.

- Przykro mi - udał zawstydzenie, ziewnął. - Pies! - krzyknął nagle. - Muszę go wyprowadzić, nakarmić. Panie majorze, to jest chow-chow, najdroższy pies w Warszawie, a pewnie i w Polsce. Muszę zaraz tam jechać.

- Pozbył pan się tego białego pudelka?

- To nie był mój - mruknął zażenowany.

Puścili go. Szczęsny nie powiedział Grodzkiemu, że kiedy go w nocy przywieźli do dzielnicowego urzędu, obejrzeliby starannie wraz z lekarzem ręce, nogi, głowę i te wszystkie miejsca, które według zeznań Kazimierza napastnik powinien mieć posiniaczone, zadrapane, w ogóle uszkodzone. Andrzej nie miał jednak nawet najmniejszego rozdarcia ubrania, żadnych śladów tarzania się po podłodze, szarpania, uderzeń.

- Mógł się przebrać - zauważył Daniłowicz. - Ale siniaki czy zadrapania tak nagle nie znikną. Bohdan - zwrócił się do Połońskiego - trzeba będzie poszukać w nocnych lokalach, przepytac kelnerów i szatniarzy. Z pewnością znajdą się jakieś echa tej libacji.

* * *

Na liście pozostał już tylko profesor Eugeniusz Zagorzewski, z którym - wedle rady mecenasa Wiśniowskiego - należało umówić się wyłącznie poza domem ze względu na gadatliwość małżonki. Szczęsny postanowił jednak zaglądać do kawiarni "U Ekonomistów" bez umawiania. - Właściwie, sądził, Zagorzewski nie jest już potrzebny do wytworzenia sobie opinii o Adamie Grodzkim. I jeżeli tam poszedł, to dlatego, aby później nie robić sobie wyrzutów, że czegoś w śledztwie zaniedbał. Jak zwykle przed podobnymi rozmowami postarał się o zdjęcie profesora, obejrzał i zapamiętał.

W poniedziałek Zagorzewskiego w kawiarni nie było; we wtorek major zastał go przy stoliku z gazetą w ręku. Podszedł, półgłosem przedstawił się i poprosił o dziesięć minut rozmowy.

- Tylko dziesięć? - Profesor popatrzał na niego, zsuwając okulary na czubek nosa. - Minimalista, co?

- Jak czasem - odparł Szczęsny.

- Dobrze, że pan przyszedł, przynajmniej przez te dziesięć minut nie będę się nudził. W gazetach w kółko to samo. Niech pan siada.

Major nie wystąpił w obronie gazet. Zajął miejsce, zamówił kawę i zadał pytanie, które od pewnego czasu stawiał różnym osobom. Zagorzewski w pierw parę minut milczał. Miał twarz nerwową, bladą, okoloną posiwiałą brodą. Okrągłe jak u ptaka oczy przymykał co chwila, może pomagało mu to w myśleniu. W końcu rzekł w zadumie:

- To była świetlana postać! - Znów pomilczał i powtórzył: - Świetlana.

Z takim określeniem Adama Grodzkiego Szczęsny jeszcze się nie spotkał. Czekał więc, zaciekawiony, co dalej usłyszy.

- Wie pan co? Pewien znany badacz ludzkich zachowań nazwiskiem Irenaus Eibl-Eibesfeldt w swoich rozważaniach nad człowiekiem: dobry jest czy zły, napisał tak, cytuję dosłownie: "Skłonność do nietolerancji i agresji jest nam niewątpliwie wrodzona, ale nie mamy na czole kainowego piętna.

Nie sposób na serio bronić tezy o człowieku - istocie morderczej. Badania wskazują raczej na to, że z natury jesteśmy także istotami bardzo przyjaznymi.”* [I. Eibl-Eibesfeldt, *Miłość i nienawiść*, Warszawa 1987.] Niech pan zwróci uwagę na słowo: także. Eibesfeldt nie był entuzjastą ludzkości.

- A pan mimo to uważa Grodzkiego za świetlaną postać?

- Tak. W morzu agresywnych, pełnych nietolerancji osobników zdarzył się taki fenomen. Pewnie dlatego musiał zginąć marnie. Bo, jak słyszałem, śmierć miał okrutną.

- Podobno jednak nie mamy na czole “kainowego piętna”. Więc dlaczego Adam zginął?

Zagorzewski odłożył na stolik okulary, przetarł załzawione oczy.

- Pan jest tego pewien? - spytał cichym głosem.

- Że zginął? Żartuję pan. Oglądałem jego zwłoki.

- Nie. Ja o tym piętnie kainowym.

Szczęśny nagle drgnął. Czyżby stary, profesor miał na myśli...?

- Szukam motywu - powiedział. - Jak dotąd nie pasuje mi nikt albo wszyscy.

- Motywy zbrodni bywają na ogół pospolite. Żądza zysku, zemsta, zazdrość. Ale zdarzają się też motywy ukryte tak głęboko, że prawie nie sposób je dostrzec. Mimo to niesłychanie silnie działają na człowieka, który wtedy staje się właśnie istotą morderczą. Niech pan weźmie pod uwagę jego syna, córkę i zięcia. Ileż teraz zyskali! Czy pan wie, że pierwsza żona Jaworskiego zginęła w wypadku samochodowym?

- Tak, wiem. Ale to był rzeczywiście wypadek. Co prawda, sprawca do tej pory nieznan: uciekł z miejsca zabójstwa.

- Właśnie. - Zagorzewski przybrał kpiący wyraz twarzy. - Właśnie - powtórzył.

- Co pan ma na myśli?

- Różnie o tym mówiono.

- Na przykład?

- Co pan o niej wie?

- Raczej niewiele. Podobno chorowała przed wypadkiem.

- Była nieuleczalnie chora. Stwardnienie rozsiane. Miała upośledzenie mowy i niedowład nóg, chociaż okresami mogła się poruszać. Wie pan, w tej chorobie są nawroty i polepszenia. W dniu kiedy zdobyła się na wysiłek i wyszła na ulicę, uderzył ją samochód. Zginęła na miejscu. Stało się to

na małej, ciasnej uliczce z zakazem wjazdu.

- Tak. Badaliśmy swego czasu tę sprawę. - Szczęsny raptem uczuł się winny jakiegoś zaniedbania, choć, to nie on, nie jego wydział prowadził śledztwo. - Niestety, nikt nie był świadkiem wypadku.

- Owszem.

- Kto?!

- Ja, we własnej osobie. Stojąc w otwartym oknie na drugim piętrze w mieszkaniu moich znajomych. Pamiętam dokładnie, że wydarzyło się to dwanaście minut po siódmej wieczór. Lipiec, cztery lata temu.

Major przez chwilę nie mógł się zdobyć na odpowiedź. Wreszcie rzekł z mieszaniną żalu i gniewu:

- Dlaczego pan się nie zgłosił do milicji? Był przecież komunikat. Dlaczego pan tak długo milczał?

- Bo nie potrafię do dziś dać uczciwego... powiedzmy sobie, określenia, kim był kierowca. Mogę się tylko domyślać. A to za mało.

Wyjął chusteczkę, przecierał starannie okulary. Wyraz twarzy miał nieodgadniony.

- Jednakże - zaczął Szczęsny, ale tamten mu przerwał.

- W dwa miesiące po wypadku Jaworski zaręczył się, a w pół roku później ożenił z Joanną Grodzką. Miejmy nadzieję, że nie dosięgnie jej żadna nieuleczalna choroba.

- Czy pan zdaje sobie sprawę, że to już jest oskarżenie?

- Oczywiście. Ale pan tego nie notuje i nie nagrywa. Jakby do czego doszło, ja się wyprę.

- A ci znajomi, u których pan wtedy był? Nie widzieli wypadku?

- Nie. Rznęli w brydza i nic poza szlemikiem ich nie obchodziło. Bo mój partner właśnie rozgrywał szlemika w piki. I zrobił. Szuka pan motywu zbrodni? Niech pan tego nie komplikuje, najczęściej motyw jest brutalny i prosty.

- Dobrze. Powołam się na Ernesta Hilgarda. Pisząc o frustracji stwierdza, iż wywołuje ona często agresję przeciwko osobie lub rzeczy, która jest jej źródłem. Kiedy taka osoba stanowi przeszkodę, jakby zaporę w osiągnięciu pożądanego celu, wówczas zazwyczaj reakcją na to jest agresja. Im większe napięcie nerwowe, tym silniejsze stany wściekłości, które prowadzą do niszczenia. Streściłem panu, profesorze, pewien istotny fragment książki. Czy to właśnie miał pan na myśli, mówiąc o wypadku?

- Trafił pan w dziesiątkę. Przeszkodę usunięto, można było osiągnąć cel. - Uśmiechnął się ironicznie. - Ale, majorze, niech pan nie zapominał o piętnie kainowym. Czy jednak nie za dużo od pana wymagam?

Szczęśny wyszedł z kawiarni, pełen sprzecznych myśli i wahań. Był zdumiony, że Zagorzewski, od którego nie spodziewał już się usłyszeć żadnych rewelacji, tak zdecydowanie ostro, tak jakby przygotowany do tej rozmowy, oczekujący jej - oskarżył zarówno Jaworskiego, jak i Kazimierza. Bo że tego ostatniego miał na myśli, mówiąc o "piętnie kainowym", Szczęśny nie wątpił. Dziwiła go również znajomość faktów z życia Jaworskiego. Ale przypomniało mu się, że Lucjan był swego czasu szefem służby zaopatrzenia w Fabryce Aparatów Elektronicznych, a Zagorzewski pracował tam jako starszy ekonomista. Prawdopodobnie znali się nie tylko z zakładu, ale i prywatnie. Ciekawe, czy śmierć pani Jaworskiej przecięła tę znajomość?

* * *

Malarka, portrecistka, znana ze swoich obrazów. Tak Koczera określił "Brońcę", dodając, iż była długoletnią przyjaciółką Adama Grodzkiego. W drodze na Żoliborz, gdzie mieszkała Bronisława Tarska, major zastanawiał się, czy o tej przyjaźni zechce z nim pomówić. Temat był delikatny; artystka mogła po prostu odmówić wszelkich wyjaśnień, a zwłaszcza dotyczących jej spraw osobistych. Mimo to postanowił spróbować.

Wybrał wczesne popołudnie, dzień pogodny z odrobiną śniegu. Nie chciał zapowiadać wizyty telefonicznie; w ostateczności zapyta o cenę portretu, powiedzmy, dla milicyjnego kasyna. Czyj miał to być portret, nie zastanawiał się, coś tam wymyśli. Nie uda się - trudno.

Tarska zajmowała piętro małej, starej willi w ogrodzie. Dwa pokoje; jeden miał oszklony dach, biegnący ukosem, to była jej pracownia. Mieszkała sama. Jak twierdził Koczera, owdowiała czy też rozeszła się z mężem, w każdym razie jej stan cywilny dał się określić jako "wolny". Miała pięćdziesiąt dwa lata.

Przez uchyloną furtkę wszedł do ogrodu, nacisnął biały kontakt przy tabliczce z nazwiskiem: "B. Tarska". Czekał chwilę, potem usłyszał brzęczyk, pchnął drzwi. Na dole był mikroskopijny hol i schody w górę. Białe, wysłane czerwonym chodnikiem; spodobały mu się.

Stała na podeście, patrząc na idącego ze zdziwieniem: średniego wzrostu, szczupłą, zupełnie siwa, ubrana w chałat malarski, poplamiony farbami.

- Pan do mnie? - Głos miała niski, matowy.

- Tak, jeżeli można. - Zatrzymał się dwa kroki przed nią. - Major Szczęśny ze stołecznej milicji.

Nie dodał nic więcej, czekał, trochę zaniepokojony; bardzo chciał, aby rozmawiała z nim. Otwarcie, bez artystycznej fantazji.

- Czy to coś ważnego? - spytała. Niecierpliwym ruchem ręki poprawiła pasek fartucha, odgarnęła włosy z czoła.

- Dla mnie tak - odparł. - Możemy porozmawiać?

- Proszę. - Poszła naprzód, prowadząc go do pracowni. Wskazała krzesło, sama zajęła drugie. Przypatrywała mu się, przechyliwszy głowę na bok jak zmęczony ptak. Wyglądała na chorą albo bardzo smutną. "Ona jedna go kochała" - powiedział Koczera. Jeżeli to prawda, nie przestała myśleć o tej śmierci. Postanowił być z nią szczerzy; no, do pewnego stopnia. .

- Pan przyszedł w związku ze śmiercią Adama Grodzkiego. - Zabrzmiało to nie jak pytanie, lecz stwierdzenie.

- Tak.

- I czego pan ode mnie oczekuje?

Nie zapytała, skąd w ogóle wie o ich znajomości, pominęła to i był jej wdzięczny. Znalazłby się w niezręcznej sytuacji.

- Proszę mi powiedzieć, jakim był człowiekiem? Szukam tego, kto go zabił, ale do dziś nie wiem, kim on jest. Próbuję znaleźć motyw zbrodni. Sądzę, że wówczas znajdę zabójcę.

Milczała kilka minut, zapatrzona gdzieś w ogród za oknem. Miała twarz już niemłodą, trochę pobrużdżoną, z pięknymi, podłużnymi oczami ciemnobłękitnego koloru. W tej twarzy teraz było cierpienie.

- Pan mu życia nie wróci - mruknęła, nawijając na palec pasek fartucha.

- Ale być może ustrzegę kogoś innego!

- Nie.

Zdziwił się. Sądził, że go nie zrozumiała, więc wyjaśnił:

- Jeżeli znajdę zabójcę, wówczas nie popełni on następnej zbrodni.

Potrząsnęła głową przecząco.

- On tego drugi raz nie zrobi.

Patrzył na nią, zdezorientowany.

- Pani wie, kto to jest?

Wstała, podeszła do okna. Nagle spytała zwyczajnie, jak gościa:

- Napije się pan kawy?

- Proszę. - Pomyślał, że to ułatwi dalszą rozmowę. Nie wiedział, co myśleć o Bronisławie Tarskiej, ale nie wydało mu się możliwe, żeby naprawdę znała zabójcę.

Przyniosła na chińskiej lakowej tacy dwie filiżanki z parującą kawą i cukiernicę. Postawiła na stoliku obok krzeseł. Zauważyła, że przygląda się sztalugom z nie dokończonym portretem. Uśmiechnęła się.

- Poznał pan?

- Oczywiście! Rysy twarzy są wyraźne. Świetnie uchwyciła pani podobieństwo. Czy sam pozował?

- Tak. Nie mogłam już dokończyć. Nie zdążyłam. Teraz tylko z fotografii...

Piła kawę drobnymi łykami, z widoczną przyjemnością. Potem zapalili. Szczęśny nie ponowił pytania; czekał na odpowiedź.

- Znałam Adama od dwudziestu sześciu lat. Były paroletnie przerwy w tej znajomości, ale zawsze w końcu wracaliśmy do siebie. Nie zabrałam go Marii... Kiedy żyła, widywaliśmy się tylko raz w miesiącu, i to krótko. Tu, u mnie. On Marię bardzo kochał i nigdy by od niej nie odszedł. No, później zmarła. Ogromnie to przeżywał. Przyszedł tutaj dopiero po roku. Od tego czasu nie rozstawaliśmy się, chociaż mieszkaliśmy osobno. Byłam mu potrzebna. - Umilkła, zaciągnęła się papierosem. - Kochałam go.

- A on? - W następnej sekundzie zląkł się tego pytania, mogło jej wydać się natarczywe.

- On - zawahała się - kochał tylko Marię. Zawsze tylko ją.

- Więc jaki był naprawdę? Słyszałem o nim rzeczy tak różne, wykluczające się wzajemnie...

- Nie - zaprzeczyła. - Nie był dwulicowy. Ludzie go źle oceniali. Ja go znałam do głębi, mówił mi wszystko. I dlatego wiem - znów jakby zatrzymała się przed następnym słowem. Powtórzyła: - Dlatego wiem... Bo go znałam.

To było niejasne. Musiał pytać, aby rozmowa nie zeszła na boczne tory.

- Więc jaki był Adam Grodzki?

- Miał brata, Kazimierza. Młodszy o trzynaście lat. Śliczne dziecko, później wyjątkowo przystojny młody człowiek. Uśmiech pełen uroku, wesoły, garnący się do ludzi i przez nich lubiany, nawet rozpieszczany. Dziecko szczęścia. Adam... cóż, nie miał nawet w połowie tej urody ani żadnego wdzięku. Mruk, zamknięty w sobie, szorstki w sposobie bycia. Wybitnie zdolny, pracowity. I dumny, przeraźliwie dumny. Te cechy odstręczały od niego. Powiedział mi kiedyś: jak patrzę w lustro, mam ochotę się zabić. A koło niego rósł piękny, uśmiechnięty chłopak. I chyba wtedy zrodził się i narastał z czasem, długo zresztą ukrywany, konflikt pomiędzy braćmi. Kaziowi wszystko było

wolno, wszystko mu wybaczano, rodzice świata za nim nie widzieli. Adam nieraz słyszał, jak goście czy krewni szeptali za jego plecami: "Patrzcie, jacy ci bracia niepodobni. Jeden brzydał, ponurak, a drugi takie cudo!" Ta straszliwa duma kazała Adamowi wybić się na studiach, uzyskiwać stopniowo coraz wyższe stanowiska i opinię świetnego organizatora. Liczono się z nim, podziwiano. Ale nienawiść do brata pozostała, jakby na stałe umocniła się w nim, zadomowiła. Nie pracowali razem, ukończyli inne studia, więc na dobrą sprawę mogli się w ogóle nie widywać. I tak też było. Ale czas nie był w stanie załagodzić konfliktu.

Umilkła, zapaliła nowego papierosa.

- Z tego, co pani mówi, można by sądzić, że to Kazimierz został zabity, a przecież stało się inaczej.

- Bo Adam zaczął się mścić. Za wszystkie dawne lata, za gorzkie dzieciństwo, za to że wówczas ciągle był na drugim planie.

- W jaki sposób mścił się?

- Nie wiem. Tego mi nie powiedział. To już pan musi sam...

Major wyszedł od pani Tarskiej głęboko zamyślony. Przypomniały mu się słowa profesora Zagorzewskiego o "piętnie kainowym". A więc podejrzania tych dwojga szły tym samym tropem. Coś musiało się stać - coś tak strasznego, że Kazimierz nie zawahał się przed zbrodnią. Ale co?! Czym Adam mógł zagrozić człowiekowi o pełnej stabilizacji życiowej, niezależnemu i nie związanemu z nim niczym poza pokrewieństwem. Co takiego zrobił, powiedział, napisał...

A jeżeli Kazimierz rzeczywiście zabił, jak mu to udowodnić?

* * *

Szczęśny stwierdził, że od dawna nie miał do czynienia ze śledztwem, które wymagało tak skomplikowanych i delikatnych metod działania. Rozmowy z przyjaciółmi i znajomymi Adama Grodzkiego stopniowo odkrywały jego złożoną, kontrowersyjną naturę. Od świetlanej postaci - do zimnego egocentryka i despoty. Każdą opinię należało dokładnie przemyśleć, przenicować, mając ciągle na uwadze, że żadna już nie da się sprawdzić, bo przedmiot tych ocen nie żyje. Każdy punkt widzenia trzeba było przyjąć na wiarę, a w pracy milicji nie jest to metoda właściwa.

Rozmowę z Tarską powtórzył w gabinecie swego szefa, kiedy siedzieli we trójkę z Połońskim, zastanawiając się nad dalszym kierunkiem śledztwa.

- Gdyby Adam zabił brata, mielibyśmy motyw z głowy - powiedział kapitan. - Nienawidził go, przetrwało to lata, w końcu nie wytrzymał i usunął z pola widzenia. Taka zapiekła nienawiść pasuje do egocentryka i despoty. Ale Kazimierz? Spokojny, łagodny, kobieciarz... Jak to ona powiedziała? Dziecko szczęścia. Tacy raczej nie mordują.

- Do mnie bardziej przemawia nie motyw kainowy, lecz chęć zysku - zauważył Daniłowicz. - Wiemy już dzisiaj, że zarówno córka, jak i syn Adama nie kochali ojca, raczej odwrotnie. Przejmują po nim niebagatelny majątek. Mógł i Jaworski maczać w tym palce.

- Ta, nazwałbym ją: luka w życiorysie pomiędzy zakończeniem narady w "Jantarze" i powrotem do domu, została wyjaśniona - rzekł Szczęsny. - Maglowałem Lucjana tak długo, aż się złamał i wyznał z płaczem, że ma pewną brunetkę przy kości, którą wówczas odwiedził w wiadomym celu. Za nic nie przyznałby się do tego Joannie, bo to pozorne chuchro jest diabelnie zjadliwe i zazdrosne. Zresztą w obecnej sytuacji nie dziwię się, że Jaworski obawia się skandalu i rozwodu. Zbyt wiele, by stracił.

- Sprawdziłeś brunetkę?

- Jasne. Wcale się nie wypierała. Nocne kochanków rozmowy... powiedzmy, że to były rozmowy, potwierdziły dwie inne osoby, które zdążyły już poznać i przyzwyczać się do wizyt Lucjana u pani Agaty.

- Agata ma na imię? - roześmiał się Połoński.

- Tak. Ale nie pisze kryminałów. Więc co postanawiamy?

Radzili długo sprzeczać się, pili kawę, wypalili kilka paczek papierosów. Przejrzeli po raz dziesiąty wszystkie notatki, dokumenty, protokoły zeznań i sekcji zwłok, meldunki inspektorów i dzielnicowych. Krótco przed północą zdecydowali się na propozycję Szczęsnego.

- Najpierw trzeba te dwie panie znaleźć - rzekł pułkownik. - Mogły wyjść drugi raz za mąż, wyprowadzić się z Warszawy, nawet wyjechać za granicę. Mimo to sądzę, że kierunek śledztwa będzie słuszny.

- Założmy, że już ustaliliśmy, gdzie są. Pomijam zagranicę, bo tu mielibyśmy trudności. Więc założmy, że obie są w kraju. Wyszły za mąż albo nie, nazywają się tak a tak, mieszkają znajdziemy adresy - mówił Połoński. - Co wtedy? Jak do nich podejść, żeby chciały ujawnić szczegóły tak bardzo osobiste?

- Rozprawy rozwodowe są niemal zawsze przy drzwiach zamkniętych. Postaraj się o dostęp do akt. Skontaktuj się z adwokatami. Wiem, że to cholernie delikatne, więc podchodź, w białych rękawiczkach - uśmiechnął się do kapitana,, który miał nieszczęśliwą minę. - Jak znajdziecie jakieś konkrety, podzielcie się zadaniami. Jeden do jednej babki, drugi do drugiej. Nie zazdroszczę wam tej roboty.

- Szkoda, że, nie możemy wprost zapytać Kazimierza o jego sprawy rozwodowe. To by nam ułatwiło.

- W żadnym wypadku! - Szczęsny najeżył się. - Nie ułatwiło, ale zepsuło wszystko. Spróbuję co najwyżej porozmawiać jeszcze z Tarską. Może wie, może pamięta, jak to było. Chciałbym na przykład dowiedzieć się, czy Adam był na ślubie brata. Na obu ślubach.

- Chodzi ci o to, czy w ogóle miał jakiś kontakt z jego żonami?
- Tak, ale nie w sensie uwodzenia tych pań. Tutaj pewnie nie miałyby szans.
- Skąd wiesz? - zaproponował Daniłowicz. - Z kobietami nigdy nie wiadomo.
- Racja - przyświadczył kapitan sennie.

Oczy mu się zamykały, co widząc szef wygnał obu do domów i sam poszedł w ich ślady.

Szczęśny usnął niemal natychmiast, ale obudził się nad ranem i leżał, wytrzęziony natłokiem myśli. Oczami wyobraźni widział sceny ślubu Kazimierza, potem salę sądową, znowu ślub i znowu rozwód... A przecież męża tak przystojnego, miłego i na dobrym stanowisku nie rzuca się z lada przyczyny. Nie sądził też, że Kazimierz wybierał sobie na żony kobiety byle jakie, niewiele warte.

Nie. To musiało być inaczej. One odeszły, bo dowiedziały się o czymś strasznym, czego nie mogły znieść, a o czym nie wiedziały przed wyjściem za mąż. Ktoś im powiedział tę straszną rzecz. Ktoś, komu uwierzyły, człowiek poważny, godny zaufania. Adam? Co takiego mógł o Kazimierzu powiedzieć obu kobietom, że odeszły? Przecież mąż to nie był ktoś nieznany, nie zjawił się nagle w Warszawie, nie przybył z zagranicy. Miał tu brata, rodzinę, znajomych, kolegów z pracy.

A jednak obie postąpiły tak samo. Ciekawe, czy się znały. Ciekawe, czy każdej powiedziano to samo. Może spotkały się wówczas... jeżeli zrobił to Adam, musiał poinformować o tym brata, inaczej nie byłaby to zemsta. Tak musiało być. Chyba że to Kazimierz porzucił obie swoje żony. Ale dlaczego?

ROZDZIAŁ 8

Weszła do tego mieszkania jak zwykle o jedenastej rano w każdy czwartek, niosąc z pewnym wysiłkiem torbę ze sprawunkami. Zaśnieżone botki otupała na słomiance i ustawiły w przedpokoju pod lustrem. Włożyła ciepłe pantofle, starannie powiesiła wyliniałe futerko, szalik i czapkę ze sztucznego tworzywa. Nałożyła kolorowy fartuch i już była gotowa do sprzątnia.

Przedtem jednak należało zaparzyć sobie kawę. Emilia raz na zawsze pozwoliła jej korzystać ze swoich zapasów, z kawą włącznie. W kredensie leżał też czasami kawałek placka z kruszonką albo sernik. Emilia nie była skąpa, co to to nie! Płaciła za sprzątnie trzy tysiące na miesiąc, zdarzało się też, że dorzuciła jakiś prezent. Zwykle był to wprawdzie nie nowy, ale jeszcze dobry sweter, szalik albo coś z pościeli.

- Niech ciocia weźmie - mówiła - przyda się.

Żeby choć raz uśmiechnęła się, ucałowała jak siostrzenica, nie jak obca! Pani Batorska od kilku lat czekała na ten uśmiech, na parę serdecznych słów. Ale za każdym razem widziała tylko kamienną, surową twarz kobiety czterdziestoletniej, wysokiej, z jasnymi włosami, zwiniętymi w ogromny węzeł na karku. Byłaby to twarz ładna, gdyby nie ta surowość, kompletny brak kobiecej zalotności i wdzięku. Lód w oczach.

Westchnęła, sięgając po kawałek sernika; woda na kawę zagotowała się. Ciasto było trochę zeschnięte, widać leżało kilka dni. Jadła jednak ze smakiem, a kawę zrobiła świetną. Rozglądała się po kuchni, ale myśli jej biegły wciąż tym samym torem. Od pewnego czasu nie mogła uporać się z nimi, wracały i natrętnie domagały się wyjaśnienia. Oczywiście można było po prostu zapytać Emilię, lecz pani Batorskiej nie przeszłoby to przez usta.

Znała fakty. Niespełna dwa lata małżeństwa, nagłe wystąpienie Emilii o rozwód, były mąż pozostawił jej mieszkanie, sam wyprowadził się gdzieś na Żoliborz czy Bielany. Eks-żona wróciła wówczas do swojej pracy zawodowej, którą rzuciła po wyjściu za mąż. Prócz tego zajęła się działalnością społeczną, prowadziła jakieś kursy, wygłaszała referaty, cały dzień nie było jej w domu. Batorska zorientowała się, że wszystko to ma tylko jeden cel: zagłuszyć w sobie gorycz rozstania z mężem, zapomnieć jak najszybciej i na zawsze.

Ba! Ale dlaczego się rozeszli? Była na ich ślubie, pomagała w urządzaniu weselnego przyjęcia, przyjrzała się więc dobrze panu młodemu. Przystojny był ten Kazimierz, elegancki, grzeczny i uśmiechnięty. I nie żaden pędziwiatr, ale człowiek na stanowisku, inżynier. Tak się to pięknie zaczynało - i co? Dwa lata przeszły, nagle wszystko się rozpadło. Emilia nawet jego nazwiska nie chciała nosić, tylko wróciła do panińskiego: Jarczewska.

Pani Batorska zamyśliła się głęboko. Wciąż ten rozwód nie dawał jej spokoju. Owszem, była z natury ciekawa ludzkich spraw, lubiła się też nimi podzielić z kimś znajomym czy sąsiadką. Może dlatego Emilia tak starannie kryła przed nią swoje dramaty osobiste i unikała rozmów na ten temat. Trochę to Batorską irytowało. Bała się jednak wszelkich zadrażnień, bo mogły zakończyć się rozstaniem z siostrzenicą, a tego by mocno żałowała. Bała się - ale zagadka ciągle korciła. Zwłaszcza ostatnio, kiedy to poznała przypadkiem w sklepie tę jakże sympatyczną, młodziutką panią Małgorzatę. Były już dwa razy w kinie i raz w kawiarni, tamta płaciła, bo Batorska żałowała pieniędzy. Rozmawiały, rozmawiały, usta im się nie zamykały przez kilka godzin. Batorska strasznie lubiła ploteczki, czego nie wiedziała to zmyśliła i zawsze temat się znalazł. Małgorzata, raz - tak mimochodem, z dobrego serca - spytała, dlaczego ci Grodzczy się rozeszli. No i Batorska nie potrafiła wiarygodnie odpowiedzieć. Bardzo ją to martwiło.

Zjadła sernik, wypila kawę i z odkurzaczem przeszła do pokoju. Były dwa, sypialny i coś w rodzaju saloniku czy gabinetu do pracy. Zaczęła od tego drugiego. Uchyliła trochę okno, bo w powietrzu unosił się zapach tytoniu (Emilia dużo paliła), kiedy nagle stanęła jak wryta. Oczy jej pobiegły w stronę biurka i zatrzymały się na pęku kluczyków uwieszonych przy środkowej szufladzie.

Tak jeszcze nigdy nie było. Emilia zamykała biurko, nic na ten temat nie mówiła, ale klucze zabierała ze sobą do pracy. Dlaczego więc dziś... Zapomniała, śpieszyła się? To nie było podobne do tej opanowanej, zimnej kobiety. Wzrok pani Batorskiej machinalnie obiegł całe biurko i zatrzymał się na kalendarzu. Przeczytała na głos: Środa. Na miły Bóg, jak to możliwe?! To dziś nie czwartek?

Począpiała szybko do przedpokoju, wyjęła z torby gazetę, kupioną rano w kiosku. Dzisiejszą gazetę. Tu też środa! Jak mogła tak się pomylić?

Zaraz przyszła refleksja: dlatego te klucze. Emilia nie spodziewała się jej we środę, widać zamyka biurko tylko w czwartki. Boi się, żeby ciotka czegoś tam nie znalazła, nie przeczytała. Ba! Ale czego?

Batorska poczuła ogromną ochotę właśnie na znalezienie i przeczytanie. Nie wiedziała, co ukryto w biurku przed jej oczami, ale już sam ten fakt nastroił ją bojowo, jakże to - ona, bliska krewna, rodzona siostra matki Emilii nie ma prawa poznać jakiejś tajemnicy rodzinnej? Powiedziała sobie od razu, że ma nie tylko prawo, ale i obowiązek, bo może trzeba tę dziewczynę (choć ma lat czterdzieści) ustrzec od nierozważnych kroków, może od nieszczęścia.

- Tak - mruknęła. - Trzeba. Ale ostrożnie.

Ostry dźwięk telefonu wzbudził w niej popłoch. Nie podeszła jednak, nie odebrała. Pewnie Emilia przypomniała sobie o kluczach i dzwoni na wszelki wypadek. A niech dzwoni. - Mnie tu nie ma - rzuciła w stronę aparatu, który jakby usłyszał i umilkł. Należało jednak się pośpieszyć, bo może przyjechać. No cóż, w razie czego powie, że pomyliła dni, zgodnie z prawdą. Pani Batorska nigdy nie kłamała; miała tylko bujną fantazję, a to przecież nie to samo.

Włożyła rękawiczki (czyta się te kryminały!) i otworzyła środkową szufladę. Jakieś maszynopisy, kwity, stare kalendarzyki. Nic ciekawego. Otworzyła prawą. Papier listowy, papier do maszyny, kalka, spinacze. Pakiet listów - poznała pismo swej zmarłej siostry. To ładnie, że córka przechowuje pamiątki. Teraz lewa szuflada. Coś leżało głęboko wsunięte, w grubej brązowej kopercie. Wyjęła ją, wyrzuciła zawartość na biurko. - Matko rodzona! - jęknęła ze zgrozą. Poczerwieniała ze wstydu i nieposkromionej ciekawości, której nie była w stanie opanować. Przypatrywała się zachłannie kolorowym zdjęciom, twarz ją paliła jak w gorączce. To była czysta pornografia, nigdy z czymś takim nie miała do czynienia, a gdzieżby! Trochę się obejrzało w kinie, a ostatnio nawet w telewizji późnym wieczorem. Tak, ale tam byli aktorzy, obcy ludzie, a tu... - Ależ to świntuch! - wykrzyknęła, rozpoznając na zdjęciach twarz Kazimierza, byłego męża Emilii. - I z kim on tak?

Kobiety na fotografiach wyglądały na prostytutki, choć tak naprawdę to pani Batorska prostytutek nie widywała i nie wiedziała, czym się różnią na oko od innych kobiet. Z pewnością jednak... bo te pozy, te spojrzenia, brak wszelkiej odzieży, nie, to nie mogły być panie z towarzystwa. Że też pozwoliły się fotografować! Bezwstydne. Skąd Emilia dostała te kompromitujące zdjęcia? Kto jej przysłał? Po co przechowuje? Na odwrocie nie było żadnego napisu ani daty. Na kopercie też nie.

Przysiadła na fotelu, bo z wrażenia zrobiło jej się słabo. I kiedy tak patrzyła, nagle pomyślała niespodziewanie, że to był rzeczywisty powód rozwodu, a nie rzekome "nieprzystosowanie się wzajemne, niezgodność charakterów", jak mówili podobno oboje na rozprawie. A więc tak wyglądała prawda. Ktoś dał lub przysłał Emilii te ohydne zdjęcia. Batorska знаła swą siostrzenicę na tyle dobrze, że mogła stanowczo stwierdzić, iż Emilia nigdy nie wybaczyła mężowi. Inna kobieta może tak, Emilia nie. Zbyt dumna ambitna i zazdrosna. Obejrzała, przemyślała i - do sądu.

Zerknęła na ścienny zegar, porwała się z miejsca. Zgarnęła zdjęcia, włożyła do koperty i do szuflady, pozamykała. Kluczyki w środkowej, fotel wsunąć głębiej. Podniosła odkurzacza i wycofała się do kuchni. Nie może pozostać ślad po jej obecności w tę nieprzewidzianą środę. Kubek po kawie umyty, wytarty i do kredensu. Sernik... e, może nie pozna, że kawałek odkrajany. Taki mały, na dwa palce. Zanim wyszła, obejrzała jeszcze kuchnię, przedpokój i salonik, poprawiła przekrzywiony dywanik. Okno! Skoczyła do pokoju, zamknęła okno, zasunęła firankę.

O mały włos, a byłby dramat. Z uchem przyłożonym do drzwi wyjściowych poczekała, aż schodami przejdzie któryś z sąsiadów; nikt nie powinien jej tu zobaczyć. Potem z torbą, pełną nie wypakowanych sprawunków szła ulicą, zerkając na prawo i lewo, czy nie dojrzy gdzieś Emilii, bo może po te klucze...

Wsiadając do autobusu pomyślała radośnie, że dziś po południu będzie miała co do opowiadania tej sympatycznej Małgosi, z którą umówiła się w kawiarni.

* * *

- Przyniosła zdjęcia?

Sierżant sztabowy Małgorzata uśmiechnęła się.

- Zdaje się, że bardzo chciała, ale strach przed siostrzenicą przeważał. Opisała jednak dokładnie, co było na każdym. To sprytna kobieta i dociekliwa. Chyba ma rację, że to był właściwy powód rozvodu Grodzkich.

Major Szczęsny też skłaniał się do takiego wniosku. Przyjrzał się dyskretnie Emilii Jarczewskiej w jej biurze, na ulicy i podczas jednego z zebrań społecznego towarzystwa czegoś tam, na którym wygłosiła referat. Przyjrzał się tej surowej, bladej twarzy, ożywionej tylko w trakcie wykładu. Zrozumiał wówczas, że Emilia - chociaż było to przed ośmiu laty z górą - nie zapomniała ani Kazimierza, ani bolesnego rozczarowania. Nie była typem kobiety łagodnej, która umiałaby darować. I nie potrafiła żyć dalej z człowiekiem, który tak bardzo ją upokorzył.

No, dobrze. Ale kto wykonał zdjęcia? I kto je dostarczył pani Grodzkiej? Na to pytanie sierżant Małgorzata nie była w stanie odpowiedzieć bo nie wiedziała tego jej informatorka, gadatliwa plotkara Batorska.

Szczęsny uzyskał już wiadomość, że Adam był na ślubie brata i na przyjęciu weselnym, zresztą bardzo skromnym. Poznał więc szwagierkę, mógł się zorientować jak zareaguje na tak jaskrawy dowód zdrady małżeńskiej. Wiele spraw pozostawało jednak nie wyjaśnionych, wręcz bardzo trudnych do wytłumaczenia. W każdym razie o rozwód wystąpiła Emilia. Na rozprawie ani razu nie padły słowa: zdjęcia czy zdrada. Banalne sformułowanie o niezgodności charakterów, podtrzymywane przez obie strony, musiało sędziemu wystarczyć.

Czy Kazimierz próbował jakoś sklecić, utrzymać swoje małżeństwo? Chyba nie, skoro ożenił

się powtórnie, kiedy minęły dwa lata. Jak dotychczas jednak Szczęsnemu nie udało się odnaleźć tej drugiej żony. Wprawdzie rozwód przeprowadzany był również w Warszawie i, co ciekawe, z tych samych przyczyn niezgodności charakterów - za ledwie po półtorarocznym małżeństwie. Ale na tym trop się urywał. Młoda, bo wówczas dwudziestoosmioletnia Dorota wyjechała ze stolicy, nie podając nikomu adresu. Zatarła za sobą wszystkie ślady, jakby w obawie, że eksmałżonek zechce do niej wrócić. Połowski, który próbował w tej sprawie zdobyć konkretne informacje, dowiedział się, że podczas rozprawy Dorota była nie tylko zdenerwowana, ale po prostu przestraszona, unikała kontaktów z Kazimierzem, nie przyjęła nawet podawanej ręki i odmówiła propozycji podwiezienia samochodem.

- Jakby był zadzumiony - powiedział kapitan ze zdziwieniem. - A przecież nie miał nawet kataru.

- Musiał jej dobrze zaleźć za skórę - stwierdził Szczęsny. - Ale wówczas... - Zamyślił się. Nie otrzyma jasnej odpowiedzi na wszystkie pytania, zanim nie dowie się, jaka jest Dorota, jaki ma charakter, usposobienie, poglądy na życie. Podobno ładna, drobna blondynka o szarych oczach. Tylko że to jeszcze nic nie mówi o charakterze. Wiedzieli, że i ona powróciła do panińskiego nazwiska: Dębińska, mogła jednak powtórnie wyjść za mąż. Nawet za Murzyna i wyjechać z nim do Afryki. Trzeba więc było szukać, a to wymagało czasu.

Któregoś dnia Połowski przyszedł do Urzędu z informacją, która mogła choć trochę ułatwić poszukiwania.

- Ma to być babka wygadana, szczerza i taka, co żadnego sekretu nie utrzyma dłużej niż tydzień. Natrafiłem na jej koleżankę szkolną. Wprawdzie sporo lat już upłynęło od siedzenia w jednej ławce, ale dziewczyna twierdzi, że Dorota nie mogła wiele się zmienić. Naiwna, ufająca wszystkim dookoła, taka była. Szkoda, że koleżanka nie ma pojęcia, gdzie mieszka i z kim. Sądzi jednak, że nie jest to typ, który by żył samotnie i cierpiał za miliony.

- Za jakie miliony? - mruknął Szczęsny. Słuchał jednym uchem, natomiast dwojgiem oczu przyglądał się małej, amatorskiej fotografii.

- Co tam masz? - zaciekawiał się kapitan, trochę urażony, że jego rewelacje zostały przyjęte bez entuzjazmu.

Major bez słowa podsunął mu zdjęcie. Widniała na nim twarz młodej kobiety o jasnych włosach, opadających gęstymi lokami na ramiona. Rysy były niewyraźne, papier blady i w jednym miejscu zgnieciony, tym niemniej bez większego ryzyka można było określić: ładna, miła.

- Kto to jest?

- Poszukiwana Dorota.

- Coś podobnego! Skąd wiesz? Gdzieś to zdobył?

Szczęsny popatrzał na kolegę, mrużąc swe wąskie czarne oczy. Była w nich odrobina, ale tylko

odrobina wyższości.

- Ma się te chody i układy - odparł.

Oberwał w ucho, oddał w nos, przemawiali tak do siebie, aż Daniłowicz wyjrzał z gabinetu i przywołał ich do porządku. Kapitan domagał się jednak zadośćuczynienia w postaci dużej kawy, więc Szczęsny powędrował do sekretarki, coś jej tam poszeptał, poczarował i wrócił z pełnym termosem.

- A teraz mów! - zażądał jeszcze nie całkiem udobruchany kolega.

- Był ślub - zaczął Szczęsny takim tonem, jakby mówił na przykład: "Ogary poszły w las". - Za Kazimierza Grodzkiego wychodziła śliczna jasnowłosa, pełna wdzięku motylka, lat dwadzieścia kilka...

- Rymuje się - przerwał Bohdan.

Pułkownik machnął ręką, żeby nie przeszkadzał.

- ... kilka - ciągnął major, nie zważając na te wstawki - panna Dorota Dębińska, córka właściciela trzech szklarni w pobliżu Warszawy. Ślub w odróżnieniu od poprzedniego, który ongiś zawierał Kazimierz, odbył się w stolicy niezwykle uroczyście. Wesele w jednej z sal "Victorii" trwało okrągłą dobę, lał się szampan, panna młoda miała na sobie suknię specjalnie szytą w najdroższym zakładzie krawieckim Warszawy, pan młody był we fraku. W odróżnieniu od setek, a może tysięcy innych panów młodych, na nim frak leżał doskonale. Nawiasem mówiąc, odzienie to zafundował teść, jak również czarne lakierki, bo Kazimierz poprzedni ślub brał w ciemnym ubraniu i czarnych wprawdzie, lecz zwykłych półbutach.

- A co jedli na weselu? - zainteresował się kapitan Kręglewski, który wszedł na początku opowiadania i został, bo było ciekawe.

- Tego ci już nie powiem, ale kosztowało majątek. Kiedy goście tańczyli, bawili się i mało kto zważał na innych, znalazł się tam skromny, cichy fotoreporter z... mniejsza z tym, pewnej gazety, obiecałem, że nie powiem. Wykonał ukradkiem mnóstwo zdjęć. Dlatego ukradkiem, że zarówno rodzice Doroty, jak i Kazimierz z jakichś tam przyczyn nie życzyli sobie obecności prasy na weselu. Mieli swojego fotografa w rodzinie. Więc ten fotoreporter, uczciwie nie tknąwszy nawet szampana, po zrobieniu zdjęć ulotnił się. Potem w domu zastanawiał się, co z tym właściwie zrobić, bo w gazecie zamieścić nie mógł. Ślub był imprezą całkowicie prywatną, nie żenił się żaden prominent ani słynny aktor czy sportowiec. W końcu schował zdjęcia gdzieś tam i zapomniał o nich. Aż przypomniał sobie w rozmowie ze mną dziś rano. To był zresztą przypadek, a, jak wiemy, przypadki to połowa milicyjnej roboty.

- No, no! - zaoponował pułkownik dla zasady.

- Fotoreporter poświęcił prawie dwie godziny na przeszukanie swojego archiwum, w czym nie mogłem mu pomóc, gdyż nie wiedziałem, jak Dorota wyglądała. No, potem on wygrzebał jakąś

kopertę, ale okazało się, że z kilkunastu fotografii została tylko jedna, nie ma pojęcia dlaczego. Na tej jednej Dorota stoi obok grubej pani w sukni błyszczącej od dżetów i czegoś tam jeszcze, co się świeci. Pani mnie nie obchodziła, osoby na zdjęciu miały małe twarze, ale zaprzyjaźniony fotoreporter zrobił powiększenie główki Doroty. Nie bardzo mu to wyszło, dlatego, jak widzicie, rysy są niewyraźne, ale da się rozszyfrować. Wiemy teraz mniej więcej, jak dziewczyna wygląda. Nie wiemy, gdzie jest i jak się obecnie nazywa. Ale fotoreporter słyszał, bo dziennikarze słyszą nawet jak trawa rośnie, że w rok po rozwodzie wydała się za współwłaściciela firmy polonijnej, zresztą Polaka, i podobno mieszka w Poznaniu.

- To już coś - Połowski odetchnął z ulgą. - Nie masz tam przypadkiem zaprzyjaźnionego dziennikarza?

- Nie. Ale mamy naszych dzielnych, mądrych kolegów po fachu, którzy z pewnością zechcą nam pomóc. Zresztą pojedę do Poznania - dodał już całkiem serio.

Wieczorem Szczęsny i Połowski siedzieli w mieszkaniu majora na Stegnach i grali - wstyd przyznać! w domino. Sądzieli, że to pomaga w myśleniu o czym innym i w rozmowie na zupełnie oddzielny temat. Szczęsny rozważał taką możliwość: Adam Grodzki z zemsty nad bratem, przesłał lub pokazał Emilii pornograficzne zdjęcia, czym wywołał u niej szok, zakończony rozwodem. I był to pierwszy akt zemsty. Następnie w podobny sposób doprowadził do rozejścia się Kazimierza z Dorotą. Kazimierz musiał o jego machinacjach wiedzieć. Czy Adam na tym zakończył? A może było jeszcze coś innego, coś, co Kazimierza doprowadziło do ostateczności, a wtedy zabił? Połowski sądził, że tak. Wysunął sugestię, że trzeba by poszukać w instytucie, gdzie Kazimierz pracuje, może tam coś zaszło. Szczęsny zgodził się z nim. Musieli przy tym zachować wyjątkową ostrożność.

* * *

Szczęsny jednak do Poznania nie pojechał. Któregoś dnia koledzy z tamtejszej jednostki przysłali teleks: "Dorota Strzembosz z domu Dębińska mąż Jan Waclaw mieszkają obecnie w Warszawie stop adres znajdziecie sami stop pozdrowienia". Nie było to sformułowanie urzędowe, lecz prywatna wiadomość dla Szczęsnego i innych.

Strzembosza Jana Waclawa znaleźli bez trudu w książce telefonicznej. Okazało się, że kupił rok temu duży segment w dwurodzinnym domu na Mokotowie. W ostatnich latach pojawiło się tam, jak grzyby po deszczu, mnóstwo takich domów z mikroskopijnymi ogródkami, garażem i podłączeniem do elektrociepłowni. Koszt domku rósł w tempie o wiele szybszym niż budowa, gdyż inflacja przeganiała murarzy. Wszyscy w kraju narzekali na kryzys, mimo to nowe domki mnożyły się niczym króliki, a w każdym garażu nocował jeżeli nie wóz zagraniczny, to co najmniej duży fiat. Właściciele mówili, że jak tak dalej pójdzie, trzeba będzie wszystko sprzedać i iść z torbami. Jednakże stopniowo zamiast fiata pojawiała się volvo lub mercedes, w mieszkaniu cieszył oczy magnetowid za pięćset dolarów, kolorowy telewizor fisher za osiemset pięćdziesiąt... mój Boże, chyba jednak nie było tak źle.

Ustaliwszy, gdzie mieszkają Strzemboszowie, Szczęsny tym razem nie poprosił o pomoc

sierżanta sztabowego Małgorzaty. Trzeba było wprawdzie zapoznać się z rozkładem zajęć Jana Wacława i jego małżonki. Dorota nie pracowała; zajmowała się domem, a przede wszystkim potomkiem płci męskiej, który przyszedł na świat latem i można już było z nim się porozumiewać. Pomoc domowa w postaci studentki, wydziału prawa dochodziła dwa razy w tygodniu, piętnaście tysięcy, wyżywienie, bez prania pieluch. Dorota, nauczona doświadczeniem - studentka była szóstą z kolei - sądziła, że tym razem pomoc pobędzie u nich chociażby dwa miesiące. Nie lubiła w takim tempie poznawać i odzwyczajając się od ludzi. Studentka skrytykowała obrazy i dywan w sypialni, natomiast podobały jej się niektóre kasety video, zwłaszcza o treści erotycznej. Cytowała wówczas "Ars amandi" Owidiusza i czuła się "wewnętrznie wyemigrowana". Dorota nie rozumiała tego określenia, ale zgadzała się na każde, byleby tylko nie musiała znowu szukać następnej studentki.

Szczęśny długo zastanawiał się nad pretekstem do rozmowy z panią Strzembosz. Nie chciał, nawet nie miał prawa pytać wprost, dlaczego rozeszła się z Grodzkim, gdyż nie tylko byłoby to nietaktem, ale mogła pokazać mu drzwi. Pretekst znalazł się sam i znowu pomógł znajomy fotoreporter.

- Dam ci to jedyne zdjęcie, jakie mi zostało z ich wesela - powiedział. - Nie mów, skąd masz. Wymyśl coś i nawiąż rozmowę.

W ten sposób pewnego przedpołudnia major zadzwonił do furtki mieszkania państwa Strzemboszów. Wiedział, że tego dnia studentka nie przychodzi, a Jan Wacław jest w pracy. Brzęczyk u furtki był dowodem, że Dorota gotowa jest przyjąć gościa, choć nie był zapowiedziany ani w ogóle znany. Wszedł do holu i stanął oko w oko z kobietą drobną, jasnowłosą, o ładnej, trochę zdziwionej twarzy. Miała na sobie wąskie, obcisłe spodnie w drobną kratkę, błękitny golf bardzo luźny i długi, trochę biżuterii na rękach. Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, a potem spytała:

- Czy pan nie pomylił drzwi? Albo domu?

W jej głosie była iskierka rozbawienia. Potrząsnęła grzywą miękkich, puszystych włosów. Na twarzy nie znalazł śladu gniewu lub irytacji. Może się nudziła i wizyta nieznanego, przystojnego mężczyzny wydała jej się ciekawą rozrywką.

- Pani Dorota Strzembosz? - Chciał się upewnić, mogła mieć siostrę bliźniaczkę.

- Tak

- Major Szczęśny - nie wymienił instytucji. - Teraz widzę, że jednak miałem rację - uśmiechnął się.

- W czym?

Zamiast odpowiedzieć wyjął z kieszeni zdjęcie.

- Poznaje pani?

Wzięła fotografię z jego ręki, podniosła do oczu; miała chyba trochę krótki wzrok. Przez

chwilę przyglądała się z wyraźnym zdumieniem.

- Skąd pan to ma?

- Czy możemy usiąść na chwilę?

- Oczywiście! Przepraszam, proszę tędy - poszła przodem; usiedli w pokoju, który mógł być gabinetem jej męża. Stały tam duże, głębokie fotele z zielonej skóry, owalny stół z mosiężnymi okuciami, szafy pełne książek, wisiało też kilka obrazów. Pod jedną ze ścian, znajdowało się wielkie, masywne biurko; z boku na małym stoliczku maszyna do pisania.

- Czego pan się napije? Whisky, koniak, piwo?

- Jeżeli nie sprawi to pani różnicy, kawy.

- Zaraz przyniosę. Ale nie powiedział pan, skąd zdjęcie? - Zatrzymała się na progu, niepewna i jakby zasmucona.

- Wszystko wyjaśnię.

Po kilku minutach postawiła na stole śliczne drezdnie filizanki z kawą, otworzyła ozdobną kasetę z kilkoma gatunkami zagranicznych papierosów. Wciąż jednak była zakłopotana. Mieszając cukier w kawie patrzyła na Szczęsnego spod długich ciemnych rzęs, trochę za mocno pociągniętych tuszem.

- Widzi pani - zaczął, uśmiechając się życzliwie - tak się złożyło, że ktoś z moich znajomych miał u siebie to zdjęcie. Zainteresowałem się nim, bo rzadko się spotyka tak ładne twarze kobiece. Pytałem, kim jest nieznajoma pani. Odparł, że dokładnie nie wie, ale prawdopodobnie, a chodziło mi oczywiście o młodą kobietę, bo na zdjęciu są dwie, pani Dorota Grodzka.

- Jak ten znajomy się nazywa? - przerwała spiesźnie.

- O, to jest dziennikarz z popołudniówki. Z pewnością pani go nie zna. Fotografie wykonał jego kolega, który przebywał służbowo w hotelu "Victoria" tamtego dnia. Miał przy sobie aparat, obsługiwał zupełnie inną imprezę i zdjęcie zrobił trochę dla żartu, ot, tak mimochodem. Jak pani widzi, nie ma w tej historii nic tajemniczego. Natomiast dla mnie - znów się uśmiechnął - najtrudniejsze było odnalezienie pani.

Milczała chwilę, patrząc wciąż na niego badawczo.

- Szukał pan mnie tylko po to, aby wręczyć zdjęcie?

W jej głosie usłyszał powątpiewanie. Nie była tak naiwna, jak myślał. Sięgnęła po papierosa, podał ogień.

- Nie - odparł, stawiając wszystko na jedną kartę. - Nie tylko.

- Więc dlaczego? Zaraz - przypomniała sobie - pan powiedział: major Szczęsny. Pan jest w wojsku?

- Nie. W milicji.

- Teraz rozumiem. Pan przyszedł w związku ze śmiercią Adama - szepnęła. - Mam rację?

- Owszem. Czy jednak zechce pani ze mną porozmawiać?

Być może sprawiła to uroda Szczęsnego, a może wrodzona umiejętność dogadywania się z kobietami. Było coś w jego twarzy, zwłaszcza w czarnych wąskich oczach, co budziło sympatię.

Dorota bezradnie rozłożyła ręce.

- Przecież ja nic na ten temat nie wiem. Bardzo mi żal Adama. Czy wiadomo już, jak to się stało?

- Mniej więcej. Lubiła go pani?

- Tak - ożywiła się, uśmiechnęła. - Był brzydki, szorstki, ale można go było polubić. Wykształcony, kulturalny pan. Zresztą gdyby nie Adam, byłabym do dziś... - Umilkła, przygryzła wargi.

- Żoną Kazimierza? - dokończył za nią.

- Tak. Skąd pan wie?

- Nie wiem - odparł szczerze. - Domyślam się tylko.

Znowu siedzieli parę minut w milczeniu. Skądś przydreptał gruby złotobrazowy spaniel i bez ceremonii wpakował się majorowi na kolana. Gładząc psa po miękkiej, jedwabistej sierści, powiedział:

- Nie była pani z nim szczęśliwa.

Drgnęła, twarz jej przybladła. W sąsiednim pokoju dziecko zagaworzyło coś przez sen. Wstała, poszła tam, ale zaraz wróciła.

- I tak, i nie - odrzekła. - Tak, przez pierwsze miesiące. Zanim się dowiedziałam. Nie, aż do chwili rozwodu. Tam, w sądzie. Te wszystkie dni... Och, Boże! Straszne. - Ukryła twarz w dłoniach.

Nie odzywał się. Czekał cierpliwie, pewien już, że powie.

- Kazimierz miał inną kobietę? - zadał najbanalniejsze pytanie w takiej sytuacji. Potrząsnęła głową przecząco.

- Nie. Myślę, że on mnie naprawdę kochał. I to właśnie było najgorsze. Ale ja nie mogłam. Nie

mogłam! - krzyknęła, aż pies uniósł głowę i spojrział na nią pytająco.

- Adam powiedział pani... - podjął wątek.

- Adam powiedział mi prawdę. To był potworny dzień, myślałam, że oszaleję. Bałam się, czy pan rozumie? Bałam się go.

- Adama?

- Nie, skąd! Kazimierza. Jak się dowiedziałam, zaczęłam się go potwornie bać.

- Czy to miała być choroba psychiczna?

Popatrzała na niego z lekką ironią.

- Czasem myślę, że to by było lepsze. Bo przecież dzisiaj takie choroby są w zasadzie uleczalne. Zwłaszcza w początkowym stadium.

Nagle zrozumiał. Trzeba jednak było się upewnić.

- To znaczy - musiał postawić sprawę jasno, brutalnie - że Kazimierz jest chory na AIDS? Tak Adam pani powiedział?

Skinęła głową. W oczach miała łzy.

- Adam mi wszystko wytłumaczył. Był bardzo rozgniewany na swego brata, że mnie nie uprzedził. On w ogóle nie miał prawa się żenić! Przecież pierwsza żona, Emilia, też od niego odeszła.

- Czy Kazimierz wiedział o swojej chorobie?

- Naturalnie! Ja przeczytałem taką broszurkę o AIDS, o wirusie HIV. Tam lekarze napisali, że okres wylegania się choroby, wie pan, żeby już nastąpiły objawy, może wynosić nawet siedem lat. Więc Kazimierz jeszcze tych objawów nie miał, chociaż... Łatwo się męczył, czasami gorączkował i kaszlał. AIDS właśnie tak się zaczyna.

- Rozumiem. Ale czy pani jest pewna, że Kazimierz wiedział?

Zawahała się. Spoglądała to na majora, to przez okno na zaśnieżony ogródek i ulicę, pełną błota. Z chlupotem przejeżdżały po niej samochody, opryskując przechodniów.

- On zaprzeczał - odparła w końcu.

- Przecież mógł się zbadać, są odpowiednie testy. Był u lekarza?

- Tak. To taki jego znajomy... .

- I co stwierdził?

- Kazimierz powiedział mi, że nic. To znaczy, żadnych objawów.

- Istnieje zakażenie bezobjawowe, ale wówczas taka osoba może przenieść wirusa na inną. Zwłaszcza w drodze... - umilkł, nie chciał być niedelikatny. Ona jednak powiedziała po prostu:

- Wiem. Przez współżycie seksualne. Ale ja się już bałam nawet dotknięcia jego ręki. I on to widział. Bałam się filizanki, z której pił, ręczników w łazience, mydła, wspólnej wanny, wszystkiego, co było w domu. Nawet psa nie pogłaskałam, jeżeli on przedtem go głaskał. Więc to nie mogło długo trwać, taka sytuacja. Piekło wspólnego życia, kiedy jedno ucieka przed drugim jak przed trędowatym.

- Pani wystąpiła o rozwód?

- Nie, Kazimierz. Nie mógł tego znieść. Ja zresztą też. Byłam o krok od choroby -nerwowej. Rozeszliśmy się. No, potem poznałam Janka. Ale przed zawarciem małżeństwa poszłam, aby się zbadać, czy nie mam wirusa HIV. Powiedzieli, że nie.

- W sądzie, podczas rozprawy, nie wymieniła pani słowa AIDS?

- Nie. Nie chcieliśmy tego oboje. Zresztą Kazimierz do końca próbował mnie przekonać, że jest zdrowy. Podaliśmy, jako powód, niezgodność charakterów, tak się mówi najczęściej. Nie mieliśmy dzieci, więc sędzia nie robił trudności.

- Czy Kazimierz wiedział, że to brat udzielił pani informacji o jego chorobie?

- Tak. Ja mu powiedziałam.

- I jak zareagował?

- Milczał. Tylko był strasznie blady. Wieczorem pojechał do Adama, ale nie wiem, jak przebiegała ich rozmowa. Zdaje się, że później jeszcze raz z nim... - Urwała nagle, w jej oczach dostrzegł przerażenie. - Czy pan myśli, że... że to Kazimierz... - Nie dokończyła.

- Nie mamy jeszcze wyników śledztwa - odparł oględnie. - Czy od tej pory widziała się pani choć raz z Kazimierzem?

- Tylko czasem, na ulicy. Z daleka. Janek nie chce żebyśmy się spotykali.

- Mówiła pani mężowi o rzeczywistym powodzie rozwodu?

- Tak - przyznała niechętnie. - Nie chciałam przed nim niczego ukrywać. Janek nie zna rodziny Grodzkich i nie życzy sobie żadnych kontaktów z nimi. Widzi pan, ja teraz jestem spokojna, dobrze mi. Mam dziecko, żyję bezpiecznie. Nie chcę żadnych zmian.

Podniósł się, popatrzył na nią ze współczuciem. Kobieta bluszcz - pomyślał. Nie będzie

walczyć, dochodzić prawdy, iść przez życie przebojem jak inne. Potrzebuje męskiej ręki, dokoła której owinie swoją niezaradną kobiecość. Zresztą takie nam się najbardziej podobają.

- Dziękuję, że pani ze mną rozmawiała - rzekł. - Wiele rzeczy się wyjaśniło. Myślę - zawahał się - lepiej niech pani mężowi nie wspomina o mojej wizycie. Niech pani o niej po prostu zapomni - uśmiechnął się. - I dalej żyje bezpiecznie.

Wracając do Urzędu swym starym, wysłużonym, ale jeszcze, sprawnym maluchem, myślał, że jeśli to, co powiedział Adam Dorocie, było perfidnym kłamstwem, to przyczyna jego śmierci jest już chyba wyjaśniona. Jak mówiła Tarska? "Bo Adam zaczął się mścić". Ano właśnie.

Połoński wpierw zaklął z oburzenia, potem jednak orzekł, iż należy upewnić się co do stanu zdrowia Kazimierza. Bo jeżeli był chory? Wówczas cała sprawa wygląda inaczej i Adam mógł mieć rację.

- Bzdura - stwierdził Daniłowicz. - Żaden lekarz w Polsce nie powie o chorym na AIDS, że jest zdrow. Wziąłby na siebie straszliwą odpowiedzialność. Znajomy czy niezajomy, robić mu tego nie wolno.

- Lekarz mógł Kazimierzowi powiedzieć prawdę, ale on żonie nie.

- Grodzki jest zdrow - mruknął Szczęsny. - Zresztą, przekonamy się.

Po kilku dniach otrzymali poufną, lecz sprawdzoną informację, że wszyscy pracownicy Instytutu Fizyko-Weterynaryjnego poddawani są co pół roku badaniom lekarskim. Tak było od szeregu lat. W ostatnim roku do zwykłych analiz dołączono również testy na AIDS. Wywołało to głosy oburzenia wśród niektórych pracowników, inni jednak powitali tę dyrektorską inicjatywę z uznaniem.

- Wynika z tego, że testy na AIDS wprowadzono w jakiś czas po rozwodzie Kazimierza z Dorotą - zauważył Połoński.

- Tak - odparł Szczęsny. - Ale znam lekarza, który robił u nich badania. Nikt z pracowników nie jest chory ani zakażony wirusem HIV o przebiegu bezobjawowym.

- No, to sytuacja jasna. Adam okłamał swą szwagierkę. Dziwne, że brat nie dał mu wtedy po mordzie.

- Może dał.

Szczęsny postanowił wpierw obejrzeć sobie Instytut Fizyko-Weterynaryjny z zewnątrz, zanim porozmawia z dyrekcją i pracownikami. Wybrał pogodny ranek; zaopatrzył malucha w dostateczną ilość benzyny, gdyż zostały mu jeszcze kartki, wziął do samochodu aparat fotograficzny i szkicownik.

Instytut znajdował się za miastem, gdzieś w połowie drogi między Warszawą a Smorzewem, co już dawało do myślenia. Wybór tej małej, bardzo zwyczajnej wioski na miejsce urlopu inżyniera-elektronika, który w dodatku nie miał w niej znajomych ani krewnych, od początku wydał się majorowi trochę dziwny. Mówił sobie jednak, że ludzie mają najprzeróżniejsze pomysły, do których

powinien był się już przyzwyczaić. Jadąc teraz, przypomniał sobie wczorajsze przesłuchanie starego złodzieja, podejrzanego o zabójstwo własnej żony, co potem okazało się prawdą. Złodziej tłumaczył po swojemu, iż uderzył ją tylko ręką, zapomniawszy dodać, że w ręce był młotek. Znany pisarz Bruce Marshall w jednej ze swych książek powiedział podobnie: "Nie wystarczy wyznać, że ukradło się sznurek, jeżeli na drugim jego końcu przywiązany był koń". Czy więc ten nieco dziwny urlop w byle jakiej miejscowości nie okazał się owym sznurkiem, na którego końcu znajdowała się zbrodnia?

Minał instytut. Potem był Smorzew, o tej porze roku jeszcze bardziej nieciekawym, trochę ubielony śniegiem, ze sterczącymi kikutami bezlistnych drzew. Zawrócił przy ostatniej chałupie i jechał wolno, aby obejrzeć gospodarstwo Bronickich. Stwierdził, że stodoła, o której mówił sierżant sztabowy Janusz Woźniak, usytuowana jest dość daleko od domu mieszkalnego. Nie na tyle jednak, żeby w nocy, kiedy na wsi panuje głucha cisza, nie słychać było warkotu zapuszczanego silnika. Małgorzata Bronicka słyszała, jej mąż nie. Kobiety zazwyczaj mają lżejszy sen, śpią czujniej, przywykłe reagować na płacz dziecka.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie porozmawiać z Bronickim, ale zrezygnował. Na to będzie jeszcze czas. Opuszczając Smorzew, spojrział pierwszy raz na zegarek. Drugi raz, kiedy znalazł się w pobliżu instytutu. Jedenaście minut po rozmięklej, błotnistej drodze. W nocy z piątego na szósty października było sucho. Świecił księżyc. Wartburgiem mogło mu to zabrać siedem, osiem minut.

A z instytutu do Kowalewa? Sprawdzał już na mapie: szesnaście kilometrów w bok od drogi łączącej Warszawę ze Smorzewem. Trzeba skrócić dokładnie półtora kilometra za instytutem. Ciekawe, dlaczego akurat tam pojechał ze zwłokami? Pewnie miało to być daleko od miejsca zbrodni, ale bał się wieść je jeszcze dalej, mógł napotkać patrol milicyjny, więc wybrał to leśne pobocze. Kwestia, czy całość wpierw zaplanował, czy też Kowalewo nasunęło mu się na myśl w ostatniej chwili, może je znał z jakiejś jazdy, wiedział, że tam jest las. Położył ciało, zawrócił na drogę do Smorzewa. Cicho podjechał pod gospodarstwo Bronickich, zaparkował wóz za stodołą. Tak samo cicho wszedł, do mieszkania. Czy w samochodzie mogły być ślady przewożenia zwłok? Jeżeli nawet były, to teraz, po blisko trzech miesiącach, dawno ich już nie ma.

Kompleks budynków instytutu, widoczny już z daleka, usadowiony był w rozległym parku, ogrodzonym murem. Szczęsny podjechał tak blisko, jak się dało bez zwracania uwagi pracowników. Był dzień roboczy, główna brama otwarta, wjeżdżały w nią i wyjeżdżały stamtąd ciężarówki, pokryte brezentem. Kręcili się też ludzie, niektórzy w granatowych kombinezonach albo w białych kitlach lekarskich.

Zaparkował wóz pomiędzy dwoma innymi, stało ich tu zresztą kilkanaście. Wysiadł i szedł wzdłuż muru, przyglądając się wszystkiemu z uwagą. Dwupiętrowy główny budynek łączył się wąskim, nadziemnym przejściem z innym, bardzo długim i niskim; robił wrażenie magazynu. Prócz tego znajdowały się tu jeszcze jakieś małe, oddzielnie umieszczone budyneczki oraz boksy z siatką zamiast jednej ściany. Z tych boksów dolatywało szczekanie psów. Było ich zbyt wiele jak na psy wartownicze; pomyślał, że używane są do najrozmaitszych doświadczeń. Pożałował ich w duchu i skręcił za mur, ścieżką wiodącą prostopadle do głównej drogi. Szedł powoli, w pewnym momencie mur skończył się, dalej był już tylko płot z gęstą drucianą siatką.

Tak dotarł do ostatniego budynku, umieszczonego w sporej odległości od innych, w samym

końcu parku. Prowadziły do niego słup wysokiego napięcia. Przystanął, aby się nad tym chwilę zastanowić. Gdyby chodziło po prostu o oświetlenie, wystarczyłby przecież kabel. Instytut albo miał własną stację zasilającą, albo też pobierał prąd z najbliższej elektrowni. Po cóż więc jeszcze te słupy, jakby dla wzmocnienia pracy czegoś w tym niewielkim, samotnym budynku...

Zbliżył się do ogrodzenia. Wtedy dostrzegł, że znajdowała się w nim furka, właściwie szczelnie zamknięta brama. Stwierdził na oko, że po otwarciu mógłby przez nią przejechać samochód osobowy. Nawet mała ciężarówka. Od bramy wiodły ślady opon, mocno odcisnięte w błotnistej ziemi. Ciągnęły się łagodnym łukiem, poprzez kawał bezużytecznego widać pola i kończyły na drodze, omijając jednak główne wejście do instytutu.

Wniosek był prosty: z tego budynku coś wywożą. Brama umożliwia wyjazd bocznymi torami, tak jakby wywożenie tego czegoś było niemiłe, wstydlive lub niewygodne dla ludzkich oczu. Postanowił pójść śladami opon. Dotarł do drogi, a wtedy okazało się, że prowadzą one dalej, przecinając ją. Szedł wytrwale przez błotniste, rozjechane koleiny, aż nagle urwały się. Zatrzymał się przy małym pagórku, zasypanym śniegiem. Tutaj, bardzo wyraźnie, pojazd zawracał na drogę. Widocznie zadanie, jakie miał kierowca, zostało wykonane.

Szczęśny obchodził powoli pagórek, zastanawiając się, co kryje w swym wnętrzu. W jednym miejscu zauważył świeżo uklepaną ziemię, bez pokrywy śnieżnej. Znalazł porzucony kawał grubego kija, przykląkł i spróbował trochę odsłonić to, co zostało zasypane. Już po chwili poczuł mdlący odór martwego ciała. To był pies.

Zakrył padlinę ziemią. Zrobił kilka zdjęć, otrzepał kolana i wrócił raz jeszcze do samotnego budynku. Obejrzał go tak dokładnie, jak się dało przez ogrodzenie, sfotografował wszystko - łącznie z bramą, śladami opon i słupami wysokiego napięcia. Potem odnalazł swego fiata, wsiadł, ale jeszcze nie ruszał. Porządkował w myśli to, co zobaczył i wyciągał wnioski.

- Popatrz - mówił wieczorem do Połońskiego, rozkładając przed nim wywołane zdjęcia. - W tym ostatnim budynku znajdują się, muszą być, generatory. Tam, choć tego jeszcze nie jestem pewien, dokonuje się doświadczeń na psach. Zwłoki zwierząt, już do badań niepotrzebne, wywozi się do tego pagórka i zagrzebuje. Powinni je palić i nie wiem, czemu tego nie robią. Może nie mają odpowiednich urządzeń kremacyjnych, może są nieczynne, diabli wiedzą, dlaczego. Ale, Bohdan, rozumiesz o czym myślę?

- Tak, to jasne - odparł kapitan, przyglądając się zdjęciom. - Jeżeli Kazimierz zabił brata, to właśnie tam i w ten sposób. Przy pomocy infradźwięków. Czytałem, że takie doświadczenia robiono już nie raz na zwierzętach. Budynek stoi osobno, wartownik mógł nic nie słyszeć, zwłaszcza w nocy. Ale jak udowodnisz tę zbrodnię?

- Nie wiem - powiedział Szczęśny. I dodał swoim zwyczajem: - Jeszcze nie wiem.

ROZDZIAŁ 9

Naczelny dyrektor Instytutu Fizyko-Weterynaryjnego łatwo zgodził się na rozmowę z majorem Szczęsnym. Spytał wprawdzie, o co chodzi, ale otrzymawszy odpowiedź, że to “nie na telefon”, zaproponował dzień i godzinę, o nic więcej nie pytając. Szczęsny pojechał sam; jeszcze sporo rzeczy było do wyjaśnienia, a w cztery oczy mówi się łatwiej.

Zajechał tym razem przed główną bramę, zaparkował wóz i skierował się prosto do budynku administracyjnego. Portier był uprzedzony, pokazał drogę na pierwsze piętro, sekretarka otworzyła przed nim drzwi do gabinetu:

- Panie dyrektorze, pan major - zawahała się - z milicji.

Uśmiechnął się do niej i wszedł. Szef instytutu podniósł się zza biurka, przywitał. Młodszy niż można było sądzić po odpowiedzialnym stanowisku, dość tęgi, ciemnowłosy, w okularach. Spojrzenie miał uważne i życzliwe. Zaproponował kawę, podsunął papierosy, po czym zajął pozycję wyczekującą. Szczęsny nie miał łatwego zadania; żadna kontrola ani nic z tych rzeczy nie wchodziło w zakres obowiązków, może nawet uprawnień oficera wydziału zabójstw SUSW. Trzeba było lawirować.

- Otrzymaliśmy niedawno informację - zaczął, jakby trochę z zażenowaniem - że w pobliżu instytutu, ale jeszcze na waszym terenie, znajdują się zakopane zwłoki. Sugerowano nam nawet zabójstwo.

- Coś takiego! - wykrzyknął dyrektor.

Nie dodał jednak nic więcej. Szczęsny ciągnął więc dalej:

- Anonimowy informator przysłał, niezdarny zresztą, szkic terenu, na którym ma się znajdować niewielki pagórek czy kopiec. Tam rzekomo zagrzebano ludzkie zwłoki. Pan rozumie, dyrektorze, że w naszej pracy trzeba brać pod uwagę nawet najbardziej nieprawdopodobne wiadomości, również anonimy, gdyż czasami zawierają prawdę. Proszę, to jest ten szkic - podał przez biurko kartkę papieru. Połoński umiejętnie wykonał niezgrabny rysunek i dodatkowo przybrudził go o podeszwę własnych butów. Robiło to lepsze wrażenie.

Dyrektor wziął papier końcami dwóch palców, skrzywił się i popatrzył. Okulary położył na brzegu biurka.

- To może być rzeczywiście fragment naszego terenu - powiedział - za drogą, w stronę stawu. Nie wiem, czy pan major orientuje się w konfiguracji obszarów podległych instytutowi?

Szczęsny odparł, że o konfiguracji nie ma pojęcia. Sekretarka przyniosła kawę, spojrzała na niego mrużąc oczy, a kiedy znów się uśmiechnął, zachichotała cichutko i wyszła.

- Pagórek - dyrektor wskazał palcem miejsce na szkicu - zawiera zwłoki... - odchrząknął,

poprawił się - zawiera padlinę. Zakopujemy tam obecnie psy, padłe po doświadczeniach w laboratoriach. Chciałbym od razu dodać, że wszystkie eksperymenty, które są przeprowadzane w instytucie, uzyskały od dość dawna zgodę czynników wyższych. - Urwał; namyślił się, ale nie wyjaśnił, jakie to są czynniki.

- Nie wątpię - zauważył major uprzejmie. Czynniki, nawet wyższe, nie interesowały go. - Czy nie lepiej jednak byłoby spalać martwe zwierzęta?

- Oczywiście - zgodził się dyrektor. - Rzecz w tym, że nasze urządzenia, przeznaczone do tego celu, są przestarzałe, często się psują. Brakuje części zamiennych.

- Jak wszędzie - wtrącił znowu, aby włączać się co pewien czas do rozmowy. Musiał zdobyć życzliwość szefa instytutu.

- Dlatego zdarzają się nam, krótkie zresztą, okresy, kiedy jesteśmy zmuszeni zakopywać psy właśnie w tym kopcu. Oczywiście, pan major ma tam absolutnie wolną drogę... - zawiesił głos wyczekująco. W tym momencie Szczęsny uświadomił sobie, że gdyby rzeczywiście otrzymali taki anonim, jego obowiązkiem byłoby przekopać cały wzgórek tam i z powrotem, w poszukiwaniu ludzkich zwłok. Dlatego zawahał się na chwilę, oczami wyobraźni widząc kilka (może kilkanaście?) zdechłych psów, które naprawdę krył fatalny kopiec. Postanowił więc inaczej wybrnąć z sytuacji.

- Panie dyrektorze - rzekł stanowczym tonem - jeżeli pan twierdzi, że tam są wyłącznie zwierzęta, ja nie mam powodu, aby panu nie wierzyć. Anonim nie podawał nazwiska ofiary ani w ogóle żadnych bliższych danych. Być może ktoś urządził wam brzydki kawał. Zdarza się. Żeby jednak nie było najmniejszych wątpliwości, chciałbym otrzymać od pana taką informację: na przestrzeni, powiedzmy, od lipca do dziś, w które dni urządzenie kremacyjne było nieczynne i zakopywaliście psy na pagórku?

- Zaraz to zrobimy - odparł dyrektor ochoczo.

Widać i jemu nie uśmiechało się ewentualne rozkopywanie. Połączył się selektorem z jakimś pracownikiem, powiedział kilka zdań. Potem Szczęsny do swego notatnika przepisał daty, o które mu chodziło. Tak naprawdę to interesowała go tylko jedna. Rzeczywiście, pomiędzy dwudziestym piątym września a ósmym października zwłok zwierząt nie spalano wskutek awarii urządzenia.

Nie było to jednak wszystko, o czym chciał się dowiedzieć.

- Miałem niedawno okazję - powiedział - poznać - jednego z pańskich pracowników, inżyniera Kazimierza Grodzkiego. Smutna to była okazja, bo związana ze śmiercią jego brata.

- A właśnie, słyszałem! - żywo zareagował dyrektor. - Jakaś okropna historia, podobno ten brat został zamordowany? .

- Są takie podejrzenia. Pan Kazimierz zrobił na nas miłe wrażenie. Inteligentny człowiek, zdaje się elektronik?

- Tak. Zdolny inżynier. W marcu wysyłamy go na dwuletnie stypendium do Stanów. Należało

mu się już dawno, ale były jakieś przeszkody. Wie pan, ja tu jestem dyrektorem dopiero od listopada, więc nie znam przyczyny, dla której inżynier Grodzki wówczas nie pojechał. No, załatwimy mu to teraz.

Pożegnawszy dyrektora, major wrócił do swego fiata. Wyjął kluczyki od stacyjki i zauważył, że przygląda mu się natarczywie jakiś mężczyzna z teczką w ręku. Zatrzymał się na moment, a wtedy tamten podszedł szybkim, nerwowym krokiem.

- Panie kolego - zaczął, trochę się jąkał - czy pan jedzie do Warszawy?

Szczęśny przyjął zwrot "kolego" jako mu należny i odparł, że owszem, właśnie tam się wybiera.

- Oj, panie, proszę mnie zabrać z łaski swojej, uciekł mi autobus, a okropnie się śpieszę, zabierze pan?

- Naturalnie. Proszę, niech pan siada.

Mężczyzna z teczką z pewnym trudem wpakował się na przednie siedzenie malucha, a kiedy major ruszył z miejsca, dopiero wówczas przyjrzał mu się uważniej.

- Przepraszam, pan zdaje się nie jest... nie pracuje pan w instytucie? Wie pan, nas jest kilkuset i nie wszyscy się znamy. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Miło mi, że mogę przysłużyć się pracownikowi tak znanego i szanowanego instytutu.

Przybysz roześmiał się, pokręcił głową.

- Rzeczywiście pan tak o nas myśli? Chociaż, co prawda, mamy pewne osiągnięcia. Zwłaszcza teraz, kiedy przyszedł nowy naczelny. Bo z takim to ciężko było wytrzymać. Wie pan, radziecki fraszko-pisarz Michaił Żwaniński powiedział kiedyś tak: "Czy doczekamy się wreszcie, że intelektualista, fachowiec i kierownik to będzie jedna i ta sama osoba?" No więc myśmy się doczekali. A pan przyjechał do znajomego czy w interesie?

- W interesie. Moja spółdzielnia wykonuje pewne roboty dla instytutu. Ale znam pańskiego kolegę, inżyniera Grodzkiego.

- O, owszem. Zdolny gość. Tylko trochę pechowy. Dwa małżeństwa i oba niewypały. No, i z tym stypendium tak mu nie wyszło.

- Dwa lata temu, prawda? Miał zdaje się jechać do Stanów.

- Tak. Dasz pan wiarę, że to rodzina tak mu się przysłużyła?

- Rodzina? - Szczęśny udał ogromne zdziwienie. - To poprzedni naczelny był jego krewnym?

- Nie. Ale Kazimierz miał brata na jakimś wysokim stanowisku. Nie wiem, dlaczego ten brat podłożył mu świnię, z zazdrości chyba nie, bo przecież można bez trudu wyjeżdżać, jak się jest prominentem. Zadziały tu chyba jakieś tajne układy, diabli wiedzą, co. Faktem jest, że Kazimierz już się prawie pakował, kiedy dyrektor nagle oznajmił mu, że jedzie ktoś inny. Pan sobie wyobraża, jak Grodzki się czuł!

- Ale może to wcale nie brat, tylko jakieś sprawy, powiedzmy, paszportowe?

- A, skąd! Chłop miał wszystko gotowe, pozapinane na ostatni guzik. Gdyby tak na mnie trafiło, ja bym takiego brata... - Urwał, nagle zaczerwieniony i zmieszany.

- Czy instytut podlega ministerstwu, w którym jego brat pracował? No, bo jakże inaczej?

- Nie, my tamtemu ministerstwu nie podlegamy. Ale przecież wysocy urzędnicy znają się, kontaktują, wystarczy powiedzieć: słuchaj, zrób to dla mnie, wiesz, zależy mi, i tak dalej. Na zasadzie: ręka rękę myje, noga nogę wspiera. Dziś ty mnie, jutro ja tobie. Kazimierz wiedział, że to brat uniemożliwił mu wyjazd. Kiedyś z nim rozmawiałem o tym.

- Był zły na brata?

- A pan by nie był? Cholera go brała. No, w końcu mu przeszło. - Przybysz zamyślił się, zachmurzył. - Taki zwykły człowiek, jak Kazio czy ja, niewiele może, kiedy gdzieś na górze robią mu na złość. Właściwie po co ja to panu mówię. To są nasze wewnętrzne sprawy.

- Myślę, że niektóre ludzkie problemy powtarzają się wszędzie tam, gdzie żyją i pracują ludzie. Żadna instytucja nie jest tu wyjątkiem.

* * *

Żeby uniknąć telefonów, interesantów, a zwłaszcza bystrych oczu szefa, Szczęsny zaszył się z Połońskim w swoim mieszkaniu na Stegnach. Chcieli popracować tylko we dwóch, wyciągnąć wnioski z dotychczas wykonanej roboty, podsumować je i zakończyć śledztwo w sprawie zabójstwa Adama Grodzkiego.

Major przygotował mnóstwo kanapek z krakowską, żółtym serem i jajkiem na twardo, zaparzył kawę i, zgłodniałi po wielogodzinnej naradzie w Urzędzie, zabrali się do jedzenia.

- Gdzie zdobyłeś taką smaczną kielbasę? - spytał Bohdan. - Moja żona wciąż nie może natrafić na możliwą.

- Nie pamiętam, chyba gdzieś na Starówce. Ale stałem długo w kolejce.

- "Zdobywanie jest mozolne, jak praca mrówek; tracenie jest prędkie, jak podmuch wiatru" - zacytował kapitan, wynosząc do kuchni pusty talerz.

- Słusznie. Ale sam tego nie wymyśliłeś.

- Nie, są to Mądrości z palmowego liścia. No, do roboty!

Usiedli przy stole, rozłożyli na nim najważniejsze dokumenty.

- Ustaliliśmy trzy przyczyny - zaczął major - które mogły być bodźcem do zbrodni. Rozpatrzmy więc trzy akty zemsty Adama wobec Kazimierza. Po pierwsze: Emilia Grodzka otrzymała pornograficzne zdjęcia, na których jej ślubny igra seksualnie z prostytutkami. Nie mamy jeszcze potwierdzenia, że to Adam przesłał te zdjęcia, ale sądzę, że tak było.

- Poczekaj - przerwał Bohdan - zapomniałem ci powiedzieć, że wczoraj wieczorem dostałem cynk od jednego z wywiadowców na Żoliborzu. Pokazywałem mu fotografię Kazimierza, oczywiście żadną z tamtych, ale zwykłą, legitymacyjną. Chłopak twierdzi, że jakieś siedem, osiem lat temu ten gość zabawiał się nielecho z Rudą, z Księżniczką i z Czarną Dziunią, to były wówczas "pierwsze damy" marginesu z dzielnicy. Podobno któraś z nich miała zaprzyjaźnionego fotografa. Nie wiem, jakim cudem zdjęcia dotarły do rąk Adama, mógł to być przypadek. Pewnie zapłacił, i to niemało.

Szczęśny zastanowił się chwilę.

- To jest do sprawdzenia. Niech ten wywiadowca wyciągnie od dziewczyn, co to był za fotograf, jak go znaleźć i tak dalej.

- Dobra. Teraz druga zemsta.

- Tu już mamy rzeczy bezsporne. Dorota dowiaduje się od Adama, że jej mąż jest chory na AIDS. Kłamstwo, ale skąd dziewczyna mogła o tym wiedzieć! W rezultacie rozwód. Myślę, że Emilia, kobieta, jak mówiła o niej informatorka Małgosi, zimna, surowa nie wybacząca, nie mogła wystarczyć takiemu kobieciarzowi jak Kazimierz, więc szukał pociechy u tych, co były pod ręką i zabawiały go. Natomiast Dorotę chyba kochał i musiał głęboko przeżywać jej odejście. Wiedział, że to Adam wyrządził mu taką krzywdę. Ale jeszcze, tak sądzę, nie chciał zabić. Jeszcze się wahał. Może dlatego tak usilnie starał się o wyjazd do Stanów. Sądził pewnie, że przez dwa lata jakoś zapomni, pozna nowych ludzi, wciągnie go praca. Jest elektronikiem, stypendium dawało mu możliwość wypróbowania własnych zdolności w maksymalnie dobrych warunkach. No i kłapa. Niemal w ostatniej chwili mówią mu, że nie pojedzie.

- Wiedział, że to sprawka Adama?

- Tak. Wiesz, ja myślę, że dla Adama zemsta nie byłaby pełna, gdyby Kazimierz nie został o tym poinformowany. Każde uderzenie musiało pochodzić z tej samej ręki, inaczej Kazimierz zwałiby wszystko na swój pech życiowy, zły los czy coś w tym rodzaju.

- Przekreślenie planów życiowych bywa dla mężczyzny ważniejsze niż nieudane małżeństwo, dotkliwsze, może popchnąć do nieobliczalnych czynów. Kazimierz po prostu widzi, że póki Adam będzie żył, nie przestanie mu szkodzić. Zapomina, że były dyrektor departamentu jest już na emeryturze i nie ma tych możliwości, co dawniej. Ale poczucie krzywdy tkwi w nim, potęguje się.

Więc zaczyna obmyślać sposób zniszczenia brata, uwolnienia się od niego raz na zawsze. Nie posiada broni, nie chce użyć trucizny, a zabójstwo przy użyciu łomu czy rurki jest dla takiego człowieka zbyt drastyczne, prymitywne. Wtedy pewnie przychodzą mu na myśl infradźwięki. Jako elektroniki zatrudniony w instytucie, gdzie właśnie przy ich pomocy unieszkodliwia się zwierzęta, wypróbował na tych biednych psach decybele, herce, poddźwięki i co tam jeszcze, wie, i to doskonale wie, co można zrobić.

- Pamiętaj, Bohdan, że Kazimierz musiał też liczyć się z konsekwencjami zabójstwa. Gdyby, powiedzmy, widziano go wchodzącego do willi piątego października wieczorem, a potem rano okazałoby się, że Adam został zastrzelony, otruty czy zabity nożem, młotkiem, siekierą, wówczas byłby pierwszym podejrzanym. Gdyby przyszedł w nocy, Adam by go nie wpuścił.

- Oczywiście. Dlatego wymyśla sposób wedle niego genialny: znajdujemy zwłoki nie naruszone pociskiem czy narzędziem, medycyna sądowa nie zna wypadku zabójstwa przy pomocy infradźwięków, więc nie rozpoznaje przyczyny śmierci. Właściwie wszystko zawdzięczamy pułkownikowi-fizykowi z Zakładu Kryminalistyki. Gdyby on ci tego nie zasugerował, być może nigdy nie doszlibyśmy do osoby zabójcy.

Szczęśny westchnął. Poczucie sprawiedliwości nakazywało przyznać koledze rację, choć wrodzona ambicja broniła się przed tym, jak mogła. Trudno. Zakład Kryminalistyki to "mózg" milicji, różne genialne pomysły stamtąd wychodziły i wychodzą. Trzeba to docenić.

Wyszedł do kuchni, zaparzył znowu kawę. Raz po raz odzywał się telefon, ale był głuchy na dzwoniące, mogąc się parę godzin bez nich obejść.

- Tu się pracuje! - mruknął w stronę aparatu.

- A jeżeli to stary? - Bohdan zatroskał się przelotnie.

- I co z tego? Musimy skończyć. Nie bój się, tu nie przyjedzie. On pamięta, że obie windy są zepsute, bo mu to dzisiaj mówiłem. Na dziesiąte piętro nie będzie włąził.

- Przecież obie są czynne!

- Ale on o tym nie wie. A jakby jednak przyjechał, to mogli do tej pory naprawić. Pij kawę i pracujemy dalej.

* * *

Dzielnicowy z Żoliborza, który rozpoznał na fotografii Kazimierza Grodzkiego, był to milicjant obrotny i doświadczony. Toteż, znając na wylot swój rejon, po dwóch dniach mógł już powiadomić kapitana Połońskiego, że poszukiwany fotograf nazywa się Feliks Bezik, rencista, nie karany, choć balansujący ciągle na pograniczu prawa. Oficjalnie zajmował się tylko fotografią artystyczną, śluby, pogrzeby, portrety i tak dalej. Nieoficjalnie - choć jak dotąd nie sposób było mu to udowodnić - wykonywał zdjęcia pornograficzne, ku uciesze mocno starszych panów.

Połośki postanowił Bezika odwiedzić niespodziewanie. Wziąwszy do pomocy dzielnicowego, pojechał na peryferie Bielan, gdzie znajdował się niski, stary domek z zachwaszczonym ogrodem. Płot, mocno nadszarpnięty wiekiem, bez trudu przepuszczał amatorów zdziczałych jabłek i gruszek. Oczywiście teraz, na początku lutego, płot tym bardziej niczego nie chronił, furka wisiała na jednym zawiasie, a wokół domu wałały się papiery i puste opakowania.

- Czemu tu taki śmietnik? - zdziwił się Połośki.

Dzielnicowy wzruszył ramionami.

- Już dwa razy mandat zapłacił, ale na niego nie ma mocnych. Dom jest prywatną własnością, a Bezik dba tylko o swoje fotografie. Stary kawaler, samotny. Wejdziemy?

Załomotali do drzwi; okazało się, że są otwarte. Weszli do sieni, na lewo była kuchnia, na prawo duży pokój. Fotograf podniósł się od stołu, na którym coś układał i spojrzał na nich pytająco. Skrzywił się na widok dzielnicowego, widać przypomniały mu się mandaty.

- Znowu jakaś kontrola? - mruknął niechętnie.

Połośki nie odpowiedział. Wodził wzrokiem po półkach, zawalonych teczkami, odbitkami i mnóstwem brązowych kopert. Podszedł do nich, sięgnął na chybił trafił.

- Pan kapitan chciałby z panem porozmawiać o jednym zdjęciu - wyjaśnił podoficer. I dodał, już od siebie: - Panie Bezik, jak pan nie przestanie tu wpuszczać dziwek ze swymi gośćmi i robić im zdjęcia, to poleci panu "piątka" jak nic. I grzywna.

Rencista obdarzył go chmurnym spojrzeniem.

- Jakie dziwki? - burknął. - Małżeństwa przychodzą. Same przyzwoite.

- Bezik, nie wciskaj mi głupot, bo się rozgniewam. Nie dalej jak wczoraj była tu Czarna Dziunia z dwoma.

- Z wizytą przyszli. Aparat mam zepsuty, żadnych zdjęć nie robiłem.

Połośki odwrócił się od regału, podszedł do stołu i wysypał z koperty kilka fotografii. Kolorowych i jednoznacznych.

- To, też "małżeńskie" obrazki? - spytał z nieukrywaną ironią.

Bezik przybladł, zakłapał sztuczną szczęką; zawsze tak robił, kiedy był zdenerwowany.

- To... ja dla siebie. Nie rozpowszechniam. Słowo daję, dla siebie!

Kapitan usiadł na drewnianym stołku, pokiwał głową i rzekł z ubolewaniem:

- Kodeks pan zna? Przyjdzie zwinąć interes na parę lat. Owszem, cele na Mokotowie nie najgorsze, ogrzewane i jeść dają, ale towarzyszo takie więcej niefartowne. Starszy człowiek z pana, mogą podokuczać.

Fotograf milczał. Skurczył się za stołem, wodził wzrokiem po twarzach przybyszów, jakby kombinując, co by tu zrobić, a czego nie. W końcu westchnął ciężko i mruknął:

- No, to jak będzie? O co chodzi naprawdę?

Potem długo szukał po szufladach i regałach, wyciągał najstarsze koperty ze zdjęciami, przyglądał się, odkładał na miejsce. Połoński palił i czekał cierpliwie; bał się tylko, że być może Bezik nie zostawił sobie negatywów. Dzielnicowy chodził po pokoju, pogwizdywał. Przez okno dojrzał Rudą w towarzystwie jakiegoś obcego, a nie chcąc, aby przeszkodzili, wyszedł na próg domu. Ruda zobaczyła mundur, cofnęła się gwałtownie i oboje znikli w ulicze.

Wreszcie Bezik znalazł. Były nie tylko negatywy, ale i odbitki. Może sądził, że Adam przyjdzie jeszcze raz albo liczył na innego kupca. Kapitan przyjrzał się zdjęciom; dzielnicowy zajrzał mu przez ramię.

- To ten - zawahał się - co widziałem legitymacyjne... Ten, sam.

- Kiedy pan to robił? - spytał Połoński. - Tylko prawdę, nie mam czasu na żarty.

- Chyba siedem albo osiem lat temu. Byli tu dwa razy. Te kobiety i on.

- Pili?

- No, pili - przyznał niechętnie. - Przynieśli ze sobą. Przywieźli autem. Chcieli się zabawić. Ruda i Czarna Dziunia. One lubią takie zdjęcia.

- Oczywiście! - wtrącił dzielnicowy. - Mają potem czym szantażować rodziny facetów.

- Ja tam nie wiem. Ja nie szantażuję - zastrzegł się.

- Jak to się stało, że Adam Grodzki kupił u pana te zdjęcia? Po co w ogóle przyszedł?

- No, ja kiedyś... dawno temu, zrobiłem artystyczną fotografię jego żony. Bardzo była ładna kobieta. Bo ja jestem artystą - wyprostował się, popatrzył dumnie - u niego w ministerstwie pracowałem. Jak była uroczystość, impreza jakaś, to dyrektor Grodzki zawsze mnie wołał. Stąd się znamy. Więc wtedy, osiem lat temu, przyjechał tutaj, bo chciał, żeby mu z tej fotografii zrobić powiększenie. Taki portret, co w ramkach wieszają. Usiadł, tak jak pan kapitan przy tym stole, powiedział, o co mu chodzi. A potem zobaczył...

- Te zdjęcia?

- Tak. Miałem je rozłożone, nie wiedziałem, że chodzi o jego brata. Bo bym schował. Ale on zaraz porwał w rękę, zaczął się przyglądać, a oczy to mu się zrobiły takie ostre jak noże. Złakłem się,

nie rozumiałem, o co chodzi. Pomyślałem: przecie prokurator to nie jest, nie będzie mnie skarżył. Wtedy on zebrał te zdjęcia, włożył do koperty i pyta, ile za to chcę. Mówię, że nie sprzedaję, bo bym mógł pójść siedzieć. Ale dyrektor uspokoił mnie, że paragrafy go nie obchodzą. Nie chciałem brać pieniędzy, to mi włożył do kieszeni płaszcz, co wisiał na wieszaku. Tysiąc złotych włożył, a to wtedy był pieniądź. Jeszcze powiedział, że bym nikomu ani słowa. I pojechał. Nawet zapomniał zostawić zdjęcie żony, co to miałem robić portret. Więcej się u mnie nie pokazał.

* * *

Połoński wszedł do pokoju z miną zaaferowaną.

- Nie widziałeś gdzie dolnopłuka? - spytał Szczęsnego.

- Kogo? - zdziwił się major.

- Nie kogo, a czego. To jest sfluczka, taki plastikowy biały pojemnik na wodę. Przecież masz go w swojej łazience! Nie pamiętasz?

- Owszem, ale nie wiedziałem, że tak się głupio nazywa.

- No, dla odróżnienia od górnopłuka, co siedzi pod sufitem. Mój się zepsuł i chcę kupić ten dolny. O wiele wygodniejszy niż... - urwał, machnął ręką.

- Jedziesz do instytutu?

- Razem jedziemy. Weź magnetofon. Ten mały, żeby się nie złąkli. Kto tam jest komendantem straży?

- Przytomny facet. Dogadamy się.

Pojechali maluchem Szczęsnego; miał się dobrze po kolejnym remoncie i wyciągał bez trudu siedemdziesiąt na godzinę. Zresztą nie śpieszyło im się, do umówionej godziny brakowało jeszcze trochę. W drodze Bohdan rozważał kilka możliwości uzyskania dodatkowych, a ważnych informacji od strażników. Potrzebna była wiarygodna odpowiedź na zasadnicze pytanie i spodziewali się, że ją dostaną.

Zatrzymali się na parkingu przed instytutem. Ledwie zdążyli wysiąść, podszedł do nich oficer Straży Przemysłowej. Z Połońskim już się poznali, teraz z ciekawością przyglądał się Szczęsnemu.

- Porucznik Strażyk, komendant - przedstawił się. - Zapraszam do siebie - wskazał ręką na mały oddzielny budynek. - Tam możemy swobodnie porozmawiać, bo u nas wszędzie pełno ludzi, kręcą się po korytarzach. Po co kto ma wiedzieć, że przyjechaliście - mówił, prowadząc ich do swego gabinetu, który był skromnie urządzonej pokojem z oknami wychodzącymi na budynek administracyjny.

- Kawy nie mam - tłumaczył się - ale może herbaty? Sam zaparzę - dodał z uśmiechem.

Postawił na stole trzy szklanki z mocną, parującą herbatą, usiadł naprzeciw Połońskiego i rzekł:

- Więc tak. Zaraz przywołam tu Domańskiego. To nasz najlepszy strażnik, miał wtedy służbę. Nie wypytywałem go o nic, bo sądziłem, że tak będzie lepiej.

Wstał, wyszedł na parę minut, a potem wrócił razem z niemłodym już, mocno zbudowanym mężczyzną o posiwiałych skroniach i czerstwej twarzy, z której patrzyły niewielkie bystre oczy. Zameldował się Szczęsnemu, nieomylnie odgadując w nim najstarszego stopniem, potem przysiadł z boku, wyjął ze skórzanej torby gruby notes i spojrzał pytająco.

- Pan miał służbę w nocy z piątego na szósty października - zaczął major włączając magnetofon. - Zgadza się?

- Tak jest - odparł Domański.

- Czy mógłby pan sobie przypomnieć, na przykład, czyjs niespodziewany przyjazd nocą do instytutu? Chodzi mi oczywiście o pracowników.

- Nie muszę sobie przypominać, panie majorze. Mam wszystko zapisane - pokazał notes. - Powiedziałem: wszystko, bo meldunki, jakie piszemy po służbie, są zazwyczaj skrótowe, czasem jedno zdanie "bez wydarzeń", ale w notesie zapisuję nawet drobiazgi. Takie mam przyzwyczajenie.

- Chwalebne - mruknął Połoński.

- Więc co pan zanotował z piątego na szósty?

Strażnik przelotnie poślinił palec i przerzucił kilkanaście kartek.

- Ale to jest chyba notes tegoroczny? - zauważył Szczęsny.

- Nie, panie majorze. Zostałem trochę uprzedzony przez pana komendanta, że chodzi o wydarzenia z jesieni ubiegłego roku. Chowam swoje notesy przez wiele lat, bo mogą się przydać. Dlatego wzięłem zeszłoroczny. O, jest - zatrzymał palec na jednej stronie. - Ale teraz muszę pewną rzecz wyjaśnić. Otóż gdzieś tak od połowy września tamtego roku pan inżynier Kazimierz Grodzki, elektronik, który ma pod opieką i kontrolą generatory w ostatnim budynku przy...

- Wiemy - przerwał Szczęsny. - Widziałem ten budynek. Proszę dalej.

- Krótko mówiąc, inżynier Grodzki co parę nocy przyjeżdżał do instytutu i pracował przy generatorach. Kiedy to zrobił po raz pierwszy, a miałem właśnie służbę, zobaczyłem światło w B-6, tak jest oznaczony ten budynek, i poszedłem, aby sprawdzić, co się stało. Wszedłem, pan inżynier przywitał się i powiedział, że musi co pewien czas kontrolować urządzenia generatorów, a najlepiej to robić w nocy, kiedy one nie pracują, jest cisza i spokój. Porozmawialiśmy chwilę, wyszedłem. Po godzinie usłyszałem warkot silnika, zobaczyłem, że wartburg inżyniera odjeżdża. Rano podałem to w

meldunku. Nie wiem dlaczego, ale tak się składało, że przyjazdy inżyniera zawsze wypadały na moją służbę nocną. Za drugim i trzecim razem jeszcze tam zajrzałem, ale widziałem, że jest zajęty przy generatorach, więc odszedłem. W kolejnych meldunkach już nie podawałem jego przyjazdu, zresztą sam powiedział, że to zbyteczne. Ale zapisywałem każdy przyjazd w notesie.

Wyjął z bocznej kieszonki okulary, wsadził na nos, przytrzymał palcem stronę w notesie i przeczytał:

“Noc z piątego na szósty października. O godzinie dwudziestej trzeciej dwanaście usłyszałem samochód przy budynku B-6. Wyrząłem oknem z dyżurki, poznałem Wartburga inżyniera Grodzkiego, potem zobaczyłem światło w oknach korytarza. Po niespełna trzydziestu minutach usłyszałem znowu samochód, wyrząłem, w B-6 już było ciemno, wartburg inżyniera odjechał.”

- Panie Domański, to genialne! - wyrwało się Szczęsnemu. - Pan zapisuje jak prawdziwy kronikarz.

Strażnik uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Bo to jest kronika mojej służby - odparł. - Za pół roku idę na emeryturę, to sobie potem będę przeglądał notesy, czytał i wspominał.

- Ma pan rację, ale nie wiem, czy kto inny wpadłby na taki pomysł. Chciałbym jednak uzyskać fotokopię tego, co pan przed chwilą przeczytał. Da się zrobić? - spojrzał na komendanta.

- Jasne. Mamy przecież laboratorium. Mietek - zwrócił się do Domańskiego - jakby kierownik kręcił nosem, powiedz, że to dla mnie. I żeby szybko!

- Jest pan podoficerem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych - rzekł Szczęsny do strażnika. - Sprawa, w której przyjechaliśmy, wymaga na razie absolutnej tajemnicy. Rozumiemy się?

- Tak jest, panie majorze. Może pan na mnie polegać.

Wstał, zabrał notes i wyszedł. Pili herbatę, komendant patrzył na nich trochę niespokojnie, a w końcu powiedział:

- Domański chyba powinien był za każdym razem zaglądać do B-6. Czy gdyby to zrobił piątego października, miałyby to jakieś znaczenie dla śledztwa?

Szczęsny milczał chwilę. Nie chciał mówić za wiele, chociaż przypuszczał, że Strażyk domyśla się i tak, o co tu chodzi. Gdyby strażnik wówczas poszedł do budynku... Cóż, najpewniej Kazimierz musiałby zrezygnować ze swoich zamiarów. Ale gdyby już je wykonał? Domański zobaczyłby ciało martwego człowieka, leżące w metalowej klatce śmierci. Co wtedy? I Szczęsny odpowiedział sam sobie, że strażnik stałby się drugą ofiarą infraczerwonych.

- Tak - odrzekł wreszcie. - Miałyby to istotne znaczenie. Ale kosztem... no, kosztem jego życia. Więc całe szczęście, że tym razem nie poszedł do B-6. I niech pan, komendancie, tak właśnie, nie inaczej, patrzy na jego postępowanie tej nocy.

- Jak najchętniej - odparł Strażyk z ulgą w głosie. - Bo to jest mój najlepszy pracownik.

- Dodam jeszcze, że swoimi zapiskami w notesie dał nam w ręce ogromny atut: Jak się to wszystko zakończy, wystąpimy dla niego o nagrodę.

Kiedy wracali do Warszawy, Połoński rzekł po namyśle:

- Domański miał piekielne szczęście! Kazimierz, zagrożony tak niespodziewanie, pewnie by go zlikwidował jak Adama. Ale wywieźć dwa martwe ciała...

- Strażnika zakopałby w tym pagórku, gdzie wyrzucają psy. Prędko by się wszystko wydało. Wiesz, dlaczego on przyjeżdżał nocami niby pracować przy generatorach? I dlaczego zawsze wybierał noc, kiedy służbę miał ten sam strażnik?

- Oczywiście, to jasne. Przyzwyczajają go stopniowo do swoich przyjazdów, licząc, że w końcu Domański zrezygnuje z zaglądania do B-6. I nie pomylił się. No, a gdyby Adam jeszcze żył? Gdyby Domański zobaczył obu braci, wchodzących do budynku?

- To nic trudnego. Wystarczyło powiedzieć strażnikowi: przyjechał ze mną mój brat popatrzeć, jak pracuję. Coś takiego łatwo wymyślić. Pamiętaj, że Kazimierz ma w instytucie mocną pozycję. Już drugi raz otrzymuje stypendium i zgodę na dwuletni pobyt za granicą. Wtedy mu się nie udało z winy Adama. No, a teraz...

- Teraz już na pewno nie, pojedzie. Nie rozumiem tylko, co takiego posiadział bratu, że ten zgodził się przyjechać z nim w nocy do instytutu. Pomyśl, przecież nienawidzili się, nie utrzymywali kontaktu i raptem taki, przyjazd. Co on wykombinował?

- Być może ma to jakiś związek z oświadczeniem Adama. Pamiętasz tę kartkę z niedokończonym wyznaniem, że jest "pierworodnym, prawowitym synem swoich rodziców" i tak dalej? Tak mi się wydaje, że w związku z tym oświadczeniem Adam przyjechał do instytutu. Słuchaj, chyba będziemy kończyć śledztwo.

- Sądzisz, że stary zgodzi się na eksperyment?

- Już się zgodził. Niechętnie, ale to jest przecież długoletni, doświadczony milicjant i wie, że jeszcze nie mamy w ręku przekonujących dowodów. Zatrzymany tak zwyczajnie Kazimierz oczywiście przyzna, że był wówczas nocą w instytucie, ale sam. Nie wspominał nam o tym, bo nie widział potrzeby. Według niego nie miało to żadnego związku ze śmiercią Adama. Nie znaleźliśmy dotąd żadnych świadków jego przyjazdu do willi na Świeradowskiej, nikt nie widział obu braci, wsiadających do wartburga. Domański też nie widział ludzi, tylko samochód. Cholera, w najgłębszych sprawach trafia nam się czasem dwudziestu świadków, a tutaj nic! Spryciarz - zamyślił się na chwilę. - Gdyby pojechali fordem-sierrą, mogło być inaczej. Hałas przy garażu, duży wóz, to zwraca uwagę. Musiał wszystko dokładnie obmyślić.

Kazimierz podniósł się z fotela i zaczął chodzić po mieszkaniu, zatrzymując się co chwila, jakby czegoś nadsluchiwał. Wspomnienia wciąż rozpały w nim gniew. Co prawda sądził, że sprawa jest już zamknięta raz na zawsze. Ten sfigowany napad na siebie i anonimy broniły od podejrzeń. Wyrzuty sumienia? Może trochę. W nocy, kiedy nie mógł zasnąć. Wracał wówczas ciągle ten sam obraz: ciało, leżące na podłodze, skurczone, skręcone bólem, jeszcze drgające resztką życia. Tak go zobaczył, kiedy wszedł. Straszliwe sygnały śmierci już umilkły, posłuszne jego woli i wiedzy. Nie oglądał tych kilku minut męki, metalowa klatka nie miała okien ani na zewnątrz, ani do wewnątrz. Miała natomiast wizjer. Zastanawiał się później; dlaczego odszedł w głąb korytarza zaraz po włączeniu generatorów. Dlaczego nie patrzył. Nie mógł?

Nienawiść, która zrodziła się w nim przed ośmiu laty i rosła w miarę jak walił się w gruzy świat jego marzeń - ta nienawiść zakorzeniła się w nim na stałe. Z natury łagodny, życzliwy ludziom, nie mógł tego z początku zrozumieć. Próbował wyjaśnić, rozerwać ten ciasny łańcuch wrogości, opasujący go wciąż na nowo. Ale napotykał tylko zimny wzrok i uparte, mściwe milczenie. Nie otwierano przed nim drzwi mimo desperackiej dzwonek, a tamta ręka natychmiast odkładała słuchawkę, kiedy chciał bodaj telefonicznie wyjaśnić sytuację.

Po pierwszym rozwodzie uderzył się w piersi. To była jego wina. Jakaś idiotyczna popijawa z dziwkami, jazda do czyjegoś domu, starej rudery, której następnego dnia nigdy by nie poznał, rażące światło reflektorów w obcym pokoju... Miał w tym okresie złą passę. Emilię można było szanować, ale nie kochać; nie rozumieli się prawie od początku małżeństwa. Tak, to był błąd. Żądanie rozwodu przyjął ze spuszczoną głową. Nie wchodził w to, skąd Adam miał zdjęcia, mógł to być przypadek.

Ale Dorotę kochał jak nikogo przedtem. Myślał, że ich małżeństwo przetrwa wszystko. Był szczęśliwy, pełen wiary w dobrą przyszłość. Dlatego jak uderzenie młotem przyjął słowa: "Jesteś chory, to AIDS!" Chory, on?! Był zdrow, zresztą dał się zbadać zaufanemu lekarzowi i przyniósł do domu zaświadczenie. Nie chciała wierzyć ani w jego zapewnienia, ani w lekarskie świadectwo. Bała się go, nigdy nie potrafi zapomnieć jej przerażonych oczu, jej rąk, odpychających go, płaczu po nocach. Powiedziała mu, skąd wie o chorobie. TAMTEMU uwierzyła od razu. Dlaczego? Pojechał na Świeradowską, wdarł się do mieszkania siłą, zmusił Adama, aby z nim rozmawiał. Usłyszał słowa lekceważące, wrogie i nie wytrzymał, uderzył go w twarz. Potem oprzytomniał, ale nie przeproszał, nie było za co.

Po rozwodzie Dorota wyjechała z Warszawy. Zamienił wtedy duże mieszkanie na kawalerkę, wiedział już, że nigdy więcej się nie ożeni. Postanowił opuścić miasto, kraj. Nie na zawsze; na pewien czas. Dwa, trzy lata. I wtedy zaproponowano mu stypendium do USA. Przyjął propozycję jak uśmiech losu, czekał na to jak na wybawienie od rodzinnych dramatów. I od zemsty Adama. Tam mu nie będzie szkodzić, nie dosięgnie.

A kiedy miał już wszystko załatwione, padł kolejny cios. Ktoś załatwił "na górze", że odmówiono mu wyjazdu. Wpierw nie wiedział, kto. Otrzymał przecież zgodę instytutu, paszport, wizę, pieniądze. Dyrektor, ten poprzedni, rozkładał ręce: on też nie rozumie. Ale miał przy tym dziwne, niepewne Spojrzenie. Nie mógł pomóc czy nie chciał?

Tego dnia późnym wieczorem w jego mieszkaniu zadzwonił telefon. To był Adam. Swym

oschłym, trochę zachrypniętym głosem powiedział: “Sprzeciwiłem się twemu wyjazdowi. Mam jeszcze wpływy i układy. Nie próbuj się odwoływać, bo to daremne”. Odłożył słuchawkę.

Leżał przez całą noc bezsenne, próbując zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, że rodzony brat stał się jego wrogiem. Skądś przypląnęło w pamięci okrutne zdanie jakiegoś filozofa: “Światem rządzi Kain. Wątpiącym w to radzimy, aby poczytali sobie historię świata”. Straszne słowa. Długo je rozpamiętywał, wciąż na nowo. A rano wstał i już wiedział, że Kainem będzie on. Bo dla nich obu nie ma miejsca na świecie.

Podszedł do barku w regale, wyjął butelkę wódki. Wypił szklanekę bez oddechu, aż zapiekło w gardle. I wspominał na nowo.

Przygotowywał się starannie. Znał siebie, wiedział, że żadne narzędzia mordu nie wchodzi w grę. Pozostawał tylko jeden sposób, gwarantujący, tak sądził, zupełną bezkarność. Ta zbrodnia nigdy nie zostanie wykryta; nie było w kraju, a może i na świecie, zabójstwa za pomocą infradźwięków. Znał ich siłę, robili przecież od dawna doświadczenia na zwierzętach. Umiał doskonale obchodzić się ze specjalnego typu generatorami, miał klucze do budynku B-6, znał tam każdy kąt.

Znał również strażników; wybrał takiego, który szykował się do emerytury, starszego, w swoim przekonaniu mniej zdyscyplinowanego, bo wiek robi swoje. Przyzwyczaił go do swoich przyjazdów późną porą i po kilku nocach zorientował się, że strażnik nie zwraca już na to uwagi, nie przychodzi do budynku. Właśnie o to mu chodziło.

Adama trzeba było teraz jakoś zmusić do przyjazdu, a to było najtrudniejsze. Pamiętał jednak, że brat całe życie był snobem. Zależało mu na wysokich stanowiskach, odznaczeniach, bliskich kontaktach z opływowymi osobami, na wyjazdach zagranicznych.

Wiele z tego z pewnością zechce utrzymać, będąc na emeryturze. I należało mu to uniemożliwić, tak aby poczuł się osaczony i miał tylko jedno wyjście.

Wybrał się do willi na Świeradowskiej któregoś wieczoru, to było jeszcze na początku września. Adam, o dziwo, wpuścił go do środka bez oporu. Może ciekawiło go, co usłyszy od zmaltretowanego brata? No i usłyszał...

Kazimierz wstał, chodził znów po pokoju wymachując rękami. Alkohol działał. Nie zauważył nawet, że mówi głośno, jakby komuś się zwierzał, coś opowiadał.

“Mam u siebie pamiętnik, pisany ręką naszej matki - tak mu powiedziałem bez wstępów; przypominał sobie. - Jest to właściwie dziennik, prowadziła go przez wiele lat. Nie znasz jego treści. Matka wręczyła mi go na krótko przed śmiercią, prosiła, abym schował, bo nie chce, żeby dostał się w twoje ręce. Byłem wówczas dzieckiem dwunastoletnim i wiele rzeczy mogłem zrozumieć. Schowałem pamiętnik matki. Mam go.

Po co mi to mówisz? - zdziwił się.

Żebyś się dowiedział, kim jesteś naprawdę.

Co to znaczy? Ja chyba wiem najlepiej, kim jestem - roześmiał się ironicznie.

Nie. Jesteś podrzutkiem, zabranym przez moich rodziców z sierocińca, dzieckiem nieznanego ojca i nieślubnej matki. Zaadoptowali cię w połowie lat dwudziestych, miałeś podobno pół roku. Nikt poza nimi i dyrektorem sierocińca o tym nie wiedział.

Rosłeś, dojrzewałeś jako pierworodny syn Feliksa i Antoniny Grodzkich. Na krótko przed adopcją lekarz powiedział matce, że nigdy nie urodzi dziecka. Dlatego to zrobili. A potem ja przyszedłem na świat. Jedyny prawdziwy syn!

Kłamiesz! - krzyknął, blady z gniewu. - Kłamiesz podle!

Nie. Taka jest prawda. I o tym wszystkim matka nasza, matka moja - poprawiłem się z satysfakcją - napisała w pamiętniku.

On trzęsącymi się rękami nalał sobie kieliszek koniaku, wypił jednym haustem. Patrzałem na niego; wiedziałem już, że uwierzył. Historia, którą wymyśliłem z najdrobniejszymi szczegółami, chwyciła.

Gdzie masz ten pamiętnik?

Dobrze schowany. Nie znajdziesz. Ale - zawahałem się jakby - możemy o tym porozmawiać.

Spojrzał na mnie spode łba, rozważał propozycję.

Chcesz pieniędzy?

Nie.

Więc czego?

Wyjedziesz z kraju. Na zawsze. Znikniesz mi z oczu, żebym cię już nigdy nie zobaczył. W dniu twojej emigracji, w godzinie odjazdu pociągu czy odlotu samolotu dostaniesz pamiętnik.

Wykluczone! Nigdzie się nie ruszę. Tu mam wszystko. Jestem za stary, żeby emigrować.

W takim razie przygotuj się, że treść pamiętnika zostanie przekazana twoim dzieciom, przyjaciółom i wpływowym znajomym.

Ty kanalio!

Rzucił się na mnie z pięściami, ale zrobiłem unik i zatoczył się na fotel. Siedział jakiś czas bezsilny, zielony na twarzy, łapał ustami powietrze. Nie chciałem, żeby skończył tu, przy mnie, w mieszkaniu. Więc zacząłem niby się wahać, coś tam proponować innego. W końcu przystałem na pieniądze. Dużo. Było mi wszystko jedno ile, bo i tak nie miałem zamiaru wziąć. Ale żeby nie zaczął czegoś podejrzewać, wymieniłem milion złotych i pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Zachnął się, że tyle nie ma. Nie ustąpiłem, musiałem być konsekwentny. Wreszcie zgodził się. Połowę miał mi wręczyć

przy odbiorze pamiętnika, resztę dwa miesiące później. Dodałem, że mam kserokopię niektórych kartek, tych najbardziej go obciążających, i w razie niewypłacenia...

Umówiliśmy się, że pierwsza rata zostanie mi wypłacona na początku października. W tym okresie już jeździłem wieczorami do instytutu, przygotowując grunt. Czwartego, to była niedziela, pojechałem na Świeradowską. Oznajmiłem mu, że jutro dostanie pamiętnik.

Ale - dodałem - nie mam go w domu. Mogłeś nasłać na mnie jakiegoś włamywacza, po tobie mogę się wszystkiego spodziewać. Pojedziemy do instytutu, tam go przechowuję w sejfie. Zobaczysz choć raz, gdzie pracuję.

Najpierw odmówił. Żądał przywiezienia pamiętnika tu, do willi. Roześmiałem mu się w nos. Kazałem przygotować pieniądze na wieczór. Wyjaśniłem, że w dzień nie znajdę pretekstu, żeby wprowadzić go do swego pokoju. Siedzą tam zresztą koledzy, zaczną się nam przyglądać. Powiedziałem jeszcze, że pojedziemy moim wozem, bo jego ford-sierra wzbudziłby niepotrzebnie zainteresowanie strażników.

W poniedziałek od rana było ze mną tak, jakbym stał się innym człowiekiem. Nic nie zostało z dawnego, wesołego i dobrodusznego Kazimierza; teraz był to osobnik zimny, opanowany, gotowy na wszystko. Wszedłem w skórę Kaina i nic już nie było w stanie mnie z tej drogi zawrócić. Ze Smorzewa wyjechałem około dziesiątej wieczorem, kiedy Broniccy spali; kładli się wcześniej. Nie zajechałem przed willę, ale kawałek dalej, miał tam czekać. Zjawił się po paru minutach, ubrany po sportowemu, z małą teczką w ręku.

Spytałem czy przyniósł pieniądze, jakby tylko to było dla mnie ważne. Odparł, że są w teczce. Pojechaliśmy do instytutu. Weszliśmy razem do pomieszczenia, wybitego szczelną blachą, bez okien. Wówczas szybko wycofałem się i zamknąłem go. Włączyłem generatory. Na cztery minuty.

Kiedy było już po wszystkim, wsadziłem ciało do bagażnika. Otworzyłem teczkę i znalazłem ścinki papierów. A w prawej kieszeni jego spodni - pistolet. Zrozumiałem, że wrodzone skąpstwo przeważyło; był gotów zabić mnie, zabrać pamiętnik i uciec. Wrzuciłem broń do Wisły.

W nocy, leżąc w Smorzewie na pięterku domu Bronickich, nie czułem żalu ani wyrzutów sumienia. Któryś z nas i tak zostałby Kainem. Czemu więc nie ja?

* * *

Minutę po siedemnastej w mieszkaniu Kazimierza Grodzkiego odezwał się telefon. Oderwany od książki, niechętnie podniósł słuchawkę.

- Halo! - burknął.

- Panie inżynierze, tu komendant straży z instytutu, porucznik Strążyk - mówił głos z tamtej strony. - Trzeba, żeby pan zaraz przyjechał. Wysyłam po pana wóz służbowy.

- Ale po co? - zdziwił się. - Co się stało?

- Awaria w generatorach, coś tam się tli, przelatują iskry, a my boimy się ruszyć, bo tu już nie ma żadnego z inżynierów.

- Przecież musi być dyżurny!

- Właśnie, że nie ma. Jest tylko jeszcze inżynier Fabian, ale to przecież chemik i nie zna się na generatorach.

Zastanawiał się chwilę, marszcząc brwi. Iskry? Tli się? Cóż to za historia. Może być pożar - osądził i już wiedział, że musi jechać. Zwłaszcza teraz, na miesiąc przed wyjazdem do Stanów, nie wolno mu lekceważyć spraw instytutu.

- Dobrze. Niech pan wysła wóz, zejdę na dół za dwadzieścia minut.

Strážyk odłożył słuchawkę. Był spocony aż po nasadę włosów, chociaż w pokoju temperatura nie przekraczała szesnastu stopni. Spojrzał na Szczęsnego.

- Przyjedzie - powiedział. - Uwierzył w tę awarię. Polonez już wysłany, Grodzki będzie tutaj za trzydzieści, może czterdzieści minut. Co teraz?

- Zaczynamy - odparł major. Wstał, jednocześnie podnieśli się inni funkcjonariusze. - Radiowozy proszę ustawić tak, żeby nie było ich widać ani z drogi, ani w ogóle.

- Za klatkami psów jest parkan i duża wiata - zauważył Strážyk. - Tam nikt nie zobaczy.

- Bohdan, ty się zajmiesz...

- Wiem - przerwał Połowski. - Wszystko przygotowane.

Naczelný dyrektor instytutu zakręcił się w miejscu, mruknął coś i wyszedł. Twarz miał głęboko zatroskaną. Prokurator popatrzył za nim ze zrozumieniem; tak było nawet lepiej, niech sobie idzie do swego gabinetu, to nie są sprawy dla nieprzyzwyczajonych. On sam zresztą musiał pokonać wewnętrzne opory, mnóstwo paragrafów przelatywało mu przez głowę i utrudniało decyzję. Szczęsny, zirytowany argumentami, z którymi nie chciał się pogodzić, zacytował mir Ajtmatowa: "Spustoszenie samego siebie przez nienawiść czyni z człowieka niewolnika nocy, a nie twórcę światła". Dodał jeszcze kilka przekonywających zdań o przebudowie, co wprawdzie nie miało związku z tym, co mieli robić, ale było ze wszech miar słuszne. Prokurator, rzecz jasna, nie chciał pozostać w ogniu historii, która pędziła do przodu.

- To jest morderca - odezwał się major, jakby odpowiadając na jego myśli. - Morderca własnego brata. I chcemy to udowodnić.

- A jeżeli się nie uda?

- To znajdziemy sto innych sposobów.

- Albo przyznamy się do błędu i zaczniemy szukać właściwego zabójcy - zauważył Połowski.
- Tylko ten się nie myli, kto nic nie robi - mruknął prokurator. - Idziemy?

* * *

Służbowy polonez zahamował przed główną bramą. Stał tam Strażnik, czekając na ich przyjazd. Grodzki wysiadł z wozu, zniecierpliwiony jazdą, czekającą go robotą i zakłóceniem spokojnego wieczoru.

- Iskrzy jeszcze? - spytał.
- Tak - przytwierdził porucznik. - Kto jest przy generatorach?
- Teraz nie ma nikogo. Strażnicy obawiają się wejść.

Kazimierz wzruszył ramionami i szedł pierwszy, omijając kałuże; była odwilż. Z daleka dostrzegł światło w B-6. Przyspieszył kroku.

- Tam jest otwarte?
- Tak.
- Niech pan lepiej ze mną nie podchodzi blisko generatorów. Sam wpierw zobaczę, co się stało.

Komendant zatrzymał się przed drzwiami, tak zresztą było zaplanowane. Grodzki przeszedł długi korytarz, stanął przed metalową klatką. Zdziwił się, że nie jest zamknięta, więc zajrzał.

Potworny strach ściał mu krew w żyłach, serce załomotało jak oszalałe. Na podłodze, dokładnie w tym samym miejscu gdzie wtedy, leżały zwłoki człowieka. Głowę miał odwróconą na bok. Ubrany był w szare, flanelowe spodnie, sweter brązowy w zielone pasy, wiatrówkę z ciepłym podbiciem i zamszowe półbuty.

Kazimierz patrzył, nie mógł oczu oderwać. Cała niedawna przeszłość raptem wróciła, wszystko jak gdyby działo się jeszcze raz, od nowa. Oto leżał przed nim zabity brat, zamordowany przez niego sygnałami śmierci, pochowany pięć miesięcy temu... Czy to naprawdę było kiedyś, a nie teraz? Czy można kogoś zabić dwa razy? Czy to będzie ciągle wracać, ciągle wracać...

- Adam!

Krzyk, jaki wydobył się z jego gardła, rozległ się po całym budynku. Krzycząc, powtarzał tylko jedno imię, wciąż to jedno imię; nie był w stanie ruszyć się z miejsca. Nie dostrzegł ludzi, którzy stanęli obok i za nim. Ktoś położył mu rękę na ramieniu.

- Czy przyznaje się pan do zamordowania swego brata, Adama Grodzkiego? - Głos publicznego oskarżyciela był ostry jak nóż.

Długo trwało, zanim Kazimierz wydobył z siebie to słowo:

- Przyznaję.

Potem nastąpiła, zwykła w takich wypadkach, formuła o aresztowaniu. Wyprowadzono go do radiowozu. Połoński z którymś inspektorem zabrali z podłogi plastikową kukłę i bez żadnego, uszanowania wrzucili do samochodu, którym ją przywieźli. A Szczęsny widząc to pomyślał: tak pewnie on go wrzucił i wywiózł na brzeg lasu.

Tylko, że teraz był to manekin, a wtedy - człowiek.